



HARLEQUIN[®]

POWIEŚĆ
HISTORYCZNA

WYJĄTKOWA AUTORKA Z LISTY
BESTSELLERÓW NEW YORK TIMES

KASEY
MICHAELS

LEKKOMYŚLNA
OBIETNICA

Kasey Michaels

Lekkomyślna obietnica

Tłumaczenie:
Małgorzata Hesko-Kołodzińska

PROLOG

Nieopodal Montmort-Lucy we Francji, marzec 1814 roku

Wśród jeńców krążyły pogłoski, że strażnicy są coraz bardziej zdenerwowani. Zwycięstwo Napoleona nad wojskami sprzymierzonymi w bitwie pod Champaubert tylko na krótko opóźniło to, co nieuchronne. Samozwańczy cesarz stracił tron.

Po powrocie z porannej przechadzki wokół obozu Jeremiasz Rigby zameldował, że doliczył się dziesięciu strażników mniej. Francuzi w zaskakująco szybkim tempie znikali z posterunków. Niestety Jeremiasz zauważył również, że zmarło kolejnych ośmiu rannych więźniów. Mijał już miesiąc, odkąd trafili do niewoli, a brak opieki medycznej, żywności, czystej wody i lekarstw robił swoje.

- Nie wyobrażam sobie lepszego momentu na nocną ucieczkę - oświadczył Gabriel Sinclair, gdy wraz z Rigbym dołączył do Coopera Townsenda i Darby'ego Traversa w naprędce skleconej i przez to nieco pochyłej przybudówce, którą sami wznieśli dla ochrony przed kapryśną pogodą na przełomie zimy i wiosny.

Medyk John Hamilton nie podniósł wzroku. Był zajęty opatrywaniem gojącej się rany Coopera, pamiątki po francuskiej kuli pod Champaubert, kiedy to do niewoli trafiło ponad tysiąc sprzymierzonych.

- Zostanie paskudna blizna, ale pozbyliśmy się infekcji, więc idzie ku lepszemu - ocenił. - Teraz wasza lordowska mość.

Darby Travers, wicehrabia Nailbourne, uniósł się na łokciach.

- Nie ma potrzeby, Johnie - oznajmił. - Tej nocy nie odwiedziły mnie anioły, nie stał się cud i nawet diabeł mnie nie kusił. Oko już spisałem na straty i nie ma o czym mówić. Prawdę powiedziawszy, w wolnych chwilach rozmyślam o modnych i twarzowych przepaskach.

Wszyscy wiedzieli, że Darby potrafi żartować niemal w każdej

sytuacji. Nawet jego najbliżsi przyjaciele nie mieli pewności, czy naprawdę pogodził się z kalectwem, czy też robił dobrą minę do złej gry.

Medyk puścił mimo uszu te słowa i odwinął wystrzępiony bandaż z lewego oka Darby'ego.

- Opuchlizna nadal się utrzymuje, więc trudno o rzetelną ocenę - mruknął. - Mogę tylko żywić nadzieję, że nie narobiłem szkód, usuwając kulę.

- Dzięki Bogu niczego nie pamiętam z twoich zabiegów, przyjacielu - odparł wicehrabia cicho, żeby przyjaciele nie usłyszeli go. - Wiem tylko, że chciałem usiąść i zaraz potem osunąłem się na ziemię. Byłem jedną nogą w grobie, dopóki nie zjawili się ty wraz ze skalpelem i pudełkiem pijawek. Zawdzięczam ci życie, a moja wdzięczność nie ma granic. Wiem, że usłyszałeś słowa kapitana. Tej nocy nasza czwórka ucieka, a ty pójdziesz z nami.

Hamilton pokręcił głową, jednocześnie bandażując ranę.

- Nie mogę opuścić pacjentów - powiedział.

- Ci, którzy są w stanie, uciekają już od tygodnia. Strażnicy wkrótce się zorientują, że nasze szeregi dziwnie się przerzedziły. Przynajmniej część z nas przedrze się przez linie frontu i zawiadomi dowódców, którzy przyślą odsiecz. Może być jednak za późno. Niewykluczone, że Francuzi wymordują naszych rannych towarzyszy, a potem uciekną do domów lub dołączą do Napoleona. Jak na razie starają się nas zagłodzić.

- Obowiązkiem waszej lordowskiej mości, podobnie jak każdego innego żołnierza, jest jak najszybszy powrót do walki. Moja powinność to pozostanie przy rannych. - Hamilton popatrzył na pogrążonych w rozmowie towarzyszy i przybliżył się do Darby'ego. - To dobrze, że stracił pan przytomność. Rzecz w tym, że mówił pan w delirium. Tylko ja to słyszałem.

Darby szeroko otworzył oczy.

- Wielkie nieba, Johnie, zawstydzasz mnie - szepnął. - Czybym powiedział coś okropnego?

- Mówił pan o swoim dzieciństwie, o szczególnym okresie swojego dzieciństwa. Chciałbym tylko podkreślić, że... że to nie stało się z pańskiej winy. Dzieci często biorą na siebie odpowie-

działność w sprawach, w których kto inny zawinił. Jest pan ważnym człowiekiem... Podobnie jak pańscy przyjaciele.

- Dziękuję ci, Johnie - powiedział Darby. - Przykro mi, że musiałeś wysłuchiwać moich bełkotliwych wyznań. Szczerze mówiąc, już od dawna nie myślę o tamtych czasach. Nie rozumiem, dlaczego do nich powróciłem. Wolałbym cię uraczyć opowieścią o moich przygodach z damami.

- Wśród pańskich zwierzeń nie brakowało także barwnych anegdot. - Lekarz uśmiechnął się wymownie.

- Chwała Bogu. Johnie, jeśli nie zmienisz zdania i nie pójdziesz z nami, to powinieneś wiedzieć, że jestem twoim dozgonnym dłużnikiem. Zawdzięczam ci życie. Jeśli kiedykolwiek będę mógł ci się odwdziaczyć, chętnie to zrobię.

- Nawet pan nie podejrzewa, ile jest w panu dobroci. - Hamilton się zawahał i dodał: - Mam głęboką nadzieję, że wrócę do domu, ale jeśli tak się nie stanie...

Darby usiadł i wyciągnął rękę.

- Tak? Mów, Johnie, a uczynię wszystko, by spełnić twoje życzenie.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Londyn, mały sezon 1815 roku

- Co myślisz o Hiszpanii, Nortonie? Słyszałem wielce intrygujące opowieści o Alhambrze, niegdyś określanej mianem pałacu rozkoszy. Ale cóż, ciebie żadne rozkosze nie interesują, prawda?

- Czerpię ogromną przyjemność z wykonywania swoich obowiązków - odparł pokojowiec typowym dla siebie, jednostajnym głosem. - Zwłaszcza gdy wasza lordowska mość powstrzymuje się od mówienia, kiedy go gołę.

Darby Travers, wicehrabia Nailbourne, chciał spytać, czy ma to uznać za pogroźkę, ale dał sobie spokój. Wolał zrezygnować nawet z przełykania do czasu, gdy służący odsunie brzytwę od jego gardła.

- I gotowe, jasnie panie - obwieścił Norton nie bez dumy, a następnie wręczył pracodawcy wilgotny ciepły ręcznik. - Do wieczora sprawa załatwiona. Pozwolę sobie ponownie zauważyć, że starannie przystrzyżona broda ma bardzo wiele zalet.

Darby wytarł twarz i cisnął ręcznik w kierunku Nortona. Następnie wstał i podszedł do komódki zwieńczonej owalnym lustrem.

- Nie ma mowy o brodzie, dopóki nosisz się z zamiarem jej trymowania - odparł. - Stwierdzam to z przykrością, Nortonie, ale twoje wąsy wyglądają na wymemłane w ustach, a broda przypomina drucianą szczotkę do usuwania zaschniętego błota z butów. Na domiar złego i wąsy, i brodę masz czarne jak po użyciu czernidla do obuwia, czuprynę zaś rudą jak marchew. Gdy na ciebie patrzę, to się zastanawiam, jak się zabawiasz, kiedy nie potrzebuję twoich usług i zostajesz sam.

Norton, jegomość liczący sobie ponad czterdzieści wiosen, przygładził dłonią włosy, elegancko rozdzielone pośrodku

i związane z tyłu w koński ogon o długości ponad piętnastu centymetrów. Następnie podrapał się po koziej bródce.

- Rudy zarost jest nieatrakcyjny, jaśnie panie - odparł z przekonaniem.

Darby zastanawiał się przez moment, czy spytać pokojowca, dlaczego nie ufarbował sobie włosów, skoro i tak miał już farbę w rękach, ale wolał nie wdawać się w niepotrzebną wymianę zdań. Norton był jego trzecim pokojowcem w ciągu trzech miesięcy i jedynym, który nie wzdrygał się na widok pracodawcy, gdy ten nie miał przepaski na oku. Choćby tylko z tego względu wicehrabia zamierzał patrzeć przez palce na dziwne upodobania sługi.

Sięgnął po szczotkę i przejechał nią po swoich kruczoczarnych włosach.

- Powstrzymam się od komentarza, Nortonie - mruknął. - Wracając do kwestii Hiszpanii, muszę cię z przykrością poinformować, że nie jedziemy, choć wielce bym tego pragnął. Tak się jednak składa, że muszę być obecny na pewnym przyjęciu urodzinowym pod koniec miesiąca. Albo na uroczystościach pogrzebowych - jak na razie jeszcze nie wiadomo na pewno. Frak, jeśli łaska.

- Tak jest, jaśnie panie. Czy wracamy dzisiaj do Londynu?

- Nie podoba ci się mój wiejski domek? - Darby wsunął ręce w rękawy eleganckiego fraka do konnej jazdy, szykując się do porannej przejażdżki. - Wiem, że jest skromny, ale w zupełności wystarcza do życia.

Nailbourne Farm, czy też „domek”, jak to ujął Darby, był wielką posiadłością pod Wimbledonem, zaledwie godzinę drogi od Londynu. W połączeniu z rozległą stadniną dwór prezentował się wyjątkowo okazale. Liczył sobie szesnaście sypialni, jadalnię na pół setki biesiadników i kilkanaście innych pomieszczeń, a wszystko to pod imponującą strzechą, która wymagała nieustannych napraw i renowacji. W budowli nie zabrakło nawet królewskiej komnaty sypialnej, w której nocowały już ni mniej, ni więcej, tylko dwie angielskie koronowane głowy.

Nailbourne Farm była najmniejszą z sześciu posiadłości Nailbourne'a.

- Więc jak, Nortonie? Zgadzasz się z moją opinią?

- Dom jest... funkcjonalny, jaśnie panie - odparł pokojowiec ostrożnie.

- Nawet nie wiesz, jak mi ulżyło. Nie chciałbym kazać burzyć dworu i budować go od nowa wedle twoich specyfikacji.

Darby dobrze się bawił, wiedząc, że Norton w najmniejszym stopniu nie wyczuwa sarkazmu.

- Za pozwoleniem jaśnie pana, czuję się w obowiązku o czymś przypomnieć. Otóż przyjąłem to tymczasowe stanowisko w przekonaniu, że będziemy w Londynie na czas małego sezonu.

Darby poprawił czarną przepaskę na oku, odwrócił się i lekko ukląknął pokojowcowi.

- A ja cię niestety zawiodłem. - Westchnął ciężko. - Wstyd mi, więc pozwól, że wynagrodzę ci to uchybienie. Dzisiaj wieczorem wybieram się do Londynu i niniejszym daję ci przyzwolenie na wyjazd ze mną. Zostawię cię w twojej ulubionej knajpce, a jestem pewien, że masz takową, i odbiorę cię w drodze powrotnej. Mam najszczerzą nadzieję, że moja propozycja spotka się z twoją aprobatą.

- Ależ tak, jaśnie panie! - zawołał rozradowany Norton i pokłonił się nisko, bodaj pierwszy raz okazując emocje w obecności swojego pracodawcy. - Pod Koroną i Kurkiem, jaśnie panie, tuż przy Piccadilly. Pozwolę sobie zauważyć, że jaśnie pan prezentuje się nadzwyczajnie w tym nowym fraku.

- Dajże spokój - odparł Darby z sympatią i minął pokojowca, kierując się ku schodom. Gdy był już dostatecznie daleko, uśmiechnął się do siebie. - Przez moment sądziłem, że rzuci się całować mnie w pierścień... - mruknął.

Nastrój poprawił mu się tylko chwilowo, gdyż Darby nagle przypomniał sobie, co go trapi. Tkwił na wsi od niemal tygodnia, czekając na przybycie pewnej osoby. I pomyśleć, że wszystko to z powodu zapomnianej obietnicy, którą niegdyś złożył Johnowi Hamiltonowi! Co prawda dwukrotnie wymknął się do Londynu na wieczorne przyjęcia, ale dni wlokły się niemiłosiernie. Wiele by oddał za możliwość spędzenia czasu z przyjaciółmi, nim wszyscy rozjadą się do wiejskich posiadłości, by do-

czekać tam do wiosennego sezonu towarzyskiego.

Darby dopiero poniewczasie doszedł do wniosku, że nie powinien był składać doktorowi pochopnych i bezwarunkowych obietnic. Niepotrzebnie zgodził się na objęcie opieką córki lekarza, gdyby spotkało go coś złego. Sądził, że chodzi o ewentualną śmierć medyka jeszcze w obozie. Ani przez moment nie zakładał, że sprawa będzie ciągnęła się dłużej, a już na pewno nie powinna być aktualna po upływie półtora roku, kiedy to poczciwy Hamilton przeniósł się na łono Abrahama.

Po tym smutnym fakcie Darby zrozumiał, że nie ma wyjścia. Musiał podjąć się roli opiekuna młodej damy, choć podejrzewał, że na całym bożym świecie nie istnieje ani jeden człowiek, który mniej by się nadawał do tej roli. Dowiedziawszy się o całej sprawie, przyjaciele Darby'ego nie posiadali się z radości, że coś wreszcie zakłóci jego idealne, bezproblemowe życie.

Córka lekarza nazywała się Marley Hamilton, jej wiek pozostawał nieznany. Darby liczył na to, że uda mu się wysłać ją do jakiejś szkoły dla młodych dam i w ten sposób zyskać spokój na co najmniej kilka lat.

John był wiejskim lekarzem, zapewne z dobrej rodziny, co jednak nie zmieniało faktu, że jego córka mogła chodzić w ubłoconych trzewikach i wysławiać się z prowincjonalnym akcentem. Darby wolał nie myśleć o tym, jak wypadnie prezentacja jego podopiecznej podczas sezonu, a dodatkowo obawiał się, że nieśczęsne dziewczę zechce zwracać się do niego per „wuju”.

- Coop ma rację - powiedział do siebie Darby, gdy znalazł się u podnóża schodów. - Pakuję się w najdziwniejsze sytuacje. Niechże wreszcie przybędzie prawnik Johna, bo już odchodzę od zmysłów.

- Jaśnie panie? - Młody lokaj podsunął mu kapelusz, rękawiczki i szpicrutę. - Jaśnie pan rozmawia ze sobą tak jak wczoraj?

- I owszem, Tompkins. - Westchnął Darby. - Ponieważ to się będzie powtarzać, masz pełne prawo mnie ignorować tak jak wczoraj.

- Rozumiem, jaśnie panie. Pan Rivers przyprowadził nowego ogiera - zmienił temat lokaj. - To wielkie zwierzę. Jaśnie pan

powinien zachowywać się bardzo ostrożnie.

- Postaram się nie skrzywić karku, żeby cię nie zdenerwować - zapewnił go Darby.

Nagle znieruchomiał w trakcie wkładania rękawiczek, słysząc trzykrotne stuknięcie kołatką do drzwi wejściowych.

- Oho, wygląda na to, że nadszedł czas - mruknął z lekką rezygnacją w głosie. - Dziwne, nie słyszeliśmy nadjeżdżającego powozu. Tompkins, zajmij się tym, jeśli łaska.

Jasnowłosy i piegowaty chłopak, który zazwyczaj pomagał w kuchni, niepewnie popatrzył na pracodawcę.

- Ale, jasnie panie, pan Camford powiada, że to on ma witać wszystkich gości jasnie pana i wprowadzać ich na pokoje. Jasnie pan ma być wzywany do salonu dopiero po tym, jak...

- Posłuchaj, Tompkins - przerwał mu Darby niecierpliwie. - Co prawda nie mam w tej kwestii całkowitej pewności, ale jeszcze nie tak dawno moje słowa liczyły się nieco bardziej niż słowa kamerdynera. Dlatego otwórz drzwi, jasne?

Tompkins poczerwieniał jak burak i wymamrotał:

- Tak jest, jasnie panie.

- Wygląda na to, że zbyt łagodnie traktuję służbę - powiedział do siebie Darby. - Właśnie tak się kończy nadmierna pobłażliwość...

Odłożył kapelusz, rękawiczki i szpicrutę na duży, okrągły stół i cofnął się o dwa kroki. Postanowił zaskoczyć gościa swoją nieoczekiwaną obecnością. Trochę liczył na to, że przybysz weźmie go za kamerdynera, i był ciekaw, co wyniknie z takiej omyłki.

Uśmiechnął się pod nosem, wyobraziwszy sobie zażywnego Camforda w stroju do konnej jazdy, i powiódł wzrokiem za lokajem, który nerwowo potruchtał przywitać gościa. Uchyliwszy drzwi, skutecznie zasłonił gościa, budząc jeszcze większą irytację Darby'ego. Wyglądało na to, że Camfordowi zabrakło czasu na wpojenie młodzieńcowi dobrych manier.

- Kimkolwiek jest nasz gość, wpuśćcie go wreszcie - przykazał Tompkinsowi.

Lokaj nie zdążył jednak zareagować, gdyż został stanowczo odepchnięty przez wysokiego, zakapturzonego osobnika w obszernej pelerynie. Nieznajomy bezceremonialnie wmaszerował

do środka, ociekając wodą na kamienną posadzkę.

Darby zamrugął ze zdumieniem. Nie miał pojęcia, że pada deszcz. Zastanawiał się, czy Norton do tego stopnia nie cierpi wsi, że nawet nie wyjrzał przez okno, aby zadbać o stosowny ubiór dla swojego pracodawcy.

Darby z miejsca zrezygnował z zamiaru okiełznania nowego ogiera. Przyjrzawszy się uważniej gościowi, doszedł do wniosku, że tak właśnie mogłaby wyglądać zmokła kura.

- Jeśli jeszcze nie zauważyłeś, młody człowieku, przed drzwiami brakuje przedsionka - powiedział. - Jak długo zwykle każesz gościom jego lordowskiej mości moknąć na ulewie?

Darby wyprostował się odruchowo. Ten głos z całą pewnością należał do kobiety. Nietypowo wysoka dama z powodzeniem wypełniała męską pelerynę i zachowywała się nad wyraz władczo, zważywszy na to, że przybyła bez zaproszenia, samotnie i zapewne pieszo.

- Tompkins, przyjmij od pani pelerynę - polecił lokajowi. - Chyba nie chcesz, żeby nasz gość utonął, przy okazji zalewając pół domu?

- Tak jest, Tompkins, zrób to natychmiast - przyszła mu w sukurs dama. - A kiedy już osuszysz pelerynę, zastanów się, czy nie zrobić z niej podpałki. Mam wrażenie, że jest sztywna z brudu po pięciu dniach podróży publicznym dyliżansem. Gdy skończysz z peleryną, zechciej łaskawie powiadomić jego lordowską mość o przybyciu jego podopiecznej.

- A niech mnie kule biją - jęknął Darby. Wszystkie jego najgorsze obawy właśnie się ziściły. - Witam w moich skromnych progach.

Kobieta w końcu zsunęła przemoczony, ciężki kaptur, odsłaniając wilgotne jasne włosy. Darby popatrzył w jej oczy o bliżej nieokreślonej barwie i pomyślał, że zapewne w zależności od pogody i nastroju nieznamomej bywają niebieskie, zielone, a nawet szare.

Teraz, gdy na niego spoglądała, wydały mu się burzowo szare.

Zwrócił też uwagę na jej prosty nos i pełne usta. Szczególnie intrygująco prezentowała się lekko wydęta górna warga. Nie-

skazitelna skóra nieznajomej była arystokratycznie jasna. Zauważył też mały dołeczek w brodzie niewiasty, której smukła szyja mogłaby uchodzić za królewską.

Tajemnicza osoba wyraźnie górowała wzrostem nad młodym Tompkinsem i była zaledwie kilka centymetrów niższa od Darby'ego. Doszedł do wniosku, że musiała liczyć sobie dobrze ponad metr osiemdziesiąt.

- A pan jest...? - spytała z nieskrywaną wyższością, bez cienia prowincjonalnego akcentu.

Darby'emu przeszło przez myśl, że jego rozmówczyni posługuje się jeszcze staranniejszą angielszczyzną niż on sam.

- Oszołomiony - odparł z ukłonem. - Skonfundowany. Skonsternowany. I suchy, jak najbardziej. A pani?

- Jest pan wicehrabią Nailbourne - oznajmiła, a skołowany Tompkins w końcu uświadomił sobie, że powinien zamknąć drzwi. - John powiedział mi o oku. Czy otrzymał pan mój list? Wysłałam po jednym na każdy adres spisany przez Johna. Nie było pana pod pierwszym, co zmusiło mnie do kontynuowania poszukiwań.

Darby pomyślał, że właśnie tak rozumuje typowa kobieta. Cokolwiek by się stało, winą i tak będzie leżała po jego stronie.

- To uchybienie z mojej strony, za co po stokroć przepraszam. - Ponownie pochylił głowę w ukłonie. - Może zechciałaby pani kontynuować tę pogawędkę na górze? Naturalnie, jeśli preferuje pani hol przy wejściu, jestem gotów się dostosować. Nie przeszkadza mi nawet obecny tu Tompkins, który zapamiętałe strzyże uszami, śledząc rozwój tej przedziwnej historii.

- W tej chwili najbardziej zależy mi na tym, by się osuszyć. Nasz kufer chwilowo leży porzucony przy pańskiej bramie i byłabym zobowiązana, gdyby ktoś się pofatygował i przeniósł go do pokojów, które pan zechce nam wyznaczyć. Gdy tylko wprowadzę pańską podopieczną, chętnie będę kontynuowała tę, jak pan to ujął, pogawędkę.

- Mam rozumieć, że... to nie pani jest moją podopieczną? - spytał wstrząśnięty, nie odrywając od niej zdumionego spojrzenia.

Popatrzyła na niego tak, jakby nagle wyrosła mu druga gło-

wa.

- Ależ skąd. - Pokręciła głową z dezaprobatą. - Nie jestem już w wieku, w którym ktoś powinien się mną zajmować. Marley? Możesz już wyjść, skarbie. Chciałabym przedstawić cię twojemu nowemu opiekunowi.

Młoda kobieta odsunęła połę wielkiej peleryny, odsłaniając najwyżej siedmioletnią dziewczynkę. Dziecko tuliło się do opiekunki, obejmowało ją obiema rączkami, z twarzą wtuloną w wilgotną suknię z muślinu.

Darby mimowolnie pomyślał, że długim nogom ukrytym pod suknią z pewnością nie można nic zarzucić.

- Marley - zniecierpliwiła się niewiasta. - Z pewnością wszyscy już zauważyli, że masz skłonność do uczepiania się mnie jak rzep. Teraz przypomnij sobie, czego cię uczyłam, i dygnij przed jego lordowską mością. Nie bądź niegrzeczna.

- Będę. - Suknia stłumiła odpowiedź dziewczynki, niemniej dało się ją zrozumieć.

Darby pomyślał, że wcale się nie dziwi zachowaniu Marley.

- Biedna kruszynka, taka jest zmordowana po podróży. - Westchnęła jej opiekunka przez lekko zaciśnięte zęby, którymi przez cały czas szczękała z zimna. - Stangret zażądał miedziaka za przewiezienie nas od bramy do drzwi, więc ostatni fragment drogi musiałyśmy przemierzyć pieszo. I wtedy złapała nas ulewa.

Popatrzyła na Darby'ego surowo, a on doszedł do wniosku, że i deszcz padał z jego winy. Biorąc jednak pod uwagę, że od bramy do domu wiódł zwirowy podjazd o długości półtora kilometra, dziecko zasługiwało na odrobinę współczucia.

- Rozumiem - mruknął Darby. - A do tego jest zapewne troszkę nieśmiała. Dobrze mówię, Marley?

Tompkins, natychmiast biegnij po panią Camford, niech ona zajmie się gośćmi. A do tej pory wciąż może się pani cieszyć moim towarzystwem, o ile ma pani chęć, naturalnie. Czy mógłbym spytać o godność?

- Przepraszam, wasza lordowska mość, powinnam była przedstawić się wcześniej - zreflektowała się dama. - Nazywam się Boxer, pani Sadie Grace Boxer, siostra świętej pamięci Johna

Hamiltona i ciotka obecnej tu Marley. Ze strony ojca.

Darby zamrugął zaciekawiony. Teraz już rozumiał, skąd ten imponujący wzrost. John był przecież istną tyczką do fasoli, a w dodatku i on, i jego siostra mieli podobny odcień włosów.

- Boxer? S.G. Boxer? - powtórzył. - To pani jest autorką listu, który otrzymałem w ubiegłym tygodniu? Odniosłem wrażenie, że skontaktował się ze mną prawnik Johna.

- W takim razie odniósł pan błędne wrażenie. Nigdy nic podobnego nie twierdziłam.

- Nie? W każdym razie z pewnością to pani sugerowała. Czy napisała pani rzeczony list, posiłkując się słownikiem słynnego leksykografa, pana Johnsona?

- Czyżby sugerował pan, że Marley i ja nie jesteśmy osobami, za które się podajemy? Podaje pan w wątpliwość fakt, że Marley jest dzieckiem Johna, a odtąd pańską podopieczną?

Sadie Grace Boxer zadziornie uniosła brodę i zbliżyła się o krok do Darby'ego. Mówiąc, lekko przeciągała samogłoski, co brzmiało tak, jakby ktoś polewał stal śmietanką. Może usiłowała ukryć rozbawienie? Nie, raczej nie. To, co widział w jej oczach, nazwałby połączeniem konsternacji i... strachu. Czyżby chodziło o jego niewinny żarcik?

- Ależ skąd - zaprzeczył łagodnie. - Skoro jednak pani już o tym napomknęła, czy mógłbym zobaczyć jakiś dowód na to, że pani i dziecko faktycznie jesteście sobą, a nie kimś innym?

Miał świadomość, że zadaje nieczysty cios, a w dodatku zachowuje się jak szczur usiłujący zbiec z tonącego statku. Rzec w tym, że nie spodziewał się takiego obrotu sprawy i musiał się wykazać pewną dozą podejrzliwości.

Pani Camford, która w asyście dwóch pokojówek właśnie wpadła do holu, zacmokała z dezaprobatą i natychmiast kazała przygotować czystą bieliznę, napełnić balie gorącą wodą i napalić w jednej z sypialni oraz w pokoju dziecięcym.

- Jaśnie pan zechce zaczekać z wyjaśnianiem swoich wątpliwości, bo muszę zająć się tym uroczym maleństwem - oświadczyła. Znała Darby'ego, odkąd biegał w krótkich spodenkach, a teraz zakochała się od pierwszego wejrzenia w trzęsącym się z zimna stworzonku o jasnych włosach i wielkich zielonych

oczach, pełnych łez. – Moje małe kochanie, chodź do Camy, skarbenku. Camy się tobą zajmie, kociątko.

Darby przyłożył dłoń do czoła, czując nadciągający ból głowy.

– Czyżby mnie pani rugała, droga pani Camford? – spytał słabym głosem. – Cóż, chyba zasłużyłem. Nie wiem, co sobie myślałem. Naturalnie proszę się zająć gośćmi. Gdyby ktoś mnie potrzebował, będę w gabinecie.

– Tak jest, jaśnie panie, niech pan idzie do tego swojego gabinetu – zgodziła się gospodyni skwapliwie. – Nic tutaj po jaśnie panu, każdy to powie.

Pani Boxer w końcu się uśmiechnęła, wyraźnie zadowolona z faktu, że podejrzliwy gospodarz dostał po nosie.

– W takim razie już się zbieram, Camy, bo nie dasz mi owsianki na kolację i pójdę spać z pustym brzuszkiem – burknął Darby.

Sadie Grace Boxer odwróciła się ku schodom i podążyła za gospodynią.

– Bardzo dziękujemy waszej lordowskiej mości – powiedziała przez ramię. – Marley, idziemy!

Zamiast pobiec za opiekunką, Marley podeszła do Darby'ego i zatrzymała się tuż przed nim.

– Jest pan podły – oświadczyła uroczyście. – Nie lubię pana i życzę panu rychłej śmierci.

– Jakie z ciebie urocze maleństwo – odparł Darby, po czym pochylił się nad dziewczynką.

Urocze maleństwo z całej siły kopnęło go w goleń.

– Jest zmęczona i głodna – odezwała się zmieszana pani Boxer – może tytułem przeprosin, a może nie, po czym pośpiesznie wróciła, oparła ręce na ramionach Marley i skierowała ją ku schodom.

Tompkins stłumił chichot i nawet pani Camford się uśmiechnęła, odprowadzając gości na górę.

– To tylko dziecko, jaśnie panie – odezwał się pan Camford zza pleców Darby'ego. – Pani Camford wkrótce nad nią zapanuje. Nigdy nie pozwalała, żeby nasi czterej chłopcy jej pyskowali, i jaśnie pana też trzymała krótko, za pozwoleniem. Mimowolnie zauważyłem, że jaśnie pan pociera skronie. Czy mam przynieść odrobinę laudanum?

- Nie, dziękuję, to nie będzie konieczne. - Darby pokiwał głową. - Raczej pozostawię cię i twoją poczciwą żonę, byście oboje uporali się z problemami. W razie czego znajdziesz mnie w gabinecie, gdzie będę lizał rany. Niech ktoś przyprowadzi panią Boxer, kiedy już wyrazi chęć rozmowy ze mną.

Skoro tak dobrze się prezentowała mokra, zmarznięta i w nieładzie, to jak musiała wyglądać w aksamitach i diamentach? I dlaczego podkreśliła, że jest panią, a nie panną?

Nie rozumiał też, czemu się oburzyła, gdy zażądał dowodu na prawdziwość jej słów. Bez względu na to, czy byłaby osobą na wskroś uczciwą, czy też oszustką, przybyłaby do jego domu uzbrojona w stertę dokumentów. Dlaczego zatem to jedno krótkie pytanie tak bardzo wytrąciło ją z równowagi? Przecież nie zagroził wyrzuceniem jej i dziewczynki z domu na deszcz. Nie odprawia się niewinnych dzieci z kwitkiem, jakby nie miały żadnych uczuć.

Ból głowy się nasilał, więc Darby postanowił zaprzestać jałowych rozważań.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Już ci mówiłam, że przepraszam, i to aż trzy razy - jęknęła Marley i wydeła usta. - Ale on naprawdę był dla nas podły. Wiem to dobrze, bo mówiłaś do niego tym swoim głosem, którego używasz, tuż zanim wybuchniesz. Najpierw się robisz słodka jak syrop, potem nagle wybuchasz. Wiem to od taty, a on się nie mylił.

- Wcale nie miałam zaraz wybuchnąć - zapewniła ją Sadie.

Obie siedziały na dywanie przed kominkiem w pokoju dziecięcym, delektując się suchą odzieżą i ciepłem ognia. Sadie z czułością rozczesywała gęste jasne włosy bratanicy.

- Właśnie że tak - upierała się dziewczynka. - Miałaś wybuchnąć!

- No dobrze, niech ci będzie. Może i tak. Ale jego lordowska mość naprawdę zachowuje się nieznośnie... Nie, nie powinnam tak mówić - zreflektowała się Sadie. - Teraz to on jest twoim opiekunem, Marley, co oznacza, że musisz się zachowywać uprzejmie, grzecznie i posłusznie, kiedy do ciebie mówi. I już nigdy, przenigdy nie wolno ci go kopać. Co by powiedział twój tata, gdyby widział, jak okropnie dziś postąpiłaś?

- Tata umarł - odparła głucho Marley i przytuliła swoją ukochaną szmacianą lalkę.

W istocie, John nie żył i niełatwo było o tym zapomnieć. Brat Sadie umarł, a świat Marley w jednej chwili wywrócił się do góry nogami.

- Wiem, skarbie. - Sadie przytuliła dziecko. - Mówiliśmy o tym wiele razy. Nigdy nie doszedł do siebie po powrocie z wojny. Teraz jest już z aniołkami. To dobrze, że odnalazł spokój i dołączył do twojej mamy, prawda?

Marley spojrzała na ciotkę dużymi zielonymi oczami.

- Ale ty nie jesteś chora, prawda? Nie pójdziesz do taty i mamy?

Sadie westchnęła ciężko. Nie wiedziała, jak przegnać lęk, który nieustannie dręczył Marley.

- Ależ skąd - zapewniła małą. - Wcale nie zamierzam do nich iść. Obiecałam ci to, pamiętasz? Będę zawsze przy tobie, że aż pewnego dnia sama postanowisz zamknąć przede mną drzwi na klucz.

Wyglądało jednak na to, że do zmartwień Marley dołączyło nowe.

- Ale on cię nie odprawi, prawda? - spytała cienkim głosem.

- Dla ciebie, moja panno, to nie jest „on”, tylko jego lordowska mość. - Sadie postukała bratanicę w zadarty nos. - Nie, skarbie, na pewno mnie nie odprawi. Tylko pozbawiony ludzkich uczuć drań mógłby rozdzielić cię z ostatnią żyjącą krewną, a twój tata po wielokroć podkreślał, że wicehrabia jest nie tylko zacyjm, lecz i honorowym człowiekiem.

Sadie nie miała pewności, czy jej słowa zabrzmiały przekonująco. Marley objęła ją jednak, uściśnęła i wstała z ulgą wypisaną na twarzy. Doszła do wniosku, że skoro tata ręczył za wicehrabiego, to wszystko w porządku.

Wbrew swoim zapewnieniom, Sadie nie wiedziała, co ją czeka. Sytuacja była naprawdę nieciekawa. Pieniądze praktycznie się skończyły, a wraz z nimi znikły wszelkie możliwości.

- Och, popatrz, Peggy zgodnie z obietnicą niesie mleko i ciastka! - wykrzyknęła z udawanym entuzjazmem. - Zajmij się jedzeniem, skarbie, a ja wybiorę się do jego lordowskiej mości, żeby podziękować mu za ciepłe powitanie. Peggy?

- Ja się nią zajmę, proszę pani - zgodziła się ochoczo młoda pokojówka i uprzejmie dygnęła. - Mam dwie małe siostry i czasem muszę się o nie troszczyć. Panienko, może tak zaśpiewamy piosenkę albo dwie?

- Możemy - zgodziła się Marley i usiadła przy dziecięcym stoliku, sadzając szmaciankę na wolnym krześle. - Znam mnóstwo piosenek.

- Skarbie, tylko nie śpiewaj tej, którą wczoraj wyśpiewywał jeden z pasażerów podróżujących na zewnątrz powozu - poprosiła ją Sadie.

Staneła przed niewielkim lustrem i sprawdziła, jak się prezentuje. Włosy wyglądały nadspodziewanie dobrze, gdyż zacheesała je starannie do tyłu i skręciła na karku w kok o kształcie ósemki. Był jeszcze wilgotny, ale gdyby miała czekać, aż wyschnie, dotarłaby do wicehrabiego, dopiero gdy gong dawałby sygnał do kolacji.

Nigdy, co prawda, nie słyszała gongu na kolację, ale o nim czytała, podobnie jak o eleganckich domach w rodzaju tego, w którym teraz gościły. Byłoby to wprost wymarzone miejsce na wychowanie Marley, cieszyłaby się tutaj pięknem otoczenia i troskliwą opieką służby. Dziewczynka, jak to dzieci, szybko oswajała się z nową sytuacją, a gospodyni i Peggy już zostały jej przyjaciółkami od serca.

Tylko Sadie czuła się tutaj nie na miejscu. Jak oszustka.

Doszła do wniosku, że w zaistniałej sytuacji należy jak najszybciej i możliwie bezboleśnie pokonać niebezpieczne terytorium. Innymi słowy, nie powinna pozostawiać jego lordowskiej mości zbyt dużo czasu na wymyślanie zastrzeżeń i kłopotliwych pytań, na które trudno byłoby jej znaleźć przekonujące odpowiedzi.

Bratanica jej potrzebowała. To było zarazem proste i skomplikowane. Sadie nie mogła zawieść podopiecznej.

- Ale ta jego piosenka była taka niemądra - zauważyła Marley, sięgając po ciastko. - „Żyła sobie kiedyś pastereczka śliczna, pasła owieczki, samiuteńka, grzeczna” - zaśpiewała niewinnym, dziecięcym głosem. - „Jechał nieopodal księżę nasz Reginald, pijany jak bela, bo się nachlał wina”.

- Marley Katherine, masz natychmiast się uciszyć.

- „I raz, i dwa, i hopsasa”. Więcej nie usłyszałam, bo mi zasłoniłaś uszy dłońmi.

- I chwala Bogu... - Peggy westchnęła z ulgą i odłamała kawałek ciastka, po czym niemal wepchnęła go małej do ust.

- Najmocniej cię przepraszam, Peggy - powiedziała pośpiesznie Sadie. - Problem w tym, że Marley doskonale zapamiętuje wszystko, co usłyszy, i nie ma najmniejszego problemu z powtórzeniem słowa w słowo tego, co jej utkwilo w pamięci. Inaczej mówiąc, powinnaś mieć się na baczności.

Poprawiła skromną, błękitną suknię i ruszyła ku schodom.

- Pani Camford kazała powiedzieć, że będzie na panią czekała w holu przy wejściu! - zawołała za nią Peggy. - Zaprowadzi panią do jego lordowskiej mości i pozostanie na czas spotkania jako przyzwoitka.

- Och, cudownie. To bardzo miło z jej strony - odparła Sadie i podziękowała pokojówce.

Pokonując długie i szerokie schody z poddasza, gdzie mieścił się pokój dziecięcy, do głównego holu, Sadie zastanawiała się, czy wicehrabia miał w zwyczaju rzucać się na rozmówczynię... czy też obawiał się, że niemile widziany gość płci żeńskiej sam przypuści namiętną szarżę, oszołomiony męskim powabem gospodarza.

Z niesmakiem pokręciła głową. Stąpała po grząskim gruncie, a przecież wiele zależało od tego, jak rozegra tę partię. Jeszcze kilka godzin temu nawet przez myśl by jej nie przeszło, że ktoś mógłby podać w wątpliwość jej słowa. Wszyscy ją znali i wiedzieli, jak ceni sobie uczciwość oraz prawdomówność. Wielka to szkoda, że wspomniani wszyscy pozostali we wsi...

- Witam panią, pani Boxer - odezwała się gospodyni, gdy Sadie dotarła do podnóża schodów.

- Witam, pani Camford - odparła Sadie i skinęła głową. - Pragnęłabym ponownie pani podziękować za uprzejme i życzliwe przyjęcie. Zaręczam, że panna Marley zwykle zachowuje się znacznie kulturalniej. Proszę jej wybaczyć, jest wystraszona, co raczej zrozumiałe po niedawnej utracie ojca i domu.

- A pani, jeśli wolno spytać? - Gospodyni skierowała się na tył domu, ruchem dłoni sygnalizując, by Sadie podążyła za nią. - Czy i panią spotkało nieszczęście w postaci utraty domu?

Sadie postanowiła zachowywać się zgodnie ze swoją naturą i trzymać jak najbliżej prawdy, choć wścibstwo rozmówczyni nie przypadło jej do gustu.

- W istocie - potwierdziła. - Jako że mieszkałam z bratem w lokalu udostępnionym przez jego pacjentów, siłą rzeczy obie musiałyśmy się wyprowadzić, ja i panna Marley. Jednak nie dlatego tu jestem. Przywiozłam bratanicę człowiekowi, który obiecał zająć się nią w wypadku śmierci mojego brata. Jeśli zostanie

poproszona o opuszczenie tego domu, uczynię to, gdy tylko zyskam pewność, że panna Marley znajduje się w dobrych rękach. – Uśmiechnęła się. – Mam szczerą nadzieję, że moje informacje były wystarczająco wyczerpujące, ale jeśli jest jeszcze coś, co chciałaby pani wiedzieć, proszę się nie wahać i pytać wprost.

Rumieńce na policzkach pani Camford dowodziły, że Sadie osiągnęła swój cel. Wystarczająco wyraźnie dała do zrozumienia, że przesłuchiwanie jej, ocenianie, a wręcz osądzanie to nie najlepszy pomysł. Służba najwyraźniej bardzo dbała o dobro wicehrabiego, co wydało się Sadie dziwne, gdyż sprawiał wrażenie niesłuchanie zaradnego i samodzielnego człowieka.

– Proszę mi wybaczyć, pani Camford, moje słowa były nieuprzejme i niestosowne – dodała po chwili. – Przepraszam, ale ogromnie się denerwuję przed rozmową z jego lordowską mością. Wiem, że Marley to dla niego ciężar. Niewielu dżentelmenów byłoby gotowych otoczyć opieką małą dziewczynkę.

– Jaśnie pan świetnie się wywiąże z tego obowiązku. Rzecz w tym, że to pani zjawiała się dość nieoczekiwanie. Jesteśmy na miejscu. – Pani Camford położyła dłoń na klamce ciemnych dębowych drzwi. – Sprawdzę, czy jego lordowska mość życzy sobie przyjąć panią.

Sadie skinęła głową, ponieważ uświadomiwszy sobie, że minęły kilka pokoiów, które w innych okolicznościach chętnie by obejrzała. Była jednak do tego stopnia przejęta spotkaniem z wicehrabią, że prawie zapomniała, gdzie się znajduje.

– Jego lordowska mość w rzeczy samej musiał być nieco zdumiony moim widokiem – przyznała.

– Raczej wstrząśnięty, prawdę mówiąc. Nawet powiedziałam o tym panu Camfordowi. – Gospodyni szybko zapukała i weszła do środka, przymykając za sobą drzwi. – Jaśnie panie, pani Boxer jest u progu.

– U progu czego, Camy? Mam nadzieję, że nie załamania nerwowego. – Sadie usłyszała rozbawienie w głosie Darby'ego. – I odkąd to staliśmy się tacy oficjalni u siebie w domu? Wystarczy, że wszędzie indziej muszę być sztywny, jakbym kij połknął. Wpuśćże ją wreszcie i zamknij za sobą drzwi, jeśli łaska. Do-

brze?

Sadie z najwyższym trudem zmusiła się do zachowania spokoju, kiedy weszła do środka, choć żywiła głębokie poczucie, że wkracza do jaskini lwa ludojada. Usłyszała za sobą szcęknięcie zamykanych drzwi i niespokojnie popatrzyła na wicehrabiego, gdy dość ociężale wstawał z obitej skórą kanapy, na której siedział. Raczej leżał, poprawiła się w myślach, ujrzawszy na jego policzku odcisnięty ślad po pikowanej atłasowej poduszce. Wyglądało na to, że Darby zdrzemnął się w oczekiwaniu na gościa, najwyraźniej niespecjalnie dręczony niepokojami przed rozmową. Godne pozazdroszczenia, pomyślała Sadie z goryczą i cicho westchnęła.

- Z tamtej strony, Camy. - Darby przewrócił oczami. - Na liłość boską, nasz gość nie gryzie, jak sędzę.

Sadie odwróciła głowę, posłała gospodyni spojrzenie pełne szczerego współczucia i bezradnie wzruszyła ramionami.

Pani Camford w milczeniu opuściła pokój i zamknęła za sobą drzwi. Sadie pozostała sam na sam z Darbym Traversem, człowiekiem, od którego zależały losy jej bratanicy, nawet jeśli jeszcze nie zdawał sobie z tego sprawy. Musiała teraz zyskać absolutną pewność, że nie zamierzał uchylić się od nowego obowiązku.

Postanowiła na początek dowieść swojej wiarygodności. Darby musiał uwierzyć, że ma przed sobą najprawdziwszą siostrę swojego nieżyjącego przyjaciela Johna.

- John wiele mi opowiadał o waszej lordowskiej mości - zaczęła. - Chętnie dzielił się ze mną wspomnieniami z pobytu w tym okropnym obozie. Pan, pańscy przyjaciele i jeszcze wielu wspańiałych angielskich żołnierzy... Wszyscy padli ofiarą nieudolności dowódców. Jak się miewają pozostali, jeśli wolno spytać? Kapitanowie Sinclair, Rigby i Cooper Townsend, ten ostatni raniony w tej samej bitwie, co pan. John napomknął, że byli panowie sobie bliscy jak bracia i chętnie szukali przygód. Kiedy mówił o jaśnie panach, zdawał się dumny ze znajomości z nimi. Czy mogę spocząć?

Teraz mogła tylko mieć nadzieję, że wymieniwszy z imienia przyjaciół Darby'ego, uwiarygodniła się w oczach gospodarza.

Poniewczasie przyszło jej do głowy, że nie powinna zachowywać się w sposób nazbyt oczywisty, gdyż przesada budziła podejrzenia.

Usiadła, nim Darby zdążył odpowiedzieć. Atlasowa poduszka, którą odsunęła, wciąż była ciepła i roztaczała delikatną woń tego samego mydła do golenia, które cenił sobie John. Sadie z trudem powstrzymała się od przytulenia poduszki do piersi.

Już wcześniej zauważyła, że wicehrabia nie wygląda zbyt dobrze i nie tryska energią jak wcześniej, gdy ją powitał w holu. Spod zdrowej opalenizny wyzierała chorobliwa bladość, do tego miał potargane włosy, jakby przeczesywał je palcami lub masował sobie głowę.

Wszystko wskazywało na to, że doskwierała mu migrena, być może na skutek odniesionej rany. Sadie w zasadzie współczuła wicehrabiemu, ale nie była na tyle nieroztropna, by nie wykorzystać chwilowej przewagi w tej potyczce z potencjalnym dobroczyńcą Marley. Przy odrobinie szczęścia mogła liczyć na to, że trapiąca Darby'ego dolegliwość wytrąci go z równowagi i zwiększy jej szanse powodzenia. John uprzedzał ją przecież, że wicehrabia jest niebywale inteligentny, ma surowe poczucie humoru i nie toleruje głupców. Do tego słynął z odwagi i dystansu do siebie, który objawiał się żartami z następstw odniesionej rany.

- Miewają się nie najgorzej, miło, że pani pyta. Wszyscy wielce ceniliśmy sobie Johna, a wieści o jego śmierci szczerze nas zasmuciły.

Lord Nailbourne nie usiadł z powrotem na swoim miejscu, z sobie tylko znanych powodów postanowił oprzeć się o front starego, misternie rzeźbionego biurka, które stało w bezpiecznej odległości kilku metrów od kanapy.

Sadie pomyślała, że wicehrabia zapewne nieświadomie stosuje się do reguł obowiązujących w trakcie pojedynków. Należało się oddalić o dziesięć kroków, odwrócić i wystrzelić.

W pokoju dało się wyczuć napięcie i wyglądało na to, że jego przyczyną jest Sadie, gdyż Darby wciąż sprawiał wrażenie zrełaksowanego. Był niewątpliwie bardzo przystojnym mężczyzną, a przepaska na oku tylko podkreślała jego atrakcyjność. Wysoki

wzrost z pewnością onieśmielał większość osób, lecz nie Sadie, która odczuwała wobec rodziców wdzięczność za to, że mogła spoglądać na ludzi z góry. Gdyby była drobniutka, obawiałaby się tego potężnego i dominującego mężczyzny. Prawdę powiedziawszy, i tak czuła się przy nim dość nieswojo. Na szczęście wciąż miał na policzku wgniecenie po poduszce, dzięki czemu wydawał się bardziej ludzki. W tym momencie kojarzył się Sadie z młodym chłopakiem, który postanowił przebrać się za pirata.

Nie była pewna, czego się spodziewała, gdyż John ani słowem nie wspomniał o wieku wicehrabiego. Nie ulegało jednak wątpliwości, że liczył on sobie trzydzieści kilka lat. Mimo tak młodego wieku był jednym z najbogatszych ludzi w Anglii, co naturalnie wiązało się z niezliczonymi korzyściami i obowiązkami.

A teraz ona dołożyła mu kolejny ciężar.

- Wasza lordowska mość... - zaczęła, usilnie poszukując odpowiednich słów dla wyrażenia, jak bardzo ubolewa, że John narzucił mu nową powinność.

Darby podniósł rękę, by uciszyć Sadie.

- Musi mi pani wybaczyć, że wcześniej podałem w wątpliwość jej prawdomówność - powiedział.

Jego słowa nie zabrzmiały jak przeprosiny, tylko jak stanowcze żądanie, lecz Sadie poczuła taką ulgę, że postanowiła o tym nie wspominać.

- Ponownie przejrzałem list i potwierdzam, że nie ma w nim ani jednej sugestii, jakoby była pani prawnikiem występującym w imieniu Johna - oznajmił. - Co więcej, w ogóle pani nie napisała, kim pani jest.

Sadie zrozumiała, że to oskarżenie. Choć Darby przerwał jej przeprosiny, najwyraźniej nie zamierzał brać na siebie całej odpowiedzialności i nie czuł się winny.

- Cóż, rzeczywiście - potwierdziła.

Napisanie listu zajęło jej sporo czasu i kilka razy musiała go przepisywać oraz modyfikować, nim doszła do wniosku, że rezultat ją satysfakcjonuje. Zdecydowanie nie mogłaby przekazać wicehrabiemu listu, który napisał John.

Na wszelki wypadek postanowiła zmienić temat na bezpiecz-

niejszy.

- Jak mniemam, wasza lordowska mość chciałaby wiedzieć więcej o moim bracie - zaczęła z wahaniem.

- To był dobry człowiek.

- Tak, ale na pewno pan się zastanawia, dlaczego poprosił mnie o przypomnienie panu o dawno temu złożonej obietnicy. To zrozumiałe. John został ranny w obozie, nim przybyli Rosjanie i oswobodzili swoich towarzyszy broni, przy okazji puszczając wolno Anglików. Powiem tylko, że Johna postrzelono w brzuch. - Sadie na moment umilkła, gdyż rana w jej sercu jeszcze nie zdążyła się zagoić. - Nigdy nie wyzdrowiał, a minione upalne lato było dla niego udręką. Oboje wiedzieliśmy, że jego odejście jest tylko kwestią czasu. Śmierć okazała się dla niego wybawieniem.

- Z pani słów wynika, że John praktycznie umarł w obozie jeńckim. Proszę przyjąć moje najserdeczniejsze wyrazy współczucia. Starłem się przekonać Johna, by poszedł z nami, ale nie chciał opuścić pacjentów. Pani brat zginął bohaterską śmiercią i w żaden sposób nie zamierzam łamać obietnicy, którą mu złożyłem.

Sadie nieco się odprężyła. Wyglądało na to, że Marley jednak będzie miała gdzie mieszkać.

- John podkreślił, że wasza lordowska mość jest człowiekiem honoru, że wszyscy panowie jesteście odważnymi i honorowymi dżentelmenami. Dziękuję. Wiem, że Marley będzie przy panu bezpieczna.

Wicehrabia odsunął się od biurka.

- Bezpieczna? - powtórzył. - Dziwnie to pani ujęła.

Sadie poniewczasie ugryzła się w język. Nie wolno jej było zapominać, że ma do czynienia z niebywale przenikliwym człowiekiem.

- John pozostawił po sobie niewiele pieniędzy i nie miał żadnych nieruchomości - odparła ostrożnie. - Wszystko, czego potrzebował, zapewniali mu mieszkańcy naszej wsi. Wierzę, że w najbliższym czasie uda się im znaleźć nowego lekarza. Wylądowałybyśmy na ulicy już kilka miesięcy temu, gdyby nie to, że prowadziłam gabinet pod nieobecność Johna, a także po jego

powrocie.

- Doprawdy? - zdumiał się Darby. - Wygląda na to, że jest pani kobietą o wielu mniej lub bardziej starannie ukrytych talentach. Mieszkańcy wsi mogli mówić o sporym szczęściu, dopóki pani nie wyrzucili.

Sadie zmarszczyła brwi. Nie wiedziała, czy Darby z niej kpi, chwali ją czy też wątpi w jej słowa. Ton jego głosu i specyficzny uśmiezek nie wydawały się jednoznaczne.

- Byłam zmuszona jakoś sobie radzić, zważywszy na to, że wielu lekarzy i chirurgów wyjechało na wojnę - odparła. - Nie jestem jednak medykiem. Kiedy John zmarł, pojawiła się konieczność znalezienia bardziej stosownego zastępstwa. Marley jest bezdomna, praktycznie bez grosza i nie ma nikogo poza mną. Czy w związku z tym jest bezpieczna w dzisiejszym świecie, wasza lordowska mość? - Zmrużyła oczy w nadziei, że zabiła mu ćwieka!

Darby potarł czoło.

- Cokolwiek przy pani powiem, pani Boxer, zostaje wykorzystane przeciwko mnie - mruknął. - No nic, będę brnął dalej. Gdzie jest pani mąż? Czy mam założyć, że i on nie żyje?

Sadie była przygotowana do odpowiedzi na to pytanie.

- Mniema pan najzupełniej słusznie, że nie mam męża - odparła. - Maxwell odszedł ponad dwa lata temu.

Oba stwierdzenia były jak najbardziej prawdziwe, jeśli rozpatrywało się je z osobna. Razem układały się w horrendalne kłamstwo.

Wicehrabia rozważał jej słowa przez długą chwilę, jakby powtarzał je w pamięci. Następnie okrążył biurko i stanął plecami do Sadie, wyglądając przez wielkie okno z widokiem na tył posiadłości.

- Proszę przyjąć moje kondolencje. Ale wróćmy do mojej nowej podopiecznej. Po śmierci rodziców wychowałem się w tym domu - powiedział tak cicho, że Sadie musiała się wychylić, by go usłyszeć. - Pani bratanica i ja mamy ze sobą coś wspólnego, gdyż i ja zostałem sierotą, będąc mniej więcej w jej wieku. W końcu wyjechałem do szkoły, ale wszystkie święta i wakacje aż do pełnoletniości spędzałem tutaj, z państwem Camford. Do-

brze zaopiekują się małą – chyba że pani zdaniem zostałem źle wychowany.

Sadie wcale nie była pewna, że w tym momencie sprawa jest już zakończona. Nadal nie wiedziała, co takiego zaplanował wicehrabia w związku z jej skromną osobą. Należało przecież jakoś rozwiązać problem kłopotliwej ciotki.

– Dziękuję – odparła. – Mogę tylko podkreślić, że nie jestem przygotowana do wyciągania jakichkolwiek wniosków na podstawie tak krótkiej znajomości i cała moja opinia na temat waszej lordowskiej mości opiera się na słowach Johna.

Darby odwrócił się od okna i popatrzył na nią z uwagą.

– To bardzo ostrożna i wyważona odpowiedź – przyznał. – Chyba powinniśmy skupić się na pani. Czy nosi się pani z zamiarem pozostania tutaj, przy bratanicy?

Sadie zamrugła nerwowo, całkowicie zaskoczona pytaniem, które przecież musiało paść.

– A czy zostałam zaproszona?

– Nie, nie została pani – oznajmił Darby bez ogródek. – Ma pani jednak świadomość, że znalazłem się w niezręcznej sytuacji. Rzecz jasna, jest pani osobą dorosłą, więc nie mogę pani przysposobić. Jednocześnie jest pani zbyt młoda i, co tu kryć, zbyt atrakcyjna, żeby pozostać u mnie w gościnie, gdyż ludzie wzięliby panią na języki. Mniejsza o mnie, ale w grę wchodzi pani reputacja. Z tego względu proponuję pani zatrudnienie, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu. W jakim charakterze pragnęłaby pani u mnie pracować? Guwernantki? Opiekunki? Damy do towarzystwa? Bony?

A zatem zamierzał pozwolić jej pozostać z Marley! Sadie wyprostowała się tak gwałtownie, że zakłuło ją w krzyżu.

– Chciałabym być damą do towarzystwa – odparła. – To chyba najlepsze rozwiązanie, zważywszy na to, że jestem ciotką Marley. Jak rozumiem, to stanowisko wiąże się z wynagrodzeniem, prawda?

Jego uśmiech ją zaskoczył.

– Szybko przechodzi pani do rzeczy – zauważył pogodnie. – Czy chodzi pani po głowie jakaś konkretna sumka?

– Nie ośmieliłabym się...

- Naturalnie.

Z całą pewnością traktował ją w sposób protekcyjny. Sadie ani przez moment nie wątpiła, że coś go gryzło, lecz nie była pewna, co to takiego. Zachowywał się tak, jakby jej obecność go trapiła.

- Muszę się jeszcze zastanowić nad tym stanowiskiem damy do towarzystwa - mruknął po chwili. - Chyba nie do końca oddawałoby istotę rzeczy i do tego brzmi dość dwuznacznie. Zresztą mniejsza z tym, coś wymyślę.

- W takim razie będę czekała na decyzję waszej lordowskiej mości, wdzięczna, że pozwolił mi pan pozostać z bratanicą.

- Ogromnie się cieszę, że zapewniłem pani spokój umysłu. A teraz nie będę pani dłużej zatrzymywał, chyba że zamierza pani przekazać mi dodatkowe informacje na temat mojej podopiecznej, która, jak się boleśnie przekonałem, ma skłonność do przemocy. Jeśli pani bratanica opanowała trudną sztukę stosownego zachowania przy stole, obie możecie spożywać posiłki w małej jadalni. Pamiętam, że kiedy byłem w wieku Marley, już nie chciałem stołować się w pokoju dziecięcym. Cóż, tak się jednak niefortunnie składa, że tego wieczoru mam pewne zobowiązania i przed upływem godziny wyruszam do Londynu, by powrócić jutro, ewentualnie w przyszłym tygodniu.

Sadie zerwała się na równe nogi.

- Nie będzie pana tutaj? - spytała bez zastanowienia. - O nie, tak być nie może. Marley to pana podopieczna, musi zatem z panem przebywać. To konieczność i zamierzam się przy tym upierać.

Umilkła i zmarszczyła brwi. Nagle zrozumiała, jak bardzo niezręczna i niestosowna była jej reakcja.

Wicehrabia podszedł do Sadie, zatrzymał się zdecydowanie zbyt blisko i popatrzył jej w oczy.

- Zamierza pani się przy tym upierać? - spytał z ciekawością.
- A to dlaczego, jeśli wolno spytać?

Coraz bardziej zdenerwowana Sadie usiłowała wymyślić w miarę rozsądne wytłumaczenie.

- Ponieważ ona... to znaczy Marley... dopiero co straciła ojca - odrzekła niepewnie. - I dlatego musi wiedzieć, że ktoś wciąż

się o nią troszczy.

- Ktoś inny niż pani?

- Tak! To znaczy, tak. Chodzi o opiekę... mężczyzny.

- Opieka mężczyzny - powtórzył powoli, z naciskiem, jakby nie wierzył własnym uszom. - Rozumiem. A dzięki opiece o męskim charakterze mała zyska poczucie bezpieczeństwa, czy tak? Proszę mi wybaczyć, ale nasuwa mi się dość oczywiste pytanie. Czy przypadkiem nie porwała pani bratanicy?

Darby nawet nie podejrzewał, że niemal trafił w sedno.

- Ależ skąd! - zaprotestowała pośpiesznie Sadie. - Dlaczego miałabym zrobić coś takiego?

- Och, tego nie wiem. - Wzruszył ramionami.

- Przecież już mówiłam, że jestem jedyną żyjącą krewną Marley.

- Krewną ze strony ojca - doprecyzował. - Czyżby dziecku brakowało bliskiej rodziny także po stronie zmarłej matki? - Przynął się jeszcze bardziej. - Proszę pani? Czyżby odjęło pani mowę?

Wiedziała, że w tym momencie wszystko zależy od jej odpowiedzi. Na włosku zawisała przyszłość jej i Marley, a kłamstwa piętrzyły się nieubłaganie.

- Moja bratowa nie miała rodziny, gdyż jej bliscy zginęli w pożarze, kiedy była w szkole. Nie został nikt, wasza lordowska mość.

- Biedny urwipołec. Całe jej życie to jedno długie pasmo tragedii i zgonów. Na szczęście los oszczędził jej ukochaną ciotunię...

Sadie z irytacją pomyślała, że chętnie starłaby z twarzy Darby'ego szyderczy uśmiezek.

- Niemniej jest dla niej nadzieja - powiedziała. - Złożył pan Johnowi obietnicę. John nie żyje, a ja, jako ciotka Marley, postanowiłam o jej przyszłości. Uznałam, że najlepiej będzie związać ją z waszą lordowską mością. Proszę mnie nie zmuszać do ponownego przemyślenia mojej decyzji.

Darby cofnął się o dwa kroki, a Sadie uświadomiła sobie, że drżą jej ręce.

- W żadnym razie bym tego nie chciał - odparł. - I tego nie

zrobię, przynajmniej dopóki nie zrozumie, o co w tym wszystkim chodzi. Powie mi pani prawdę czy nie?

Z trudem udało się jej spojrzeć mu prosto w oczy.

- Powiedziała panu prawdę.

- I to z podziwu godną płynnością, zupełnie jakby wielokrotnie przećwiczyła sobie pani to, co ma mówić - oznajmił. - Tylko kilka razy zapomniała pani języka w gębie. Jeśli mógłbym coś zasugerować, parę uronionych łezek dobrze okrasiloby pani wzruszające wystąpienia.

Sadie nie miała ochoty płakać, tylko natrzeć temu człowiekowi uszy. Jak śmiał być taki przenikliwy!

- Nie mam czasu na ckliwostki i użalanie się nad sobą. Moim obowiązkiem jest zadbanie o dobro dziecka. - Uniosła dumnie głowę.

- Na mnie również ciąży obowiązki - odparł. - Cóż mogę powiedzieć? Przedstawiła pani swoje racje. Proszę się rozgościć pod moją nieobecność, a gdy wrócę, dokończymy rozmowę. Kto wie, może zechce pani wyjawić mi więcej szczegółów o całej sprawie.

Wicehrabia podszedł do drzwi i otworzył je demonstracyjnie, a Sadie pomyślała, że gdyby była Marley, z pewnością kopnęłaby go w goleń. Ponieważ jednak nie była kilkuletnią dziewczynką, a na dodatek ostateczna decyzja w sprawie ich pozostania pod pieczęcią wicehrabiego jeszcze nie zapadła, postanowiła zachowywać się kulturalnie.

- Jeszcze jedno - odezwał się Darby, gdy go mijała. - Nurtuje mnie pewna kwestia. Czy pani go zabiła?

Sadie straciła równowagę i gdyby Darby nie chwycił jej za łokieć, zapewne nie uniknęłaby upadku. Zakręciło się jej w głowie, kolana zmiękły, pociemniało jej przed oczami. Przez moment była pewna, że albo zwymiotuje na buty jego lordowskiej mości, albo zemdleje i osunie się bez czucia na podłogę u jego stóp.

- Tylko spokojnie - powiedział chłodno Darby. - Niechże pani uważa.

Nie pozostawił jej wyboru. Musiała udawać, że nie pojęła pytania.

- Proszę mi wybaczyć, zahaczyłam stopą o dywan - oznajmiła.
- Czy ma pan na myśli mojego męża? Zapewne chodzi panu o to, że wpędziłam go do grobu i że teraz oddycha z ulgą w niebie, gdyż nie musi już znosić mojej obecności. Cóż, ma pan bardzo specyficzne poczucie humoru.

- Nie, proszę pani, bynajmniej. - Nie spuszczał z niej uważnego spojrzenia. - Chodziło mi o mojego przyjaciela Johna. Jest pani dla mnie prawdziwą zagadką, odkąd wpadła pani jak burza do mojego domu. Wygląda na to, że pani los ogromnie się poprawił po śmierci brata. Przecież nie musi już pani troszczyć się o niego, co z pewnością było męczące. O pani mężu w ogóle nie pomyślałem, choć może powinienem był. - Sadie otworzyła usta, ale uciszył ją gestem dłoni. - Nie, nie, proszę nic nie mówić, wkrótce i tak poznam prawdę. Uwielbiam rozwiązywać tego typu zagadki. Powiem pani, że wyzbyłem się wszelkich obaw związanych z moją podopieczną. Jakkolwiek patrzeć, bratanica jest dla pani kurą znoszącą złote jaja. Ponieważ jednak zmieniłem zdanie w związku z goszczeniem pani tutaj, będzie pani musiała się przygotować do wyjazdu. Za dwie godziny zabieram panią i jej bratanicę do Londynu.

- Moja bratanica ma na imię Marley, wasza lordowska mość - oświadczyła Sadie sztywno. - Sugeruję, by oswoił się pan z tym imieniem. Dodam jeszcze, że obraża mnie pan na każdym kroku. Wszystko jest dokładnie tak, jak to przedstawiłam.

- To pani tak mówi. Zauważyłem, z jakim zapałem zaprzeczała pani, gdy zadałem niewinne pytanie, na które w gruncie rzeczy nie udzieliła pani odpowiedzi. Cóż, z pewnością nie będzie pani miała nic przeciwko temu, że zaspokoję ciekawość, przeprowadzając własne dochodzenie. Jestem to winien Johnowi.

- Nie mam absolutnie nic przeciwko temu. Potem będzie pan mógł mnie przeprosić. - Sadie dygnęła i ruszyła do wyjścia.

- To się okaże, kto kogo będzie przepraszał! - zawołał za nią Darby. - Proszę pamiętać, dwie godziny, nie więcej.

Sadie była w połowie drogi do pokoju dziecięcego, kiedy uświadomiła sobie, że wicehrabia zamierza między innymi poszukać informacji o niejakim Maxwellu Boxerze. Uśmiechnęła się złośliwie na myśl o tym, że jej wścibski gospodarz może so-

bie szukać aż do końca świata.

ROZDZIAŁ TRZECI

Podróż do Londynu okazała się co najmniej dziwna, gdyż Darby jechał przodem dwukółką, za nim zaś podążał powóz z panią Boxer, jej bratanicą oraz, a jakże, Nortonem, ubranym w najlepszy strój i wyraźnie zachwyconym perspektywą spotkania z przyjaciółmi w gospodzie Pod Koroną i Kurkiem.

Darby chętnie posłuchałby, o czym rozmawiają podróżni w powozie, lecz niestety nie miał takiej możliwości. Jeszcze nim wyruszyli w drogę, zainteresował go incydent przed domem, gdy pani Boxer oraz jego podopieczna – naprawdę powinien w końcu zacząć nazywać Marley po imieniu – wyszły z budynku. Na widok Nortona, który stał przy otwartych drzwiach do powozu, Marley momentalnie zaciekawiała się, dlaczego ten pan ma tak niedopasowany kolor włosów i brody.

- Sadie, a dlaczego ten pan ma rude włosy, skoro jego broda jest czarna? – spytała głośno. – Pamiętam, że kiedyś znalazłyśmy pisklątko dzięcioła, które wypadło z gniazdko, no i to pisklątko miało czubek głowy taki, jakby nosiło czerwony berecik, ale cała reszta była czarna i biała, a ty wtedy powiedziałaś, że to dlatego, że to małe dzięciołek i...

- Marley, ćśśś! – ofuknęła ją Sadie.

- Ale on ma rude włosy i czarną brodę.

- Słyszałam cię już poprzednio. Jak mówię „ćśśś”, to znaczy, że masz siedzieć cicho. A jeśli chodzi o tego pana, to przypuszczam, że lubi takie połączenie kolorów.

- To znaczy, że zrobił to celowo? – zdumiała się Marley. – Tak jak pastorowa, kiedy przefarbowwała włosy na pomarańczowo, a potem przez pół roku nie zdejmowała czepka? A dlaczego on to zrobił?

- Z całą pewnością nie jest to nasza sprawa. Nie powinnaś o to pytać, podobnie jak nie powinnaś była zadawać tego samego pytania pani Thompson przed nabożeństwem wieczornym.

- Ale on głupio wygląda - oznajmiła Marley z rozbrajającą szczerością. - Może powinniśmy mu powiedzieć, skoro nie wie.

- Wydaje mi się, że właśnie go o tym poinformowałam. Zechciej wreszcie mówić ciszej.

- Chyba bardziej mi się podoba rudy niż czarny.

- Zachowaj tę opinię dla siebie.

- Nie rozumiem, dlaczego ludzie nie mogą zadawać pytań - nadąsała się Marley. - No bo jak ktoś nie chce wysłuchiwać pytań, to niech się nie farbuje. Tak myślę. Sadie, a jak ty sądzisz?

- Nie ośmieliłabym się wyjawić ci swojej opinii. - Pani Boxer wzięła bratanicę za rękę i obie zeszły po marmurowych schodach na podjazd.

Czekający tam cierpliwie Norton uśmiechnął się wielkodusznie do Marley, uchylił kapelusza, a następnie zaproponował, że pomoże jej wsiąść do powozu. Chwilę potem, nieproszony, wyjaśnił, skąd u niego czarne wąsy i broda.

Pani Boxer odwróciła głowę i ujrzała, że Darby z całych sił powstrzymywał się od śmiechu. W takiej sytuacji postanowiła posłać mu uśmiech, który w zamierzeniu znaczył tylko tyle, że dzieci są doprawdy niemożliwe.

W tym momencie Darby niemal zmienił zdanie i zamiast do dwukółki prawie wsiadł do powozu. Otrząsnął się jednak, gdyż miał zbyt dużo spraw do przemyślenia w drodze do Mayfair, a pani Boxer niesłychanie go dekoncentrowała.

Zgodnie z ustaleniami Norton wysiadł przed gospodą Pod Koroną i Kurkiem niespełna trzy godziny po tym, jak Darby pośpiesznie napisał prośbę do księżnej Cranbrook o przybycie na Grosvenor Square.

Droga Vivien,

w końcu zjawiała się moja podopieczna, obarczona kłopotliwym towarzystwem w osobie swojej ciotki, która wydaje się ciut nerwowa. Śmiem podejrzewać, że nie jest ze mną całkowicie szczerą z powodów, które zamierzam poznać. Tak czy inaczej, nie mogą pozostać ze mną w mojej kawalerskiej rezydencji ani też nie mogę pozostawić ich w posiadłości na wsi, gdyż nie mam ochoty tam tkwić, kiedy wszyscy świetnie się bawią

w Mayfair. Zdesperowany, przywożę obie dzisiaj do Ciebie, licząc na litość, zarówno Twoją, jak i moich przyjaciół.

Wyznam, że sprawę dodatkowo komplikuje niepoślednia uroda ciotuni. Choć się staram, trudno mi ignorować ten oczywisty fakt.

Darby rzucił wodze jednemu ze stajennych księcia i zeskoczył na chodnik, udając, że nie zauważa poruszających się zasłon w trzech wysokich oknach od strony ulicy. Nie wątpił, że za jedną z nich stoi księżna, ciotka Gabe'a. Zza drugiej z pewnością podglądała ich Clarice, ukochana Rigby'ego, i Darby mógł tylko żywić nadzieję, że za trzecią nie chowa się matka Coopera. Ponieważ jednak nie wyobrażał sobie gorszej kombinacji, założył się sam ze sobą, że ma rację.

Ruchem dłoni odprawił lokaja i otworzył drzwi powozu, po czym z uśmiechem zapytał pasażerki, czy miło spędziły podróż.

Nie spodziewał się, że w odpowiedzi Marley wyskoczy ze środka i rzuci się na niego, zwinna niczym małpka. Nie miał wyjścia, musiał ją złapać, żeby nie upadła na chodnik.

- Ejże, czy uchodzi, by dama w tak karkołomny sposób wysiadła z powozu? - spytał z humorem.

- Pewnie są inne sposoby - odparła Marley rzeczowo.

Zarzuciła mu ręce na szyję, definitywnie rozprawiając się ze starannie zawiązanym fularzem Darby'ego, nogi zaś mocno zacisnęła wokół jego pasa. Co zdumiewające, zamiast się zirytować, ucieszył się z jej entuzjazmu.

- Dziękuję, wujku Nailbourne, dziękuję, dziękuję, dziękuję! - wykrzyknęła mała. - To była najprzyjemniejsza przejażdżka powozem w moim życiu! Norton pokazywał nam widoki, a nawet obiecał, że zabierze mnie do parku na oglądanie łabędzi. Nigdy nie widziałam łabędzia, a ty? Norton powiedział, że mają niesamowicie długie szyje, a potem wyjaśnił mi, o co chodzi z jego włosami. Chciałbyś wiedzieć, dlaczego farbuje sobie brodę na czarno?

Darby z trudem łapał oddech. Wyglądało na to, że nawet lekkie dziecko jest w stanie pozbawić go tchu, jeśli tylko skoczy z odpowiednią werwą. W dodatku dziewczynka zwracała się do

niego „wujku”. Darby pomyślał, że jego przyjaciele będą zachwyceni, gdy się przekonają, jak bardzo uległ urokowi małej Marley.

- No więc, wydaje mi się... - zaczął.

- Stanowczo sugeruję, by starannie przemyślał pan odpowiedź - ostrzegła go Sadie Grace Boxer i machnęła kilka razy rękami, żeby odsunął się od powozu, gdyż lokaj nie mógł rozłożyć schodków. - Czy naprawdę chce pan wiedzieć, jak pański pokojowiec pielęgnuje zarost?

Darby popatrzył na Sadie, która stanęła obok niego, a następnie przeniósł wzrok na nową podopieczną, przytuloną do jego ramienia i mrugającą z zadowoleniem.

- Może innym razem, szkrabie - postanowił. - Teraz wejdziemy do środka, dobrze?

- Bardzo roztropnie - pochwaliła go szeptem Sadie, idąc pierwsza po marmurowych schodach do holu, tak jakby codziennie wchodziła do pięknych rezydencji. - Trzeba przyznać, że domostwo jest imponujące.

Obróciła się, żeby nacieszyć wzrok widokiem gustownie urządzonego wnętrza.

- Owszem, też ją lubię - przyznał Darby.

Gdy tylko udało mu się oswobodzić z uścisku Marley i postawić ją na podłodze, mała zaczęła skakać jak pchła po dużych, czarnych płytach podłogowych, starannie omijając białe.

- Tyle tylko że jeszcze do niej nie dotarliśmy - dodał. - To nie jest mój dom, więc niech pani zapanuje nad dzieckiem, jeśli łąska.

- Damy czekają w głównym salonie, jaśnie panie - odezwał się kamerdyner Cranbrooków, patrząc na Marley tak, jakby była szczeniakiem, który naniósł błota z ulicy i jeszcze oczekiwał za to nagrody.

Sadie dwukrotnie pstryknęła palcami. Co niewiarygodne, Marley przybiegła w okamgnieniu i wzięła ją za rękę. Sadie popatrzyła na dziewczynkę ze zdumieniem, tak samo jak Darby zaskoczona posłusznym zachowaniem bratanicy.

- Dziecko od kilku dni podróżuje powozami, wasza lordowska mość - wyjaśniła. - Jej zachowanie jest jak najbardziej wskaza-

ne w jej wieku. To żywiłowa dziewczynka, z czego powinniśmy się cieszyć. Dzieciństwo rządzi się swoimi prawami. Niech mi pan lepiej powie, jak mam rozumieć, że to nie jest pańska rezydencja? Dokąd nas pan przywiózł?

- Powiedziałbym, że do gniazda rozpusty, ale wówczas minąłbym się z prawdą. Wszystko wyjaśnię, kiedy będziemy na górze.

- Idąc ku szerokim schodom, dwukrotnie strzelił palcami i uniósł brwi, gdyż Marley, zajęta oglądaniem gigantycznego żyrandola, całkowicie go zignorowała. - Pani i Marley pójdziecie za mną - dodał z westchnieniem i podążył za kamerdynerem, który znajdował się już w połowie schodów.

- Marley, skarbie, idź za wujkiem Nailbourne'em - poleciła dziewczynce Sadie.

Darby uświadomił sobie, że nazywając go wujkiem, Marley tylko powtarzała to, co nakazała jej mówić ciotka. Nie zamierzał jednak dopuścić do tego, żeby i pani Boxer określała go tym mianem. *Idź do wujka Nailbourne'a. Dygnij przed wujkiem Nailbourne'em. Zwolnij, skarbie, bo biedny wujek Nailbourne nie nadąży.* Nie, w żadnym razie nie mógł się na to zgodzić. Zatrzymał się na drugim stopniu i odwrócił.

- Darby - powiedział nieoczekiwanie. - Niech mała mówi do mnie Darby. Nalegam.

- Ależ to wykluczone, wasza lordowska mość, wręcz nie do pomyslenia - zaproponowała Sadie. - Przecież to dziecko, a pan jest jej opiekunem.

- Darby - powtórzył z naciskiem. - Skoro do pani zwraca się po imieniu, nic nie stoi na przeszkodzie, żeby nazywała mnie Darbym. Jasne, do jasnej... Chciałem powiedzieć, czy jasno się wyrażam?

- Wasza lordowska mość podejmuje decyzje, jak mniemam. - Sadie wzruszyła ramionami.

- Żadne „mniemam”, proszę pani. Podejmuję i kwita - burknął, dziwnie niezadowolony.

Pomyślał, że się do tego nie nadaje. Nie był przygotowany na tę sytuację, nie miał pojęcia, jak postępować z dzieckiem i zupełnie nie radził sobie z jego ciotką. Nie pasowały ani do jego życia, ani do jego przyszłości, przynajmniej takiej, jaką sobie

wyobrażał. Najpierw był małym chłopcem, potem żołnierzem, a od powrotu z wojny miał wrażenie, że utracił sens istnienia, gdyż tylko podporządkowywał się biegowi zdarzeń. Nie tak powinien wyglądać wzór do naśladowania dla małej dziewczynki.

Gwoli sprawiedliwości należało przyznać, że czasem zastanawiał się nad założeniem rodziny, jako że tego właśnie oczekiwano od utytułowanego dżentelmena. Gabe, Rigby i nawet Cooper intensywnie pracowali nad ustabilizowaniem sobie życia, co w istocie wydawało się oczywistym następstwem wejścia w wiek dojrzały.

Jeśli jednak pewnego dnia miał zostać „wujkiem Nailbourne’em”, to tylko dla dzieci swoich przyjaciół, a jeżeli miał się ożenić, to na pewno nie z...

Wielkie nieba, musiał się napić czegoś mocniejszego.

- Darby, ty nicponiu - usłyszał nieoczekiwanie. - Trzeba przyznać, że list od ciebie był po prostu rozkosznie niejasny i nie tylko mnie wprowadził w konsternację. Po prostu nie możemy się doczekać dodatkowych informacji.

- Ciociu Vivien - powiedział Darby na widok drobnej damy w stroju kipiącym od zwiewnych muślinów, krynolin i falban, która wyszła z salonu i powitała go w przestronnym holu.

Darby wskazał Sadie i Marley misternie zdobioną ławkę, a gdy usiadły, oddalił się od nich na tyle, by nie mogły podsłuchiwać prowadzonej szeptem rozmowy.

- Uratowałaś mi życie - wyznał, ucałowawszy ciotkę w czubek głowy.

- Doprawdy? - ucieszyła się dama. - To dlatego że jestem wyjątkowo inteligentna i przebiegła. Zdradzisz, jak mi się to udało?

- Zaprosiłaś moją podopieczną i jej ciotkę do swojego domu i pozwoliłaś, by mieszkały z tobą, dopóki nie wymyślę, co z nimi począć - wyszeptał jej do ucha. - Sama wiesz, że nie mogą ze mną zostać.

- Mogłyby, gdyby ci zależało na wywołaniu skandalu, ale chyba nie nosisz się z takim zamiarem - odszepnęła. - Czy to one zasiadają na tej nieszczęsnej i niewygodnej ławeczce, którą czwarty książę przywłókł, Bóg wie skąd, twierdząc, że słoniowe

nóżki są ostatnim krzykiem mody? Prezentują się uroczo, to znaczy dziewczęta, nie nóżki, które są niczym z sennego koszmaru. Tylko takie wiejskie z nich myszki – w takim stanie z pewnością nie nadają się do zaprezentowania w sezonie. Czy mogę zająć się także ich strojami?

- Ty, ciotuniu? – Darby oswobodził się z uścisku. – Tylko ty?

Przyszło mu do głowy, że choć jego ciotka jest uroczą kobietą, z wyglądu przypomina deser z witryny cukiernika.

Księżna pacnęła go żartobliwie w pierś.

- Skąd, głuptasie! – zachichotała. – Wszystkie weźmiemy na siebie ten obowiązek. No, może z wyjątkiem matki Coopera. Minerva ma dziwaczny gust, sam przyznasz. Ewentualnie pozwolimy jej dobrać rękawiczki. Chyba nie da się narobić zbyt poważnych szkód fatalnie wybranymi rękawiczkami? Na co czekasz, wprowadź damy do środka! Zapomniałeś o dobrych manierach?

- Zatem się zgadzasz? Zdejmiesz ten ciężar z moich barków... To jest, chciałem powiedzieć, przyjmiesz je pod swój dach do końca sezonu? Wiem, że proszę o wiele, zwłaszcza w świetle zbliżających się w szybkim tempie urodzin księcia, niemniej...

- Czy mam przysiąc na wszystkie świętości, łobuziaku? – przerwała mu księżna. – Przecież to będzie dla nas wszystkich wielka uciecha, a Basil wreszcie zajmie się czymś konkretnym i przestanie się zastanawiać, czy w poranek swoich urodzin obudzi się rześki i pogodny, czy też nie obudzi się wcale. To, co zrobisz później, mogę pozostawić wyłącznie w sferze rozkosznych domysłów. Szczerze powiedziawszy, gawędziłyśmy już o tym w swoim gronie. Clarice powiada, że...

- Może rozwiniemy ten temat później, droga ciotuniu – przerwał jej Darby, doskonale świadomy, co mogła powiedzieć ukochana Rigby'ego.

- Moje drogie, chodźcie no tutaj przywitać się z cioteczką Vivien – zaszczębiotała księżna.

Marley natychmiast zerwała się na równe nogi i przybiegła do damy, by dygnąć, co niemal zakończyło się nadeptaniem na obfitą suknię księżnej. Sadie zbliżyła się znacznie ostrożniej, zerkając na Darby'ego w nadziei, że jej wyjaśni, o czym przez pięć minut szeptał z ekscentryczną arystokratką.

- Jaśnie pani, pragnąłbym przedstawić jej panią Sadie Grace Boxer oraz moją podopieczną, pannę Marley Hamilton - powiedziały Darby uroczyście. - Pani Boxer, oto jaśnie wielmożna Vivien Sinclair, księżna Cranbrook.

Sadie rozchyliła usta z wrażenia, lecz szybko oprzytomniała.

- Jaśnie pani - powiedziała, dygając z szacunkiem. - To zaszczyt poznać jaśnie panią.

- Tak, wszyscy to powtarzają, chociaż szczerze mówiąc, jestem taka sama jak wtedy, gdy to całe dyganie i kłanianie się jeszcze nie było częścią naszego życia. - Księżna uśmiechnęła się serdecznie. - Proszę, zwracajcie się do mnie ciotuniu Vivien, jak wszyscy, ja zaś będę do was mówiła Sadie i Marley. Przed laty miałam kuzynkę Sadie, ale straciłam z nią kontakt po tym, jak uciekła wraz z zarządcą majątku swojego męża. Dodajmy, że ulotnili się z nabitymi kabzami, gdyż zabrali wszystkie pieniądze biednego Roberta...

Darby odkaszlnął z zakłopotaniem.

- Nadal stoimy w holu, ciotuniu - zauważył. - Może powinniśmy przedstawić damy reszcie towarzystwa?

- Racja, my tu o koszałkach-opałkach, a obowiązki gospodyni leżą odłogiem - zreflektowała się księżna.

Wzięła Marley za rękę i ruszyła do salonu. Sadie jednak ani drgnęła, ignorując nadstawione ramię Darby'ego.

- Księżna to pańska ciotka? - spytała.

- Nazywam ją tak, owszem, ale w gruncie rzeczy nią nie jest. Mój przyjaciel Gabe jest spokrewniony z księciem i dziedziczy po nim tytuł. Zarówno księżę, jak i księżna cenią sobie familiarność. Później to pani wytłumaczę.

- Tak, będę bardzo wdzięczna. Jak dotąd to wszystko wykacza poza granice mojej wyobraźni. Przez moment sądziłam, że przywiózł nas pan do luksusowego burdelu, którym kieruje księżna.

Darby zachichotał.

- Chodzi o jej suknię - pośpieszyła z wyjaśnieniem Sadie. - Jak żyję, nigdy nie widziałam tylu falban na jednym stroju.

- Ciotunia Vivien zamierza zatroszczyć się o pani odzież - oświadczył Darby i ponownie podsunął jej ramię. - Wygląda na

to, że ona i inne damy postanowiły wprowadzić panią i Marley do towarzystwa.

- Chyba nie zamierza pan na to pozwolić? - przeraziła się Sadie.

Prawdę powiedziawszy, Darby coraz bardziej przekonywał się do tego pomysłu, gdyż doszedł do wniosku, że widok Sadie Grace Boxer w drogich jedwabiach i perłach będzie ze wszech miar interesujący.

- Czy zamierzam pozwolić na to, by ktoś zajął się pani sukniami? Obawiam się, że nic już na to nie poradzę. Damy podjęły ostateczną decyzję.

Sadie westchnęła ciężko, wzięła go pod rękę i z trudem przywołała uśmiech na twarz.

- Teraz przedstawię panią i moją podopieczną, a potem zniknę na parę dni, gdyż muszę się zająć swoimi sprawami - ciągnął Darby. - Dzięki temu obie zdążycie oswoić się z nową sytuacją. Tutaj nic pani nie grozi, z niczyjej strony - dodał na wszelki wypadek.

- Podopieczna ma na imię Marley - burknęła Sadie. - Poza tym obowiązuje nas żałoba, więc to nieodpowiedni moment na debiut towarzyski.

- Jestem przekonany, że John zrozumiałby i wybaczył, zważywszy na okoliczności. Jak zatem będzie, droga pani? Nie słyszę żadnych protestów z pani strony, co jest nieoczekiwaną nowością.

- Nie protestuję tylko dlatego, że ma pan rację - odparła Sadie niechętnie. - John wprost poprosił, by zwolnić Marley z rocznej żałoby po nim.

- I co?

- I się zgodziłam.

W tej samej chwili podeszła do nich Clarice Goodfellow, niecierpliwa jak zawsze i dodatkowo wniebowzięta, bo z rozradowaną Marley w objęciach.

Darby szybko rozejrzał się po twarzach obecnych. Oprócz księżnej i Clarice, w salonie zauważył Minervę Townsend, a także wybrankę Gabe'a Theę i ukochaną Coopera, Dany. Wyglądało to jak sabat czarownic.

Pięć na jednego. Siedem, jeśli policzyć Sadie i Marley.

Wystarczyło mu pięć minut, żeby przedstawić nowo przybyłe, ukłonić się, wycałować rączki dam i wyjaśnić ze smutkiem, że niestety goni go czas, gdyż obowiązki czekają.

Nie wątpił, że tylko Marley wierzy w kłamstwa, którymi zasy-
pał wszystkie obecne damy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Kto by pomyślał, że zaledwie kilka dni może zaowocować tak wielką przemianą?

Sadie doszła do wniosku, że najpierw była wiejską myszką, potem spanikowanym zającem w trakcie ucieczki, a na koniec została rozpieszczoną ulubienicą domu, pływającą się w luksusach w samym centrum modnego Mayfair.

Czy teraz mogła się odprężyć? Wszystko na to wskazywało, przynajmniej na razie. Pewnym problemem było tylko to, że nieobecny od pięciu dni Darby miał się zjawić za kilka minut i najprawdopodobniej zabrać ją na spacer.

Pięć dni z powodzeniem wystarczyło mu na skuteczne wetknięcie nosa w jej sprawy. Teraz niewątpliwie miał mnóstwo pytań, na które będzie musiała odpowiedzieć bez wahania i bez strachu w głosie. Czekają ją sporo zabiegów dla ominięcia prawdy.

- Tu jesteś, Sadie - rozległ się głos Clarice. - Darby czeka na ciebie na dole. Tylko nie zapomnij zabrać nowej peleryny i czepka. Nawet nie podejrzewasz, co tu ze sobą przyniósł!

Sadie drgnęła, wyrwana z rozmyślań, i wstała z ławeczki pod oknem, za którym roztaczał się widok na stajnie. Pośpiesznie wygładziła tę samą błękitną suknię, w której poznała wicehrabiego, i podniosła wzrok.

Clarice podrygiwała z niecierpliwości, najwyraźniej nie mogąc się czegoś doczekać. Sadie pomyślała, że dziewczyna jest po prostu prześliczna - miała gęste jasne loki, wielkie jak spodki niebieskie oczy i kusząco zaokrągloną figurę. Najbardziej jednak przypadła Sadie do gustu jej otwarta i beztroska natura. Sadie czuła, że znalazła w Clarice prawdziwą, wierną przyjaciółkę.

Clarice Goodfellow uważała, że niemal wszystko jest albo pyszne, albo cudowne, bez względu na to, czy chodziło o tkani-

ny, które damy wybrały na nowe suknie dla Sadie i Marley, czy też o to, że kucharz Cranbrooków przygotował słodzone jagody na deser.

- Wielkie nieba, Clarice, czyżby jego lordowska mość przypro-wadził kucyka? - zaśmiała się Sadie. - A może małpkę na łań-cusku?

Clarice zrobiła zawiedzioną minę.

- Niestety, ani jedno, ani drugie. - Z żalem westchnęła, ale już po sekundzie ponownie się rozpromieniła. - Ale za to coś pra-wie równie cudownego.

Sadie dotknęła włosów i szybko zerknęła do lustra, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku z jej wyglądem. Przeszło jej przez myśl, że nigdy jeszcze nie korzystała tak często ze zwierciadeł. Pokręciła z niedowierzaniem głową, sięgnęła po pożyczoną pelerynę oraz czepek, po czym podążyła za Clarice do holu.

- W takim razie musimy się zadowolić czymś prawie równie cudownym - skonstatowała. - Dołożę wszelkich starań, żeby starannie ukryć rozczarowanie.

- Och, przecież on nie przyniósł nic dla ciebie, niemądra. To prezent dla Marley.

Sadie lekko pochyliła głowę i uśmiechnęła się do siebie. Wi-cehrabia sprawił swojej nowej podopiecznej upominek prawie równie cudowny jak kucyk albo małpka? A zatem dobro dziecka leżało mu na sercu. Może oceniła wicehrabiego nazbyt surowo i pochopnie. Może bardziej interesował go los dziewczynki niż zadawanie kłopotliwych pytań i szukanie dziury w całym.

Nie, w to raczej należało powątpiewać. Zapewne przywiózł małej niespodziankę tylko po to, żeby chwilowo uspić czujność Sadie, a potem ponownie przystąpić do przesłuchania.

Wicehrabia nie był w ciemni bity i potrafiłby wykorzystać Marley do tego, by przychylnie usposobić do siebie jej ciotkę, skłonić ją do opuszczenia gardy, ba, nawet zyskać jej sympatię. Wcześniej zakładała, że Darby postanowił napuścić na nią damy z towarzystwa, wychodząc z założenia, że kobieta łatwiej się otworzy przed innymi kobietami i zdradzi im sekrety, których z pewnością nie wyjawiałaby żadnemu mężczyźnie, nawet życzli-

wemu.

Panie z wyższych sfer zaopiekowały się Marley jak kwoki piśklęciem i bez najmniejszych zastrzeżeń przyjęły ją do swego grona. Prawdę powiedziawszy, Sadie nigdy nie przepadała za towarzystwem kobiet, ale tym razem spotkała się z taką życzliwością, szczerością i sympatią, że pewnie zwierzyłaby się nowym przyjaciółkom i wyjawiała im całą prawdę, gdyby tylko się tym zainteresowały.

Tak się jednak złożyło, fortunnie dla Sadie, że minęło pięć dni, a ani jedna dama o nic jej nie wypytywała.

- Pozwoliłaś, by uśpiono twoją czujność, Sadie Grace - wymamrotała Sadie pod nosem. - Nieoczekiwany podarunek dla Marley to zapewne ostateczny cios zadany ci przez tego mężczyznę, który teraz będzie oczekiwał, byś wyrzuciła z siebie prawdę niczym wulkan lawę.

- Mówiłaś coś, Sadie? - spytała Clarice z za jej pleców.

- Tak tylko biję się z myślami, gdyż nadal nie mam pojęcia, cóż to jest za prezent - odparła, dopiero teraz uświadomiwszy sobie, że nadal stoi u szczytu schodów, z ręką na słupku balustrady.

- Zaraz się przekonamy, jak tylko przestaniesz się wlec, jakbyś szła na ścięcie. Przestań się wreszcie ociągać i idź! - zirytowała się Clarice. - Przecież on nie gryzie, a przynajmniej jeszcze nie zaczął. No dalej, za mną.

Clarice wyminęła Sadie, która chcąc nie chcąc, bez pośpiechu ruszyła w jej ślady.

Zbliżała się do salonu powoli, nasłuchując głosów dobiegających z pomieszczenia, aż wreszcie zatrzymała się przy drzwiach. Zobaczyła, że księżna, Clarice i pani Townsend siedzą pochylone na krzesłach i intensywnie wpatrują się w coś na podłodze.

Sadie zrobiła krok naprzód i przekonała się, że nie chodzi o coś, lecz o kogoś.

Wicehrabia, odziany w nienaganny londyński frak, siedział po turecku na dywanie i patrzył na Marley, która kucała obok, usiłując utrzymać na rękach ruchliwego psiaka o płowej barwie, z długimi zwisającymi uszami. Szczenię było aktualnie zajęte

składaniem mokrych buziaków na twarzy wniebowziętej dziewczynki.

- Och, piesku, przestań, przestań! - wykrzykiwała Marley, mocno trzymając zwierzę. - To łaskocze!

- Może przestanie, jeśli go puścisz - zasugerował wicehrabia z uśmiechem na ustach.

Bez wątpienia dobrze się bawił.

Sadie machinalnie pomyślała, że Darby znowu wygląda niepokojąco młodo, jak wtedy, gdy miał na policzku ślad po poduszce.

Marley uścisnęła psa mocniej, a Sadie natychmiast zorientowała się, że mała znowu wpada w panikę. Najchętniej podeszła by do niej i ją przytuliła, ale chciała sprawdzić, jak z tym problemem upora się jego lordowska mość, do tego wciąż miała w pamięci incydent z kopnięciem w goleń. Z ciotką u boku Marley mogłaby się poczuć na tyle pewnie, by powiedzieć lub uczynić coś, co popsuje tę uroczą chwilę.

- No już, skarbie - powiedziała Clarice zachęcająco i usiadła na krześle. - Piesek naprawdę chciałby pobiegać.

- Ale może ze mną zostać, prawda? Na zawsze? Ciociu Vivien... - Marley popatrzyła błagalnie na księżną. - To teraz mój piesek? Nie pójdzie sobie i nikt go nie zabierze?

Księżna i pozostałe panie jednocześnie zaczęły zapewniać Marley, że szczeniak zostanie i że z całą pewnością nie pozwolą nikomu go zabrać („nawet jeśli będzie sikał na dywany”, podkreśliła Clarice z mocą), a wicehrabia przysunął się bliżej i z sympatią poklepał zwierzę po złocistym łebku.

- Marley, spójrz na mnie, szkrabie - powiedział cicho.

Marley pociągnęła nosem, ale posłusznie podniosła wzrok. Sadie wstrzymała oddech.

- Przecież powiedziałem ci, że piesek jest twój, prawda? Nie okłamałbym cię, słowo dżentelmena. Wiem, że nie znasz mnie zbyt dobrze, ale obecne tu miłe panie z pewnością za mnie zaręczą.

Miłe panie jednogłośnie „zaręczyły” za Darby’ego.

- Dziękuję wam, moje drogie. - Uśmiechnął się do nich. - Czy teraz mi wierzysz?

Marley przygryzła dolną wargę.

- Chyba tak, Darby. - Pokiwała głową.

Sadie zrobiła wielkie oczy. Wielkie nieba, czyżby Marley zwracała się do wicehrabiego po imieniu? Przecież jej ciotka życzyła sobie czegoś innego. Najpierw szczeniak, potem niedopuszczalna poufałość - po tym nieprzewidywalnym człowieku można było spodziewać się absolutnie wszystkiego. Jeszcze trochę, a posadzi sobie Marley na kolanie i bujając ją, będzie recytował wierszyki dla dzieci albo nawet śpiewał piosenki.

Darby wyciągnął ręce, a Marley puściła nieco stłamszonego pieska, który najwyraźniej marzył o rozprostowaniu łap i o wysusianiu się na dywan, gdyż niezwłocznie uczynił i jedno, i drugie.

Wyglądało na to, że Clarice posiadała zdolność jasnowidzenia.

Ponieważ jednak piesek był mały, pozostawiona przez niego kałuża również nie zatrząsała rozmiarami, więc nikt nie powiedział złego słowa.

- Bardzo dobrze - oświadczył Darby jakby nigdy nic. - Skoro ta sprawa jest już załatwiona, może poczujesz się jeszcze lepiej, jeśli nadasz imię temu urwipołciowi. Przecież nie będziemy w nieskończoność mówić o nim „szczenię” albo „piesek”, prawda? Zastanawiałaś się już, jak go nazwiesz? Może Reginald?

Damy ponownie odezwały się wszystkie jednocześnie, przekrzykując się nawzajem.

- Moim zdaniem powinien mieć na imię Jerzy, na cześć naszego ukochanego króla - oznajmiła jedna z nich.

- Niech się wabi Skoczek, bo tak śmiesznie podskakuje, kiedy chodzi - zaproponowała druga.

- Niech będzie Major - wtrąciła trzecia stanowczym głosem. - Patrzcie na jego łapy. Co z tego, że teraz jest mały, skoro wyrosnie na wielkie zwierzę. Powinien mieć imię godne mężczyzny... to jest brytana.

- Nazwę go Max - obwieściła Marley.

Panie natychmiast przerwały przyjacielską sprzeczkę i zgodnie zdecydowały, że to idealne imię dla pieska. Sadie pomyślała, że byłyby zachwycone, nawet gdyby jej bratanica postanowiła nazwać psa Płotek.

- Max - powtórzył wicehrabia.

Jednocześnie spojrzął na Sadie, co dowodziło, że przez cały czas był świadom jej obecności. Zastanawiała się, czy wygląda teraz jak ktoś, komu żołądek podszedł pod gardło.

- Ma na imię Max - podkreśliła Marley z mocą. - Bo Max to bardzo dobre imię dla psa. Tata nazwał swojego psa Max, więc ten też będzie się tak nazywał. Ale ja nie pozwolę mu zerwać się ze smyczy i dać się rozjechać przez wóz. No i mnie nie zostawi jak tata. Mama też umarła, ale jej nie pamiętam. Obiecałeś, Darby.

Jedne damy westchnęły ze wzruszeniem, inne otarły oczy, a Minerva Townsend hałaśliwie wydmuchała nos w chusteczkę.

- Zatem ustalone - podsumował wicehrabia i ponownie wymownie popatrzył na Sadie.

Nie wiedziała, czy zauważył, że cofnęła się o dwa kroki, odkąd poprzednio na nią spojrzął.

Księżna odgarnęła suknię, żeby szczeniak przypadkiem na nią nie skoczył, po czym zapytała Marley, czy ten Max wygląda jak poprzedni.

- Basil nazwał tym samym imieniem dwa z naszych ptaków - dodała. - Zrobił to dlatego, że mieliśmy ich mnóstwo i zapomniał, że wcześniej nazwaliśmy je inaczej.

Marley pokręciła głową, a świeżo ułożone loki zakotływały się przy jej policzkach.

- Tamten Max był taki wielki, że mogłam na nim jeździć - odparła. - Tata powiedział, że nie ma w tym nic złego, bo nasz pies wyglądał jak koń, ale kiedy urosłam, zrobiłam się trochę za ciężka.

Sadie cofnęła się jeszcze o krok i zerknęła przez ramię, żeby sprawdzić, jaki dystans dzieli ją od holu i schodów.

Wicehrabia podniósł szczeniaka i ponownie wręczył go Marley.

- Niedawno kupiłem bardzo urodziwego czarnego konia - powiedział. - Może twój poprzedni piesek był czarny, co?

Marley pogłaskała szczenię.

- Nie, tamten Max był brązowy, ale o wiele bardziej brązowy niż ten Max. Poza tym miał małe, sterczące uszka i białe łapy, jak koń, który ciągnie wóz z rzeczami do sklepu spożywczego.

I jeszcze trochę białego miał na pysku, chociaż więcej miał czarnego. Był bardzo ładny.

- Brązowy... Wychodzi na to, że ciemnobrązowy - rozważała głośno Clarice. - Z białymi łapami, czarnym pyskiem i małymi uszami. Wiecie, co to ja myślę? Myślę, że pies Marley był bokserem. Mój kuzyn Lester miał dwa takie i zabierał je na polowania. Nawet ładne, jak mi się nie śliniły na buty.

Sadie ponownie zaczęła się wycofywać, kiedy wicehrabia spytał o kolor psa.

Odwróciła się do holu, słysząc słowa „chociaż więcej tam miał czarnego”, a następnie cisnęła pelerynę i czepek jednemu z lokajów księcia, uniosła suknię i pospieszyła w górę schodów. Znajdowała się w połowie drogi na półpiętro, gdy Clarice kłasnęła i spytała: „Wiecie, co myślę?”.

Gdy była na półpiętrze, usłyszała na marmurowych schodach za sobą stukot oficerek wicehrabiego. Przyśpieszyła kroku, licząc na to, że klucz do sypialni znajdował się po tej stronie drzwi.

Z suknią uniesioną powyżej kostek przebiegła korytarz, a na rogu poślizgnęła się na małym dywaniku, który najwyraźniej postanowił towarzyszyć jej w podróży.

- Ejże, Sadie, spokojnie. Skąd ten pośpiech!

Sadie gwałtownie wyhamowała.

- Wasza Księżęca Mość - wysapała i nerwowo dygnęła, stając twarzą w twarz z księciem Cranbrook. - Najmocniej przepraszam. Zapomniałam zabrać czegoś z pokoju. Proszę mi wybaczyć.

- Och, biegnijże, biegnij. Wybacz, że cię zatrzymałem.

- Ależ skąd, Wasza Księżęca Mość, wcale nie... - Stukot kroków rozbrzmiewał coraz bliżej. - Dobrze, dziękuję.

Gnając dalej, za plecami usłyszała głos wicehrabiego, lecz nie zrozumiała ani słowa. Zauważyła jedynie, że mówił lekkim tonem, wręcz przyjacielskim. Zapewne usiłował zagadać księcia i kontynuować pościg. Zadyszana Sadie oparła się o ścianę. Była pewna, że księżę go zawróci i odprawi, gdyż przecież wicehrabia nie miał prawa kręcić się po prywatnej części posiadłości.

- Sadie? Ależ jak najbardziej, mój drogi, dopiero co śmignęła obok mnie niczym armatnia kula. A cóż to oboje zamierzacie pobroić, hm? Bawicie się w chowanego? Tak, tak, nadal pamiętam dawne czasy, kiedy identycznie bawiliśmy się z moją Viv. Zaraz, zaraz... - mruknął książę. - Przecież to było w zeszłym tygodniu, kiedy Clarice i jej Rigby wybrali się na przejażdżkę! Bez obaw, synu, będę milczał jak grób. My, mężczyźni, musimy trzymać się razem, nieprawdaż? Na końcu korytarza skreć w prawo, uważając przy tym na dywan, bo się ślizga, a potem idź prosto do trzecich drzwi.

Sadie zamarła, wstrząśnięta, że książę pomaga Darby'emu, lecz kilka sekund później znowu rzuciła się do ucieczki. Po raz pierwszy dotarło do niej, jak długi jest korytarz i jak bardzo jest bezbronna. Nie słyszała, by którakolwiek z dam podążyła za wicehrabią, nikt go nie wołał, a na domiar złego książę dał temu hultajowi wolną rękę.

Pierwotny plan ukrycia się za zamkniętymi na klucz drzwiami sypialni wydał się jej teraz niedorzeczny, zważywszy na to, że wicehrabia ośmielił się dotrzeć tak daleko. Zapewne był gotów po prostu krzyczeć do niej przez drzwi, tym samym ujawniając wszem wobec całą prawdę na jej temat.

Przerażona tymi wnioskami, nie przekreśliła klucza i opadła na fotel w różowo-białe kwiaty, po czym złożyła dłonie na piersi, usiłując złapać oddech.

Wkrótce usłyszała stukot kroków Darby'ego, który zbliżał się ostrożnie niczym drapieżnik. Zatrzymał się na progu i po chwili namysłu całkiem niepotrzebnie zapukał. Nie czekał bowiem na zaproszenie, lecz wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

Sadie wiedziała już, jak wygląda zabawa w kotka i myszkę z punktu widzenia myszki.

- Czy można? - spytał z uśmiechem Darby.

Przeciągnął krzesło spod biurka na środek pokoju, po czym usiadł z nogami skrzyżowanymi w kostkach i z założonymi rękami.

- Niech pomyślę - odezwał się. - Nie ma pani męża. Tak pani powiedziała. A sekundę potem dodała pani niemal jednym tchem, że Maxwell odszedł dwa lata temu.

Ten przeklęty wicehrabia miał niemal tak dobrą pamięć jak Marley! Do diabła z nim.

- Oba stwierdzenia są zgodne z prawdą - przytaknęła. - O ile jedno rozważy się niezależnie od drugiego.

- Zatem nie okłamała mnie pani.

- Nie, nie okłamałam. W każdym razie nie do końca.

Serce Sadie biło jak oszalałe.

- Czy wybaczy mi pani, jeśli powstrzymam się od pochwał na temat pani wybiórczej uczciwości? - spytał z ironią Darby.

Miał pełne prawo się irytować, a nawet wściekać. Mimo to wydawał się pogodny, wręcz zadowolony. Czyżby coś z nim było nie w porządku?

- Miałam powód.

- Och, wcale w to nie wątpię. Z pewnością był to nader ważki powód. Może zechciałaby pani podzielić się nim ze mną? Umieram z ciekawości.

- Nic nie powiem, jeśli nie zrezygnuje pan ze swojej kpiarzkiej postawy - odparła z urazą w głosie Sadie. - W dodatku jest pan dziwnie zadowolony z siebie. Wyjawiłabym panu prawdę... w stosownym momencie. A teraz wasza lordowska mość szczerzy zęby w szerokim uśmiechu. To nie do pomyślenia! Jak pan śmie?

- Śmiem, droga pani, albowiem nie jest pani mężatką, nigdy nią nie była i z całą pewnością nie jest pani wdową. Co oczywiście, nie nazywa się pani Boxer. Jak zatem brzmi pani godność?

- W takiej sytuacji raczej powinien pan nadal traktować mnie jak panią Boxer, chyba że nosi się pan z zamiarem poinformowania wszystkich przemiłych pań na dole tego domu, że zostały okłamate. Bardzo bym sobie tego nie życzyła, zwłaszcza po tym, jak księżna i Clarice, uważając mnie za wdowę, opowiedziały mi kilka, hm, pieprzonych dowcipów o radościach płynących z...

Darby pochylił się z ciekawością.

- Tak? - Uniósł brwi. - O radościach płynących z czego, Sadie? Zwracam uwagę, że postanowiłem zwracać się do ciebie w sposób nieformalny. Może dzięki temu uniknę wymieniania twojego nazwiska... Jednego z twoich nazwisk.

- Uznały mnie za osobę dorównującą im pod względem... doświadczenia - wyznała niechętnie. - Nie dodam już ani słowa na ten temat, gdyż wiem, że tego pan oczekuje, a nie zamierzam sprawiać panu radości. Powiem tylko tyle, że dzięki Bogu spędziłam w gabinecie brata wystarczająco dużo czasu, by w większości wypadków rozumieć, o czym mówią moje nowe przyjaciółki.

- Jak rozumiem, ich frywolne żarciki odnosiły się do męskiej anatomii. Swoją drogą miałaś sporo szczęścia, że Maxwell nie był buldogiem, prawda?

Kąciki ust Sadie zadrżały, ale tylko na sekundę. Doskonale wiedziała, że czeka ją nie lada przeprawa. Wicehrabia zachowywał się stanowczo nazbyt sympatycznie jak na człowieka, którego oszukała. Szczerze powiedziawszy, powinien kipieć wściekłością!

Skąd zatem u niego ten spokój?

- Właściwie nie powinienem o tym wzmiankować, albowiem świadczy to o fatalnym braku zaufania do ciebie, ale lwiał część ostatnich czterech wieczorów poświęciłem na ciągnięcie przyjaciół i znajomych za język. Liczyłem na to, że któryś z nich pamięta niejakiego Maxwella Boxera, dajmy na to, z czasów wojny. Co zdumiewające, nikt o nim nie słyszał.

- Nie może mnie pan winić za swoją podejrzliwą naturę - zauważyła Sadie.

- Co prawda, to prawda.

Darby przyłożył kciuk do policzka, rozpostarł dłonie i zaczął palcami masować czoło nad lewym okiem. Jednocześnie zaciął usta, a Sadie zauważyła, że wyraźnie pobladł.

Wyglądało na to, że choć pozornie zachowywał spokój, w gruncie rzeczy panował nad sobą z najwyższym trudem. Sadie zawstydzila się, uświadomiwszy sobie, że niewątpliwie z jej powodu doskwierał mu ból głowy. Postanowiła natychmiast wszystko wyjaśnić.

- Marley naprawdę jest córką Johna - zaczęła. - W tej sprawie nie kłamałam. Zjawiała się tutaj, gdyż John kazał mi przywieźć ją do pana. Rzeczywiście jestem siostrą Johna, tak jak mówiłam. Nazywam się Sadie Grace Hamilton i uznałam, że

bezpieczniej będzie podróżować publicznymi powozami jako wdowa po żołnierzu niż jako panna. Ot, cała prawda.

Przypatrywał się jej jednym okiem, niebieskim i uważnym. Nie rozumiała, na co czekał.

- Z pewnością chciałby pan wiedzieć, dlaczego nie przedstawiłam się w liście - dodała po chwili. - Otóż uznałam, że mam po temu istotny powód. Wydawało mi się rozsądne, by dodać piśmu powagi. Jako pogrążona w bólu siostra nie zostałabym potraktowana z należytą uwagą.

Nie odrywał od niej spojrzenia.

Sadie poruszyła się niespokojnie. Nie miała pojęcia, co jeszcze ma powiedzieć, nie wiedziała też, dlaczego ciągle papła.

- Dodam jeszcze, że uświadamiałam sobie, jak trudna jest moja sytuacja. Jak słusznie założyłam, moja bratanica trafiła do domu kierowanego przez mężczyznę. Jako samotna kobieta z cudzym dzieckiem nie chciałam być uważana za... łatwy łup.

Wreszcie doczekała się reakcji.

- Łatwy łup dla mnie? - zdumiał się tak, że dłoń opadła mu na kolano. - Na rany Chrystusa, kobieto, cóż takiego naopowiadał ci o mnie John?

- Mówił o panu w samych ciepłych słowach - zapewniła go pośpiesznie. - To jednak nie zmienia faktu, że byłam i jestem niezamężną kobietą ze wsi, przyzwyczajoną do skromnego życia, całkowicie pozbawioną jakiegokolwiek ochrony i zdecydowaną uczynić wszystko, by zapewnić osieroconej bratanicy godne życie.

- Oraz bezpieczeństwo - dodał. - Nie wolno zapominać o jej bezpieczeństwie, zwłaszcza że właśnie ta kwestia wzbudziła moje zainteresowanie w pierwszej kolejności. Czy to już wszystko? A może jest jeszcze coś, co twoim zdaniem powinienem wiedzieć?

Sadie myślała przez chwilę. Czy powinna powiedzieć wicehrabiemu coś jeszcze? Może i tak. Czy chciała mu coś powiedzieć? Nie, z całą pewnością nie.

- Owszem - potwierdziła w końcu. - Powinien pan wiedzieć, że bardzo ubolewam nad tym, co zrobiłam, i pragnę pana za to z całego serca przeprosić. Swój plan skleciłam naprędce i nie

wzięłam pod uwagę jego licznych wad. Postąpiłam... nikczemnie.

- Ależ bez przesady. Na pewno nie nikczemnie, raczej... niefortunnie. Nieco niepotrzebnie wprowadziłaś mnie w błąd, co było w najgorszym wypadku irytujące, ale nic poza tym. Zapewniłaś mi kilka godzin dyskomfortu, Sadie Grace, ale nie będziemy teraz rozmawiali o jego źródle. Powinnaś przy tym wiedzieć, że ulżyło mi, gdy poznałem prawdę. Bądź co bądź, jesteś osobą, za którą się podajesz, i nie kłamałaś w sprawie tożsamości Marley. Wolę twoje nieprzemyślane kłamstewka niż świadomość, że wprowadziłem dwie oszustki do grona przyjaciół.

- Co za ulga - oznajmiła Sadie z przekąsem.

- Nie zamierzam podkreślać, że ta uwaga może zostać uznana za impertynencką, gdyż jestem dżentelmenem. Na razie proponuję zakończyć ten temat i przejść do innego. Twoja bratanica ogromnie polubiła psa, przyznasz - zauważył. - Stajenna suka oszczeniła się przeszło miesiąc temu i przyszło mi do głowy, że Marley poczuje się bezpieczniej z własnym zwierzęciem. Śmiem twierdzić, że dobrze to obmyśliłem.

- Mógł pan przynieść jej kotka albo jeszcze lepiej kotkę - burknęła Sadie i wstała, więc Darby również zerwał się z miejsca. - Nie narobiłby pan niepotrzebnych problemów.

- Darowanemu szczeniakowi nie zagłada się w zęby. Oszczędziłaś sobie dość drastycznego przesłuchania, Sadie. Powinnaś się cieszyć, że Marley i damy były przy nas, kiedy prawda dotarła do mojego podejrzliwego umysłu.

- Chyba ma pan rację. Wiedziałam, że pan mi nie wierzy. Szczerze mówiąc, nie przywykłam do nieufności ze strony innych. To była dla mnie nowa, ogromnie niepokojąca sytuacja. Na domiar złego uświadomiłam sobie, że albo pan uwierzy w moje słowa, albo wyrzuci nas obie na bruk. Wtedy zaczęłam szczerze żałować, że skłamałam.

- Jeszcze nie czas, by odetchnąć z ulgą. - Pokręcił głową. - Jestem przekonany, że damy na dole już dodały dwa do dwóch. Innymi słowy, w żadnym razie nie możesz dalej przedstawiać się jako pani Boxer. Czeka cię sporo tłumaczenia, ale twoja tajemnica nie wyjdzie na jaw.

- Wolalabym ukrywać się tutaj i wstydzić po wsze czasy niż rozczarować bliskie panu damy, ale skoro muszę... Zapewne będą zbulwersowane i oburzone moim nie całkiem uczciwym zachowaniem.

Darby roześmiał się głośno.

- Wręcz przeciwnie - odparł. - Znam te damy i wiem, że najpierw cię skomplementują, a potem pouczą, jak mogłaś rozebrać to lepiej. Chyba jednak rozsądniej będzie, jeśli podyskutujemy o tym w trakcie spaceru po placu, a nie tutaj, w pokoju. A na razie pójdziemy zobaczyć, jak się dogadują Marley i Max, zgoda?

Sadie z ulgą przyjęła propozycję zmiany tematu na znacznie mniej kłopotliwy.

- Wspomniał pan, że suka się oszczeniła. Co z resztą miotu? - zapytała od niechcena.

- Jak to co? - Uniósł brwi. - Potrzebowałem tylko jednego szczenięcia, więc resztę kazałem utopić w wiadrze. Czy na taką odpowiedź liczyłaś?

Sadie nie mogła powiedzieć, że kamień całkiem spadł jej z serca, więc postanowiła wspaniałomyślnie wybaczyć zgryźliwość Darby'emu, który bez wątpienia nadal miał do niej żal.

- Nie jestem aż tak bardzo skłonna czynić z pana potwora. - Przeszła z nogi na nogę. - Po prostu mam nadzieję, że znajdą dobre domy, o ile nie zatrzyma ich pan w stajni.

- Urodziła się tylko czwórka i poczyniliśmy już odpowiednie ustalenia. Proponuję, żebyśmy się pośpieszyli, w końcu wybieramy się na spacer. Chyba nie zapomniałaś?

Sadie z przerażeniem zerknęła na zamknięte drzwi, gdyż nagle uświadomiła sobie coś, o czym wcześniej w ogóle nie pomyślała.

- Poszedł pan za mną na górę - oznajmiła przez ściśnięte gardło. - Wszyscy pana widzieli. Po drodze spotkał pan księcia. Od dłuższego czasu bawi pan w mojej sypialni. Co oni sobie pomyśleli? Wielkie nieba, Clarice będzie niemądrze chichotać, a księżna zapewne zasypie mnie nieobyczajnymi pytaniami. Albo, co gorsza, mrugnie do mnie porozumiewawczo.

- Gratuluję ci umiejętności dostrzegania poniewczasie tego,

co powinnaś była zauważyć dużo wcześniej – powiedział Darby z przekąsem. – Obawiam się jednak, że sytuacja jest znacznie gorsza. Moja prywatna, prowadzona na osobności rozmowa z tobą jako wdową Boxer, ciotką mojej podopiecznej, z założenia nie wygląda przyzwoicie. Jak sama zauważyłaś, jesteśmy w twojej sypialni, więc problem wydaje się tym poważniejszy, ale pał sześc, zasady są po to, by je naginać, przynajmniej niektóre.

Sadie czuła, że zaraz zapadnie się pod ziemię.

– Przecież to jakiś nonsens, chyba nie sugeruje pan...

– Prawdę mówiąc, bynajmniej – przerwał jej. – Znam te damy dobrze. Zapewne pomyślą, że nasze zachowanie jest uroczo nieprzyzwoite. Jej książęca mość naprawdę ma za nic konwenanse. Matka Coopera uważa, że zwyczaje towarzyskie zostały wymyślone przez mężczyzn, by irytować kobiety. Z kolei Clarice, poczciwa duszyczka, w ogóle nie ma pojęcia o przyzwoitości.

Sadie ponownie opadła na fotel.

– Dzięki Bogu... – Westchnęła. – Przez moment sądziłam, że...

– Sądziłaś, że konwenanse nakazują, byśmy wzięli ślub. Tak, mam tego świadomość. Powiem więcej, moim zdaniem takie rozwiązanie ma sens, jeśli spojrzeć na nie od strony praktycznej.

Sadie była pewna, że lada moment oczy wyjdą jej z orbit.

– Że co proszę? – wydukała.

Zachwycony sobą Darby dumnie wypiął pierś.

– Od strony praktycznej – powtórzył i również usiadł. – Przejąłem opiekę nad Marley. Co do ciebie... Cóż... Ty błąkasz się po okolicy, ani tu, ani tam, ni pies, ni wydra. Ciotka i zarazem stara panna, która już od dawien dawna nie uchodzi za młodkę...

– Wypraszam sobie!

– Spójrzmy prawdzie w oczy, Sadie Grace, twoje zęby mądrości wyrznęły się lata temu, nawet jeśli nie stoisz jeszcze nad grobem. Nie mogę zatrudnić cię na stanowisku guwernantki i udawać, że jesteś li tylko pracownicą, gdyż powszechnie wiadomo, że Marley to twoja bratanica. Nie możesz kręcić się po domu, aż Marley dorośnie i się wyprowadzi lub dopóki nie posiwiejesz. Poza tym gdybym postanowił się ożenić, jakże miałbym

wytłumaczyć pannie młodej twoją obecność? I jeszcze jedno. Prędzej sczeznę, niż ofiaruję ci sezon i wstęp na salony. Na czym więc stoimy, Sadie Grace, hm?

- Pan chyba nie mówi poważnie. Nie może pan tego zrobić - jęknęła zrozpaczona.

- Nie mogę i nie umiem robić bardzo wielu rzeczy. Nie umiem latać. Nie zdołałbym pokonać oceanu w pław. Nie jestem w stanie jednocześnie klepać się po głowie i głaskać po brzuchu, ale możesz poprosić Rigby'ego o demonstrację, to jego popisowy numer. Dostrzegam jednak sens w małżeństwie z rozsądku, które powinniśmy zawrzeć. Byłby to układ wyłącznie formalny. Poza tym pomyśl, jak bardzo ucieszyłaby się Marley, gdyby wiedziała, że na pewno jej nie zostawisz. Pomyśl o dziecku, Sadie Grace.

- Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę.

- Dajże spokój, czyżbym był aż tak straszny? Pozwolę sobie mniemać, że jestem całkiem ponętny, nawet z opaską na oku. Zęby mam nie najgorsze. Kąpię się regularnie i zbieram pochwały za umiejętności taneczne. Do tego jestem tak niewiarygodnie bogaty, że mógłbym dożyć późnej starości, wyłącznie licząc własne pieniądze. Krótko mówiąc, nie lada ze mnie partia.

- Zapomniał pan napomknąć o swojej niedoścignionej skromności - mruknęła. - Trzeba jednak przyznać, że zaimponował mi pan tymi regularnymi kąpielami. Szkoda tylko, że nie dodał pan, jak bardzo bywa irytujący i zachwycony sobą. Poza tym właściwie nic pan nie robi, niczym się nie zajmuje, prawda?

- Jak to, ja się niczym nie zajmuję? Jestem wicehrabią, to moje zajęcie. Wiążą się z nim obowiązki.

Sadie nie wiedziała, dlaczego nie potrafi ugryźć się w język. Zachowywała się tak, jakby pragnęła, żeby hrabia wyrzucił ją na ulicę.

- Pańskie urodzenie jest dziełem przypadku - oznajmiła. - Ciekawi mnie, czy mógłby pan o sobie powiedzieć: „Osiągnąłem to i to. Dzięki mnie coś się zmieniło na lepsze”.

Darby przycisnął palce do lewej skroni.

- Czyżbyśmy właśnie wdali się w pierwszą kłótnię, Sadie Grace?

- Czy ma pan poczucie, że jest komukolwiek potrzebny? - odpowiedziała pytaniem.

- W tej chwili? Nie. Może w ramach naszego formalnego układu ustalimy, że wygnasz ze mnie nieudolnego lenia i sprawisz, że stanę się tytanem pracy? Co ty na to?

- Mogło być gorzej. - Sadie po raz pierwszy od bardzo dawna poczuła, że odzyskuje władzę nad własnym losem. - Nie chcę, żeby Marley dorastała w przekonaniu, że jest tylko niewiele warta, lecz modną dekoracją.

- Zatem przyjmujesz moje oświadczenia?

Przypatrywała mu się z ciekawością.

- Wydawało mi się, że nie mam wyboru.

- Zawsze istnieje jakiś wybór, Sadie Grace. Chcę, byś powiedziała głośno, że weźmiemy ślub.

- Może mam to zapisać? - zapytała jak zwykle bez należytej powagi.

- Już raz się przekonałem, jak sprawnie wykonujesz obowiązki sekretarza. Wystarczy proste „tak”.

- Jak sobie wasza lordowska mość życzy. - Znowu wstała. - Tak. Tak, zgadzam się na nasz układ.

- Nie mów do mnie wasza lordowska mość, tylko Darby. - Również wstał. - Poza tym wiedz, że chciałbym traktować nasze małżeństwo jak umowę korzystną dla obydwu stron.

- To uczciwe podejście. Obustronnie korzystna umowa, zgadzam się, choć nie bardzo wiem, jak ty na tym skorzystasz. Tak czy siak, teraz musimy już koniecznie dołączyć do dam.

Podążył za nią, ale odezwał się dopiero przed drzwiami do salonu na parterze.

- Co do korzyści, Sadie Grace - powiedział. - Chyba zapomniałem napomknąć, że jestem zainteresowany dziedzicem.

ROZDZIAŁ PIĄTY

W powietrzu czuło się chłód, zwłaszcza że wiał rześki wietrzyk, lecz większa część Grosvenor Square pozostawała skąpana w słońcu, dzięki czemu przechadzka była całkiem przyjemna. Jeśli nie liczyć kilku niań z podopiecznymi, okolica wydawała się dość pustawa. Mieszkańcy placu, którzy opuszczali domy, kierowali się prosto do powozów, a odwiedzający plac czynili dokładnie na odwrót.

Wyższe sfery były towarzyskie tylko wówczas, gdy przyszła im na to ochota. Kiedy szlachtetnie urodzeni zmierzali do konkretnego celu, równie dobrze mogliby nosić klapki na oczach.

Darby właśnie na to liczył, gdy zaproponował Sadie spacer. Wiedział, że w tym miejscu nikt nie posądzi ich o łamanie zasad przyzwoitości, nikt im nie przeszkodzi, a rzekoma pani Boxer będzie czuła się pewniej w pobliżu domu księcia i nowych przyjaciół.

Wyobraził sobie, że gdyby teraz, na środku placu, namiętnie pocałował pannę Sadie Grace Hamilton, nie obesłoby to nikogo, z wyjątkiem kilku zaskoczonych niań, których jedyną reakcją byłby dyskretny chichot.

Spacer nie miał już na celu wyciągnięcia tajemnic z Sadie. Darby pomyślał, że szczęśliwym trafem przyniósł szczenię dla Marley, ale też musiał przyznać, że szczęście zawsze uśmiechało się do niego od ucha do ucha.

W oczach Sadie był typem konika polnego, człowiekiem beztroskim i zasadniczo bezużytecznym.

- Znowu cię boli głowa - zauważyła Sadie i były to pierwsze słowa, które wypowiedziała od dziesięciu minut, czyli od opuszczenia książęcego domu. - I ponownie to moja wina.

Darby uświadomił sobie, że pociera czoło pod bobrową czapką i pośpiesznie opuścił rękę. W istocie, doskwierał mu ból głowy, który dał o sobie znać jeszcze w sypialni Sadie i było mało

prawdopodobne, by rychło ustąpił.

- Wydaje mi się, że sporo się wydarzyło, więc trudno mówić o winie konkretnej osoby - odparł.

- To prawda. Pomijając wszystko inne, wcale nie musiałeś łąpać mnie za rękę i wciągać do salonu, aby obwieścić wszem wobec, że zapalaliśmy do siebie uczuciem i od tej chwili jesteśmy zaręczeni. Z twojej deklaracji wynikało mniej więcej tyle, że spędziliśmy na górze domu tyle czasu, gdyż pochłonęło nas... byliśmy zajęci...

- Gdyż zacieśnialiśmy więzi - dopowiedział Darby usłużnie. - Osoba, która nie potrafi wymyślić dla siebie lepszego miana niż pani Maxwellowa Boxer, najwyraźniej potrzebuje wsparcia.

- Czy mógłbyś przestać mi dogryzać? - zirytowała się Sadie natychmiast. - Uczepiłeś się mnie jak rzep psiego ogona. Wybacz to kolejne odniesienie do psa, ale przyznasz, że samo się narzuca. Wiem, co zrobiłam, i nie jestem z siebie dumna. Wracając do tematu: „zacieśnianie więzi” to określenie, które może służyć wyłącznie do eleganckiego opisania bardzo niestosownych myśli na nasz temat. Teraz wszyscy mają mnie za Bóg wie kogo.

- Dzięki mnie bez większych trudności wykaraskałaś się z kłopotów związanych ze swoim drobnym oszustwem. Damy były zbyt zachwycone nowiną o zaręczynach, by zwracać uwagę na cokolwiek innego. Od razu widać, że zyskałaś spore grono przyjaciółek.

- Twoi przyjaciele nie okazali się szczególnie pomocni, gdy przybyli ze swoimi damami - zauważyła. - Sądziłam, że dzentelmeni trzymają się razem.

- Ależ oni trzymali się razem. Po prostu uważają, że wiedzą, co jest dla mnie najlepsze. Co istotne, ich damy, jak wdzięcznie raczyłaś określić Theę i Dany, niewątpliwie wyraziły aprobatę dla naszego związku. Gdyby obaj moi druhowie nie byli tak ewidentnie zakochani, uznałbym, że w ich przekonaniu nieszczęścia stadami chodzą po ludziach.

- A może po prostu zemścili się za szczenięta.

Darby przyjął jej sugestię z uśmiechem. Gabe, Coop i Rigby zjawili się pod nieobecność jego i Sadie, przynosząc swoje

„upominki” od Darby’ego, pozostałe spaniele z miotu, niedawno doręczone im wraz z pozdrowieniami od wicehrabiego.

Damy nie posiadały się z zachwytu. Marley niemal oszalała z radości, gdy wszystkie pieski znalazły się na dywanie i natychmiast zaczęły łasić się do niej i ją lizać. Darby’ego ogarnęła nieznaną błogość, gdy wsłuchiwał się w chichot bratanicy. Przyszło mu do głowy, że tak powinno wyglądać szczęśliwe dzieciństwo, gdyż to odpowiedni czas na śmiech oraz beztroską zabawę. Przynajmniej chciał w to wierzyć.

- Jak zwykle sprawiłeś, że wszystkie damy cię kochają - powiedział rozbawiony Gabe, gdy cała czwórka przyjaciół stanęła z boku, z dala od harmidru. - A teraz czas na wyjaśnienia. Jak ci się udało w zaledwie pięć dni przemienić się z niezadowolonego opiekuna młodej panny w narzeczonego?

Darby obiecał przyjaciółom, że opowie im o wszystkim później, najlepiej przy drinku w klubie. Nim wniebowzięte damy dopadły Sadie, zdołał ją wyłuskać z salonu i zabrać na spacer.

Gdy okrążali plac, pozwolił jej rozmyślać o przyszłości ich związku, ale w końcu nadszedł czas na następny krok. Sadie nie zareagowała, gdy wyszeptał przed salonem, że w ramach układu z nią oczekuje spadkobiercy, ale nie zamierzał jej popędzać. Wiedział z doświadczenia, że cierpliwość i konsekwencja popłcają.

- Przekazałem damom tylko ogólne zalecenia - zmienił temat.
- Czy mogłabyś mi powiedzieć, ile sukni zamówiłaś?

- Po pierwsze, nie zamówiłam żadnych sukni. Po drugie, nigdy nikogo nie prosiłam o żadne suknie ani też o buty, rękawiczki, czepki, szale, peleryny czy torebki. Po trzecie, nie zgadzałam się ani na przycinanie mi włosów, ani na polerowanie paznokci. Po czwarte, niczego nie potrzebuję i niczego nie chcę.

- W porządku. - Starał się ukryć uśmiech. - Ujmę to inaczej. Ile sukni i całej reszty zamówiły dla ciebie damy?

- Zbyt wiele. - Sadie westchnęła. - Dla Marley zresztą również, ale w tym wypadku dostrzegałam sens, gdyż dzieci szybko rosną, a ona już się uskarżała, że buciki ją cisną. Księżna zapewniła mnie z całą stanowczością, że wszystko, co otrzymuję, jest absolutnie niezbędne, gdyż bez tej odzieży przyniosłabym

ci wstyd jako ciotka twojej podopiecznej. Rachunki od niezliczonych rzemieślników i dostawców, którzy bawili ostatnio w domu księżnej, zostaną skierowane pod twój adres. Co oczywiste, jestem ci winna wdzięczność, ale zrozum mnie, proszę, zgodziłam się na to wszystko wyłącznie przez wzgląd na Marley.

- Tak, wygląda na to, że Marley znajduje się w samym sercu wszystkiego, co oboje robimy od kilku dni. Jest mała, bezbronna, a do tego wyraźnie zagubiona. Śmierć Johna z pewnością odcisnęła na niej piętno. Nawet dorosłym jest ciężko w takich chwilach, a co dopiero jej.

Poprowadził Sadie ku jednej z ławek na placu, a gdy usiadła, rozpostarł poły palta i zajął miejsce obok.

- Marley żyje w strachu - odparła Sadie. - To również zauważyłeś. Miała trzy lata, gdy umarła Susan, jej mama, więc w ogóle jej nie pamięta, co jest smutne samo w sobie. Zrobiłam, co w mojej mocy, żeby zastąpić jej mamę, zamieszkałam z nimi, pomagałam Johnowi w gabinecie, pracowałam za niego, kiedy wyjechał i później... aż do jego śmierci.

Wyglądało na to, że Sadie się otworzyła, więc Darby postanowił sprawdzić, ile jeszcze informacji zdoła z niej wydobyć.

- Nigdy nie wspomniałaś, gdzie mieszkali John i Marley - zauważył. - Gdzie twój brat prowadził praktykę?

Popatrzyła na niego z ciekawością, a wtedy zauważył, że jej oczy lśnią od łez. To nie był najlepszy dzień dla Sadie i nie potrafiła tego ukryć. Darby nagle poczuł, jak mięknie mu serce. Była dzielną kobietą i podziwiał ją za to. Mógł nawet wybaczyć jej kłamstwa, a właściwie jedno kłamstwo, bo przecież poza tym mówiła prawdę. Zrobiła tylko to, co w zaistniałych okolicznościach uznała za najlepsze.

- Nie wspomniałam? Z całą pewnością nie starałam się tego zataić. Mieszkaliśmy w Dibden, w Hampshire. Wątpię, byś kiedykolwiek słyszał o tej miejscowości.

Pogrążony w rozmyślaniach Darby lekko pokręcił głową, gdyż przez moment nie miał pojęcia, o czym mówi Sadie.

- Ach, w Dibden - wymamrotał. - W istocie, nigdy mi się nie oboję o uszy. To chyba nie jest tętniąca życiem metropolia. Ale nie zawsze tam mieszkałaś, prawda?

- Nie, nie zawsze. Mieszkałam w niedużym domu moich rodziców, w Huyton niedaleko Liverpoolu po tym, kiedy oboje odeszli. Żyłam cicho i spokojnie, z niewielką zapomogą wypłaconą mi z pieniędzy pozostawionych przez tatę, który był nauczycielem, i mamę, zdolną krawcową. Wszystko się zmieniło wraz ze śmiercią Susan. Przyznaję, jestem wiejską myszką, ale to mi odpowiada. Właściwie nigdy nigdzie nie byłam, a teraz nagle znalazłam się w Londynie i wkrótce zostanę wicehrabiną. To nadal mnie przerasta. Popelniasz megalomanię, ale jeśli pomocą ci przyjaciele, nadal masz szansę otrzeźwieć i się wycofać. Ach, oto i oni. Mam nadzieję, że maszerują tu, by cię obronić przed samym sobą.

Darby podniósł wzrok i na drugim końcu placu dostrzegł Gabe'a i Coopera. Za ich plecami podążał Rigby w towarzystwie swojej Clarice. Darby ukrył uśmiech na widok narzeczonej przyjaciela, która bez wątpienia rozbudziła w sobie miłość do futer, gdyż dźwigała gronostajową mufę wielkości pudła na kapelusze. Wyglądało na to, że Clarice doskonale się przystosowała do nowej sytuacji.

- Panno Hamilton. - Gabriel Sinclair uklonił się Sadie, gdy grupka podeszła do ławki.

Clarice bezceremonialnie przegoniła Darby'ego z ławki i usiadła na jego miejscu, po czym szybko uścisnęła zdumioną Sadie, która po chwili dyskretnie wydlubała z ust kilka gronostajowych włosów.

- Sadie, zechciej nam wybaczyć. - Darby westchnął i wraz z przyjaciółmi oddalił się na bezpieczną odległość od radosnego szczebiotu Clarice. - Panowie? Przybyliście podziękować mi za szczenięta?

- Za co? - spytał rudowłosy Rigby i zamrugał zdezorientowany. - Ach, tak, tak. Szczeniak. No tak, to dopiero niespodzianka. Co prawda, nie taka jak ptaki Gabe'a, ale Clarice jest wniebowzięta. Dała mu na imię Goodfellow. Hm, bardzo ci dziękujemy.

Darby pomyślał, że na tym polega urok Jeremiasza Rigby'ego - bardzo łatwo go było rozkojarzyć, w przeciwieństwie do Gabe'a i Coopera.

- Zechcesz nam powiedzieć, co się, u licha, dzieje? - zapytał

Gabe.

- Gabe, panowie. Dlaczego uważacie, że coś się dzieje? Cóż, nie mam zbytnej nadziei, że damy uwierzyły w te kocopoły o rzekomej eksplozji uczuć między mną a Sadie, ale nie będą niczego podawały w wątpliwość. Prawda jest taka, że panna Hamilton popełniła niemądry błąd, a ja dopuściłem się *faux pas*, potęgując wspomniany błąd, i teraz jesteśmy zmuszeni wziąć ślub. Takie rzeczy zdarzają się codziennie. O ile mnie pamięć nie myli, Gabe, coś podobnego niemal przytrafiło się tobie. Zaraz, zaraz, tobie naprawdę się to zdarzyło. I nie tylko tobie, wam obu, w mniejszym czy większym stopniu. Chyba po prostu idę w wasze ślady.

- Przecież wiadomo, że Thea celowo narażała się na niebezpieczeństwo - oświadczył Gabriel. - Nie miałem wyboru.

- Zawsze mamy wybór, Gabe. - Darby pomyślał, że ostatnio często to powtarza. - A co do ciebie, Coop, ty i Dany zmierzaliście do ołtarza już po dwudziestu czterech godzinach od pierwszego spotkania. Sam byłem tego świadkiem.

- Doskonale wiesz, jak niezwykle towarzyszyły temu okoliczności. Zaręczyny były tylko wybiegiem, chwilowym rozwiązaniem.

- Myślicie, że ja i Sadie zakochamy się w sobie w najmniej oczekiwanym momencie, tak jak to się wam przytrafiło? Wątpię, by tak się stało, ale teraz moja podopieczna przynajmniej nie musi się martwić, że straci ciotkę.

- Tak, w ostatecznym rozrachunku najważniejsze jest dziecko - powiedział Coop z przekonaniem. - Wszystko to, co się obecnie dzieje, wiąże się w ten czy inny sposób z osieroconą córką Johna.

- Niewykluczone, że istotne znaczenie ma także niewątpliwa uroda jej ciotuni.

- Cóż, Gabe, przyznaję, że ta młoda dama mnie zauroczyła. - Darby roześmiał się. - Szczerze powiedziawszy, małżeństwo z Sadie wydawało się jedynym logicznym rozwiązaniem. Marley kocha ciotkę, a wydarzenia dzisiejszego poranka dały mi impuls do działania. I jak, jesteście już zadowoleni?

- Ale dlaczego zaraz małżeństwo? - Gabe pokręcił głową. -

Przecież jeszcze godzinę temu nawet nie znałeś jej prawdziwego nazwiska i nie miałeś całkowitej pewności, czy faktycznie jest siostrą Johna. Po prostu nie chcemy, żebyś dał się zrobić na szaro.

Darby udał, że ociera palcem łzę.

- Ach, moi drodzy przyjaciele, wasza troska jest doprawdy krzepiąca. Serce mi rośnie, gdy was słucham.

- Moglibyśmy także przejmować się losem młodej damy, którą wziąłeś na cel. Ktoś powinien ją ostrzec, że w naszej nadpóźniw zgodnej opinii raczej nie jesteś idealnym kandydatem na męża.

- Mam myśl, Gabe. Odwróć się teraz na pięcie i krzyknij do owej młodej damy: „Strzeż się, strzeż, panno Hamilton, albo wiem pchasz głowę w lwia paszczę!”.

- Cicho bądź - skarcił go Cooper. - Posłuchaj, Darby... Jesteśmy gotowi cię wesprzeć, podobnie jak ty zawsze byłeś gotów iść nam z pomocą. Tylko, na litość boską, wytłumacz nam, co właściwie wyprawiasz!

Darby zamrugnął. Miał wrażenie, że głowa zaraz mu eksploduje. Najchętniej zaszyłby się w jakimś ciemnym pomieszczeniu i zdrzemnął.

- Złożyłem Johnowi obietnicę, a uważam się za słownego człowieka - odparł. - Muszę chronić dziecko.

- Przed czym?

Darby przycisnął palce do czoła, w płonnej nadziei na odpędzenie tępego bólu.

- W tym sęk... - westchnął. - Sadie jeszcze mi nie powiedziała, ale wyczuwam pismo nosem.

- Ach, tak. - Rigby uśmiechnął się szeroko. - No proszę, panowie, nasz Darby ma konkretny powód. Zaraz, co ja opowiadam - wcale nie ma żadnego powodu, gdyż przecież nie wie tego, co wie panna Hamilton i czego mu nie powiedziała.

- Zapominacie o Marley - upomniał ich Darby ze świadomością, że nie dadzą mu spokoju, dopóki nie dowiedzą się wszystkiego. - W przeciwieństwie do swojej ciotki Marley rozmawia naprawdę z wielką chęcią. Tak przynajmniej twierdzi moja gospodyni w domu na wsi. Wygląda na to, że biedny John jeszcze

nie ostygł w grobie, gdy Sadie zjawiała się w środku nocy w pokoju bratanicy, obudziła ją, ubrała i poprowadziła w mrok, zabierając tylko jedną walizkę. Pokonały spory kawał drogi, żeby dotrzeć do gospody pocztowej i tam poczekać na powóz.

- Panna Hamilton pośpiesznie uciekała przed gromadą rozjuszonych wierzyteli Johna?

- Nie, Rigby - zaprzeczył Gabe. - Krewniaczki nie są odpowiedzialne za długi mężczyzn.

Darby zerknął na pogrążone w rozmowie damy.

- Jak twierdzi Sadie, gabinet Johna, jak również jego dom należą do wioski. Sadie i Marley musiały wyjechać, żeby lokalna rada czy też inna władza miała gdzie zakwaterować nowego lekarza. To tłumaczy, dlaczego przywiozła do mnie dziecko, ale nie sposób zrozumieć, czemu nerwowo uciekała pod osłoną nocy.

- Pytałeś ją?

- Nie, Coop, nie pytałem, bo jeszcze nie nadarzyła się sposobność. Moi pełni dobrych chęci przyjaciele przerywają mi za każdym razem, gdy się przymierzam do poruszenia tego tematu.

- Wybacz - wymamrotał Rigby. - Jak uważasz, zabrała ze sobą srebra? Skoro jest bez grosza... Była bez grosza, prawda? Takie odniosłem wrażenie.

- Wątpię, by John miał wiele sreber czy innych wartościowych przedmiotów. Mniemam, panowie, że Sadie nie tyle uciekała do mnie, ile uciekała przed kimś, a Marley przypadkiem znalazła się w centrum wydarzeń. Jestem przekonany, że cokolwiek zrobiła Sadie, miało to bezpośredni związek z jej bratanicą.

- Wzruszyłeś się losem tego dziecka, prawda? - Gabe poklepał Darby'ego po ramieniu. - Nigdy o tym nie mówisz, ale wszyscy wiemy, że przedwcześnie zostałeś sierotą.

Darby dodał w myślach, że potem zabrano go z jedyne go domu, jaki znał, i umieszczono wśród obcych.

- Sadie powiedziała coś szczególnego, kiedy się poznaliśmy - oznajmił na głos. - Moim zdaniem wcale nie chciała użyć tego słowa i żałowała, ale dobrze je zapamiętałem. Wyjaśniła mi, że chce, aby Marley była bezpieczna. Gdy postanowiłem drążyć ten temat, udzieliła mi przekonujących wyjaśnień, ale jej nie

uwierzyłem i nadal nie wierzę.

- Marley miałyby być bezpieczna pod opieką Darby'ego? - spytał Rigby. - Momentami sam sobie zadaję pytanie, jak bardzo niebezpieczny może być nasz przyjaciel. Pewnie to z powodu tej groźnej opaski na oku.

- Dziękuję, Rigby. Podsumowując i zarazem kończąc tę dyskusję, powiem tak: mój ślub z Sadie zapewni spokój ducha Marley, która jest niewątpliwie przerażona niepewnością i brakiem stabilizacji. Innymi słowy, przyjaciele, postępuję szlachetnie, choć nie mam zadatków na męczennika, gdyż sam przyznałem, że Sadie jest piękną i powabną kobietą.

- Nie pytałeś nas o radę, kiedy obrałeś ten kurs, więc nie mam, że nie mamy już po co strześcić sobie języków.

- Coop, twoje praktyczne podejście do życia jest bardzo budujące. Zawsze mogę liczyć na twój trzeźwy umysł.

- A co ze mną? - spytał Gabe z uśmiechem. - Cóż takiego uczyniłem, że teraz powątpiewasz w mój rozsądek czy może wręcz w inteligencję?

Darby uznał, że jego przyjaciele zaspokoili ciekawość, choć zapewne nie do końca.

- Czy naprawdę musimy powracać do tematu ptaków? - westchnął wymownie.

- Nie, chyba nie. Rigby, czy czujesz się urażony?

Rigby pokręcił głową.

- Raczej nie, gdyż od pewnego czasu wszelkie opinie przekazuje mi moja ukochana - odparł. - Rób swoje, Darby, przecież bez wątpienia postąpisz tak, jak postanowiłeś. Tylko niech te twoje zaręczyny nie będą pozbawione prawdziwego uczucia, bo wszyscy trafimy do wariatkowa, kiedy Clary postanowi za wszelką cenę zniechęcić cię do ożenku.

- Co prawda, to prawda - wtrącił Gabe. - Moja ciotka też jest za. Coop?

- Dany i Minerva są tego samego zdania, co wszyscy - oznajmił Cooper. - Coś podobnego. Rigby ma rację, Darby. Ostrzeż swoją Sadie. Przez wzgląd na nas, a także na nią i na siebie, niech nikt nie nabierze podejrzeń, że wasz związek nie wynika z miłości.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Pierwsza z nowych sukni Sadie dotarła akurat tuż przed pierwszą prezentacją przyszłych państwa młodych. Sadie miała się pokazać z mężczyzną, który wkrótce zostanie jej mężem, czyli wedle prawa, jej panem i władcą, miłością jej życia i ojcem przyszłych dzieci. Tak przynajmniej rozumiały to nowe przyjaciółki Sadie.

Jak dobitnie wyjaśnił Darby, osoby z ich otoczenia powinny wierzyć z niezachwianą pewnością, że zaręczyny są zwieńczeniem intensywnych zalotów. Sadie dostrzegała w tym sens. Vivien i Clarice były szczególnie niepoprawnymi romantyczkami i koniecznie chciały, żeby wszyscy się zakochiwali. Gdyby zaświtała im myśl, że to małżeństwo z rozsądku, dołożyłyby wszelkich starań, by do niego nie dopuścić.

Z tej przyczyny właśnie przy okazji odwiedzin Darby całował ją w rękę, którą przytrzymał nieco dłużej, niż należało. Przyносił kwiaty oraz upominki w postaci biżuterii, zawsze siadał obok Sadie, szeptał jej do ucha słodkie słówka i zwracał się do niej „kochanie” albo „najdroższa”.

Specjalnie wzywał Marley, żeby kołysać ją na kolanie, a także zabierał ją i Sadie na przejażdżki oraz na spacer. Posuwał się do tego, że kazał Nortonowi chodzić z Marley na przechadzki, a w tym czasie sam na sam wędrował z Sadie po parku. Zawsze nosił przy sobie nieco lukrecji, odkąd się dowiedział, że to ulubiony smakołyk Marley, i szczerze się śmiał, gdy dziecko trajkotało jak sroka o swoich przygodach.

Damy nie kryły zachwyty.

Sadie z początku chciała natrzeć mu uszu, ale musiała przyznać przed sobą, że jego zainteresowanie jej schlebia. Darby był dowcipny, sympatyczny i czuła, że coraz bardziej ulega jego urokowi. Domyślała się również, że cierpliwie czekał na jakieś jej wyznanie. Z drugiej strony, w żaden sposób nie dawał tego

po sobie poznać, więc zastanawiała się, czy to nie poczucie winy każe jej myśleć w taki sposób. Wiedziała tylko, że gdyby nie dręczące ją sekrety, bez pamięci zakochałaby się w tym mężczyźnie.

Księżna z ogromną starannością wybrała jedno zaproszenie spośród wielu na półce nad kominkiem, by wprowadzić Sadie do towarzystwa i zaprezentować ją podczas trwającego małego sezonu. Vivien uznała, że najlepiej do tego nadaje się niewielkie przyjęcie u jednej z jej przyjaciółek.

Sadie nie wiedziała, czym się bardziej denerwuje - przyjęciem czy też pierwszym występem w roli narzeczonej przystojnego i bogatego arystokraty, który właściwie powinien być poza jej zasięgiem.

Westchnęła cicho. Nie rozumiała, dlaczego nieustannie powraca myślami do Darby'ego.

Jej nowe przyjaciółki wielokrotnie podkreśliły, jak bardzo są zachwycone tym związkiem. Na wieść o zaręczynach Clarice przyłożyła dłonie do obfitego biustu i oznajmiła, że to historia jak z bajki. Po chwili dodała, że Darby Travers to dobry i lojalny przyjaciel, nieskory do oceniania cudzych postępów, a poza tym damy za nim po prostu szaleją.

Zawsze był dżentelmenem w każdym calu, zaszczebiotała rozkosznie księżna i podkreśliła, że nawet wtedy, gdy ona nie zachowywała się jak na damę przystało.

Thea oświadczyła, że Darby zawsze patrzył na świat przez różowe okulary, i wdała się w opowieść o pamiętnej sprawie ptaków i o tym, jak wszyscy zgodnie współpracowali przy podnoszeniu na duchu księcia, który do niedawna był przekonany o swojej rychłej śmierci, choć aktualnie głęboko wierzył, że nic mu nie grozi.

Sadie, naturalnie, chciałyby usłyszeć więcej zarówno o tej sprawie, jak i o zbliżających się sześćdziesiątych urodzinach księcia, ale Dany zdążyła się wtrącić i podkreślić zalety przenikliwego i bystrego umysłu Darby'ego, który dostrzegł coś, czego nie zauważyła ani ona, ani Coop.

W istocie, Darby nie miał żadnych wad. Owszem, w opinii Sadie mógłby być nieco poważniejszy, ale przecież otrzymał spe-

cyficzne wychowanie, żeby godnie zastąpić ojca. To także potrafiła zrozumieć. Jej zdaniem doskonale się sprawdzał jako wicehrabia i sądziła, że wszyscy tak uważają.

Marley okazała się jego najzagorzalszą wielbicieleką po tym, gdy otrzymała podarunek w postaci Maksa – tego, który nie był bokserem – i zasypywała Darby’ego pytaniami. Gdzie będą mieszkać? Czy zamierza tylko je odwiedzać i znowu zniknąć, tak jak teraz, czy też planuje zostawać na dłużej? Czy pomoże jej w arytmetyce, tak jak kiedyś tata, który przed śmiercią przerabiał z nią mnożenie i dotarł do pięć sześć? A dlaczego tata umarł? A co teraz robił po tym, gdy zostawili go w Dibden z mamą?

Biedną Marley miały emocje i była zbyt mała, żeby zdecydować, czy ma czuć się szczęśliwa w nowym życiu, czy też smutna z powodu utraty poprzedniego. Sadie czuła się podobnie zagubiona.

Dany i Cooper oraz Minerva we fioletowym turbanie wyruszyli tego ranka na wieś, by spędzić tam tydzień z rodzicami Dany, których Coop jeszcze nie miał okazji poznać. Thea i Gabe mieszkali w miejskim domu, ale i oni opuścili Londyn, by Gabe mógł zająć się nadzorowaniem remontu głównej sali w posiadłości Cranbrooków. Sprawa znowu miała coś wspólnego z jakimiś ptakami, ale Sadie wołała na razie nie zgłębiać tego tematu.

W domu pozostała jedynie Clarice, która z oczywistych względów nie mogła zamieszkać z Rigbym w jego kawalerskich pokojach, a także Marley i Sadie. Clarice i Marley dość nieoczekiwanie zostały przyjaciółkami od serca. Nawet teraz świetnie się bawiły podczas spaceru po placu, z Maksem i Goodfellowem na nowych smyczach. Towarzysząca im Clarice demonstrowała, jak się prawidłowo toczy obręcz.

W domu panowała nietypowa cisza po tym, jak książę oraz księżna zjedli lunch i pod byle pretekstem udali się na górę, chichocząc i trzymając się za ręce jak przedszkolaki.

Sadie uświadomiła sobie, że jest sama po raz pierwszy od dwóch tygodni, kiedy to przekroczyła próg tego budynku. Podał się jej ten spokój, chociaż wołałaby, żeby nie nachodziły jej

natrętne i niepokojące myśli. Czy naprawdę mogła pogrzebać przeszłość wraz z bratem i żyć z sekretami? Tak z pewnością byłoby prościej. Ale Marley... Darby musiał poznać prawdę o Marley - im prędzej, tym lepiej.

- Och, John, dlaczego to zrobiłeś? - wyszeptała, ostrożnie zszywając dziecięcą nocną koszulę, którą Marley rozdarła na szwie.

- Rozmawiasz ze sobą, Sadie Grace? - usłyszała nieoczekiwanie. - Masz jeszcze inne wstydlive zwyczaje, o których powinienem wiedzieć?

Igła przebiła opuszkę palca Sadie, którą pośpiesznie wsunęła do ust, żeby nie zakrwawić materiału.

- Nie rób tego więcej - burknęła.

Darby usadowił się na sofie naprzeciwko niej. Najwyraźniej kiedy byli sami, nie czuł potrzeby udawania troskliwego narzeczonego.

- Mam nie pojawiać się bez zapowiedzi? - zapytał. - Nie uważałaś, że jestem tu traktowany jak domownik? Już nie trzeba mnie anonsować. Po prostu przychodzę, kiedy chcę. Zjawiam się jak za pstryknięciem palcami.

- Nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło - wyznała zawstydzona. - Naprawdę, pierwszy raz strzeliłam palcami na Marley, jakby była psem, który ma przybiegać do nogi. Nie wiem, dlaczego tak zrobiłam.

- Może się denerwowałaś - zasugerował. - Zirytowało cię, że zostałaś przywieziona do domu, który nie cieszy się dobrą opinią.

Zamknęła oczy, przypomniawszy sobie tamtą chwilę.

- Jesteś jak Marley... - Westchnęła. - Niczego nie zapominasz. Czy widziałeś ją na placu, razem z Clarice?

- I owszem. Był z nimi Rigby i powiem ci, że nigdy nie oglądałem równie żalostnego pokazu zabawy w turlanie obręczy. Nie dość, że Rigby zachowywał się nieporadnie, to jeszcze plątał się w smyczach Goodfellowa i Maksa. Odniosłem wrażenie, że z tej trójki to moja podopieczna jest najbardziej dojrzała. Szliśmy do jednego z naszych klubów, ale wygląda na to, że Rigby nie wytrzyma, jeśli nie spotka się z ukochaną przynajmniej dwa razy

dziennie.

Sadie uśmiechnęła się do niego.

- Lubię wszystkich twoich przyjaciół, ale Clarice w szczególności - oświadczyła. - Jest taka prostolinijna i szczerą, prawda?

- Jak najbardziej. Czy dużo ci o sobie opowiadała?

- Jeśli pytasz, czy wiem, że przybyła z Ameryki jako wierna przyjaciółka i osobista pokojówka Thei, to owszem, powiedziała mi o tym. Rigby spojrzał jej w oczy, ona jemu, a wówczas zza chmur wyrzało oślepiające słońce i Clarice dołączyła do wyższych sfer jako panna Clarice Goodfellow z Fairfax w Wirginii. Jak oznajmiła w rozmowie ze mną, miłość to cudowna rzecz. Moim zdaniem jest urocza.

- Pochodzenie Clarice to także tajemnica. Wspomniała również o tym?

- Nie. - Dlaczego również? Sadie odłożyła nocną koszulę. Była pewna, że ręce jej zadrzą, gdy spróbuje szyc dalej. - Uważam, że prawie każdy ma taki czy inny sekret. A ty nie?

Darby założył nogę na nogę, najwyraźniej szykując się do dłuższej pogawędki.

- Nie uważam czy nie mam sekretów? - spytał chytrze.

- Jedno i drugie. - Odetchnęła głęboko. - Co cię tu dzisiaj sprowadza? Czyżbyśmy byli umówieni na przejażdżkę po parku, o której niefortunnie zapomniałam?

- Nie, raczej nie. Chociaż możliwe, że oboje zapomnieliśmy. Wpadłem na niezobowiązującą pogawędkę.

Nie znała Darby'ego zbyt dobrze, ale miała niezachwianą pewność, że nie zwykł wdawać się w niezobowiązujące pogawędki. Czowała, że zżerają ją nerwy. Jak to pięknie ujęła Clarice, była zdenerwowana jak ogoniasty kot w pokoju pełnym bujanych foteli.

Darby, rzecz jasna, świetnie o tym wiedział.

Sięgnęła po nocną koszulę oraz zwisającą przy niej igłę, po czym natychmiast zganiła się w myślach, gdyż matka wyjaśniła jej dobitnie, że w żadnym razie nie wolno zapominać o zabezpieczeniu igły. „Igła nie może dyndać na nitce przy ubraniu, skarbie, bo ci się wbije w ciało i tyle z tego będzie”, podkreśliła. Sadie doceniła mądrość i wagę tych słów, choć nie od razu,

gdyż w tamtej chwili była zbyt zajęta głośnym płaczem, kiedy matka ostrożnie wydobywała igłę głęboko wbitą w jej pośladek.

- Mama nauczyła mnie szyć - powiedziała Sadie i wsunęła igłę w nocną koszulę, którą ponownie odłożyła na bok. - Przez myśl mi nie przeszło, że pewnego dnia ta umiejętność przyda mi się do zszywania ludzi, którzy zjawiają się w gabinecie Johna. Szczerze powiedziawszy, John twierdził, że szyję lepiej niż on, ale chyba tylko silił się na uprzejmość. Ciekawa jestem, jak sobie poradził ze zszywaniem twojej rany. Musiał być wyjątkowo delikatny i ostrożny, pracując w okolicach oka. Mogłabym zobaczyć?

- Może innym razem. - Darby przyłożył palce do opaski, jakby chciał się upewnić, czy jest na swoim miejscu.

- Wybacz, nie powinnam prosić o coś tak osobistego - zreflektowała się Sadie. - Nie chciałam cię urazić.

- Wybaczam ci, a jeśli niegrzecznie burknąłem, to sam proszę o wybaczenie. Oko nie wygląda ładnie, jeśli to pragniesz wiedzieć, choć John dołożył starań, żeby blizny były jak najmniej widoczne. Liczył na to, że z biegiem czasu w pełni odzyskam wzrok, lecz tak się nie stało, więc straciłem nadzieję na poprawę. Noszę opaskę, aby nie przerażać małych dzieci i pokojowców, ale przede wszystkim dlatego, że ranionym okiem widzę podwójnie, co jest ogromnie irytujące. Ale nie o to chodziło, prawda?

- Przede wszystkim chciałabym wiedzieć, jak się czujesz w związku z tą raną.

- Doprowadza mnie do wściekłości - wyznał. - Sama byś się denerwowała. Nasz tak zwany dowódca pokpił sprawę i niewiele brakowało, a tamtego dnia wszyscy powędrowalibyśmy do piachu. - Umilkł na chwilę i dodał: - Przepraszam, zaraz wrócę.

Powiodła za nim spojrzeniem, kiedy szedł do stolika z trunkami i nalewał sobie kieliszek wina. Po chwili ponownie zajął miejsce naprzeciwko niej i wziął głęboki oddech.

- Przez dłuższy czas, a prawdę powiedziawszy, przez wiele miesięcy, czasem nawet i teraz ogarnia mnie nagły, obezwładniający strach, że coś niedobrego stanie się z moim zdrowym okiem i wówczas przestanę cokolwiek widzieć - ciągnął. - Boję

się, że już nigdy nie zobaczę słońca ani twarzy przyjaciół. Blizny to poważny problem, ale najbardziej doskwiera mi lęk przed ślepotą. Czy odpowiedziałem na twoje pytanie?

- Przepraszam, Darby - szepnęła Sadie. - Naprawdę bardzo cię przepraszam.

- Naprawdę nie ma za co. Gdyby powodowała tobą pusta ciekawość, na pewno bym ci nie odpowiedział. Dopisało mi szczęście, jakkolwiek patrzeć, wyszedłem z tej wojny w jednym kawałku. Wiele tysięcy moich towarzyszy broni poległo lub umarło po powrocie, wśród nich także twój brat.

- Spoglądasz na opaskę i przypominasz sobie o tamtych ludziach. To zrozumiałe. W pewnym sensie, ilekroć spojrzę na ciebie, zawsze wspominam Johna. To był naprawdę dobry człowiek.

- Nie sposób się nie zgodzić. Mam jednak nadzieję, że teraz zechcesz zaspokoić moją ciekawość, do której od razu się przynaję. Co jeszcze dla niego robiłaś? Wiem, że opiekowałaś się Marley i zakładałaś szwy pacjentom. Czy oprócz tego gotowałaś, sprzątałaś i prałaś?

- Nie było nas stać na gosposię, jeśli do tego zmierzasz. Poza tym prowadziłam księgowość. Ale skąd te pytania? - zaniepokoiła się. - Czy to, co robiłam, dyskwalifikuje mnie jako żonę wiehrabiego? A może umiejętności związane z prowadzeniem domu są jedną z moich rozlicznych zalet?

- Głęboko wierzę, że doświadczenie w tej dziedzinie okaże się przydatne przy nadzorowaniu służby. Na twoim miejscu jednak powstrzymałbym się od udzielania rad pani Camford, gdyż traktuje ona posiadłość jak swoją prywatną własność. Kiedy zjawiam się w domu, jestem w nim ledwie tolerowany.

- Wydaje mi się, że ja i pani Camford dobrze się dogadujemy - odparła Sadie z uśmiechem.

- Zachowaj wzmożoną czujność, dopóki pani Camford nie pozwoli ci mówić do siebie Camy.

Po raz pierwszy prowadzili tak szczerą rozmowę, więc postanowiła zaryzykować i posunąć się o krok dalej.

- Pierwszego dnia naszej znajomości wyjawiliś, że po śmierci rodziców wychowywałeś się w domu na wsi. Przypuszczam, że

państwo Chamfortowie traktują cię trochę jak własnego syna, choć jesteś wicehrabią.

- Zostałem wicehrabią w wieku zaledwie siedmiu lat, Sadie. Musisz wiedzieć, że arystokratyczny tytuł nie chronił mnie, kiedy nabroilem i trzeba było solidnie przetrzepać mi skórę. Państwo Camfordowie wychowali czterech synów, nim wzięli mnie pod swoje skrzydła, więc szybko się przekonałem, co mi wolno, a czego nie.

- Zapewniam cię, że pierwszego dnia po naszym przybyciu Marley nie zachowywała się w typowy dla siebie sposób. Po prostu była zmęczona, głodna i zdenerwowana. To dobrze wychowane dziecko, naprawdę grzeczne. Nie będzie sprawiała problemów.

- Kopnęła mnie w goleń, gdyż oburzyło ją, że cię rozzłościłem - zauważył Darby. - Bronicie się nawzajem z jednakową energią. Przyznaję, że popełniłem wtedy błąd.

- Dziękuję. - Sadie rozejrzała się po pokoju, chcąc zyskać na czasie i znaleźć inny temat do rozmowy. Jednocześnie modliła się skrycie, by zjawiała się reszta towarzystwa. Tak bardzo brakowało jej pogodnego trajkotania Clarice! - Książęca para jest w domu, ale niedługo przed twoim przybyciem udała się na górę.

- Ganiłi się po schodach czy wyszli, gruchając i obściskując się po drodze? - spytał, nie owijając w bawełnę.

Sadie poczuła, że na jej policzkach wykwitają piękące rumieńce.

- To bardzo szczęśliwi ludzie - odparła wymijająco.

Darby zaśmiał się głośno.

- I owszem - przyznał. - Czasem są wręcz nieprzytomni ze szczęścia. - Spojrzał z ciekawością na Sadie. - Czy ktoś ci już mówił o Basilu i jego sześćdziesiątych urodzinach?

- Ależ tak. Wiem, że pod koniec miesiąca odbędzie się małe przyjęcie rodzinne, a wieczorem tego samego dnia bal. - Zmarszczyła brwi. - Chyba że uroczystości zostaną odwołane. Korciło mnie, aby o to spytać, ale wszyscy tylko kiwali głowami, jakby chodziło o coś zupełnie oczywistego, więc dałam sobie spokój, bo wyszłoby na to, że jestem wścibska.

Darby oparł dłonie na kolanach i pochylił się ku Sadie.

- Nadal będziemy wtedy w mieście, więc chyba powinnaś znać prawdę - zdecydował. - Basil nigdy nie miał być księciem. Co więcej, nigdy nie aspirował do tego tytułu. Jako czwarty, czy też wręcz piąty syn w kolejności - pogubiłem się - nie został wychowany na księcia i pozwolono mu ożenić się z kobietą, którą sam sobie wybrał, całkowicie nieodpowiednią na księżną. Mam na myśli naszą Vivien, rzecz jasna. Oboje regularnie otrzymywali pieniądze na życie i nie musieli nic robić, więc przez wiele lat świetnie się bawili. Przemierzyli pół świata, przywożąc z podróży stada egzotycznych ptaków, o których opowiem ci przy innej okazji, i przez cały czas intensywnie rozkoszując się swoją bliskością, że tak to ujmę.

- Rozumiem, co masz na myśli. - Na policzkach Sadie ponownie pojawiły się rumieńce.

- Cóż, ich swawole gwałtownie dobiegły końca, gdy bracia Basila zaczęli kolejno przenosić się na łono Abrahama, zawsze tuż przed swoimi sześćdziesiątymi urodzinami. Pierwszy przypadek był po prostu smutny. Drugi był zbiegiem okoliczności. A trzeci? Może był i czwarty, jak wspomniałem, trochę się pogubiłem. Gdy Basil miał pięćdziesiąt osiem lat, dowiedział się o śmierci kolejnego z braci i nagle dotarło do niego, że sam jest księciem, na dodatek skazanym na podzielenie losu poprzedników.

- To zupełnie okropna świadomość. Czy on naprawdę w to wierzy, czy raczej nie?

- Niestety, uwierzył w to dość bezkrytycznie. Pograżony w rozpacz, zaszył się w Cranbrook, zamknął na klucz w swoich pokojach, prawie całkiem odseparował się od Vivien i w tym odosobnieniu przygotował się na spotkanie ze Stwórcą. Jak twierdzi Vivien, w rezultacie stał się wyjątkowo nudnym i posepnym osobnikiem. Gdy wszystkie jej sposoby zawiodły, nakazała interweniować Gabe'owi. Mój przyjaciel wychodził ze skóry, ale to chyba Thea w końcu przekonała Basila, że jeśli ma umrzeć, w co wątpiła, to powinien skorzystać z okazji i użyć życia, póki jeszcze może. Basil wziął sobie do serca tę radę i w ostatnich tygodniach wręcz szalał, co zapewne zauważyłaś. Osobiście

uwazam, że jeśli faktycznie przeniesie się na łono Abrahama, to nie ze względu na klątwę Cranbrooków, tylko z powodu nazbyt entuzjastycznego przenoszenia się na zupełnie inne łono. Jako siostra lekarza zapewne rozumiesz, co mam na myśli, ale na wszelki wypadek przepraszam za ten jakże niestosowny żarcik.

Sadie opuściła głowę, żeby nie widział, z jakim trudem powstrzymuje się od śmiechu. Rzecz jasna, nie mogła udawać, że nie rozumie słów Darby'ego.

- Cokolwiek by mówić, tworzą uroczą parę, prawda? - zapytała dyplomatycznie.

- Tak jak uroczę są króliki w sezonie godowym - odparł. - No dobrze, ponieważ chyba wyczerpaliśmy już większość tematów, chciałbym cię o coś spytać. Chyba że wolisz porozmawiać o wyjątkowo ciepłej aurze.

Powoli uniosła głowę.

- Wiedziałam, że jesteś dla mnie zbyt miły - wycedziła. - Postanowiłeś zamydląć mi oczy i w stosownym momencie przypuścić atak. No dobrze, cóż takiego chciałbyś wiedzieć?

Darby poprawił rękawy fraka i wstał.

- Nic szczególnie strasznego - odparł. - Chciałbym wiedzieć, dlaczego w środku nocy wyciągnęłaś moją podopieczną z ciepłego łóżka i pomaszerowałaś z nią do gospody pocztowej.

Sadie miała wrażenie, że jej wnętrzości zmieniły się w galaretę.

- Skąd to... - zająknęła się i nagle zrozumiała. - Marley.

- Powiedziała o tym Camy już pierwszego dnia.

Przez głowę Sadie przelatywało tysiące myśli. Pierwszego dnia... A zatem wiedział od początku. Rozstały się wówczas na krótko, kiedy to Sadie udała się do sypialni na wspaniałą gorącą kąpiel, która trwała dobrą godzinę. Czy godzina to dość dużo czasu, by Marley wypaplała wszystko gospodyni albo Peggy? Naturalnie. Marley zawsze mówiła prawdę i co gorsza, wyjawiała ją bez wahania.

- Odebrało ci mowę, Sadie? - Darby uniósł brwi. - A może dodajesz dwa do dwóch, jak pamiętnego dnia nasze znajome damy, gdy poznały prawdę o twoim nazwisku? W tym wypadku połączyłaś fakty - to, że Marley opowiedziała o swojej ostatniej

nocy w Dibden, a ty mimowolnie oznajmiłaś, że będzie przy mnie bezpieczna. Zgadza się, niczego nie robię bez powodu, Sadie Grace. Przez pewien czas poszukiwałem nieistniejącego Maxwella Boxera, ale poza tym cała moja uwaga pozostawała skupiona na tobie.

- I wynikiem twoich gruntownych przemyśleń są oświadczenia? - zapytała z niedowierzaniem w głosie. - Przecież pognąłeś za mną po schodach i odkryłeś, że plotę dyrdymały.

- Nie gnałem, tylko szedłem. Ba, kroczyłem ze spokojem i godnością. Nie będzie już wyprowadzek po kryjomu, ale oczekuję odpowiedzi. Mogę poczekać, gdyż cierpliwość to moja mocna strona. Musiałem jednak uspokoić zaleźnione dziecko, a przyznasz, że szczeniak i wiadomość o naszym ślubie poskutkowały.

- Trzeba było ograniczyć się do szczeniaka - mruknęła Sadie bez przekonania. - Co do reszty, gdybyśmy nie wyruszyły przed świtem, nie udałoby się nam dotrzeć do gospody przed odjazdem powozu pasażerskiego. Widzisz, wystarczyło mnie zapytać.

- O tak, i na pewno nikt w wiosce nie zechciałby podwieźć biednej siostry doktora i jego osieroczonej córki.

Sadie na moment zaniemówiła.

- To dlatego... że... że nie chciałam nikomu zawracać głowy - wyjąkała niepewnie.

Darby westchnął i przykucnął tuż przed nią.

- Zupełnie nie umiesz kłamać, Sadie Grace, zwłaszcza jeśli nie masz czasu, by się przygotować. - Pokręcił głową. - Nie chciałaś, żeby ktokolwiek wiedział, w jakim kierunku się oddaliłyście. A teraz posłuchaj uważnie - po raz ostatni poprosiłem cię o szczerą, a ty po raz ostatni zełgałaś. Wysłucham cię, kiedy będziesz gotowa, ale koniec z kłamstwami. Będę cię chronił przed tym, co cię skłoniło do nocnej ucieczki, ale w końcu musisz mi zaufać. Czy mogę liczyć na twoje zrozumienie?

Sadie przygryzła wargę i skinęła głową. Wmawianie Darby'emu, że jest w błędzie, nie miało najmniejszego sensu.

- John... - zaczęła, ale nagle zmieniła zdanie. - Nie, nie mogę. Jeszcze na to za wcześnie. Najpierw muszę odnaleźć się w nowej sytuacji. Jestem ci ogromnie wdzięczna za to, co robisz dla

Marley i dla mnie. Wierz mi, pragnęłam jedynie odegrać rolę jej opiekunki i to nie dłużej, niż to konieczne.

- Poświęciłaś się dla Marley i bardzo to podziwiam, Sadie Grace. Ale nie o to prosił cię John, prawda? Miałaś przywieźć ją do mnie. Co jego zdaniem miało się stać z tobą po tym, jak mi ją przekażesz?

Jego słowa były boleśnie prawdziwe. To samo pytanie zadawała zmarłemu bratu nocami, kiedy nie mogła spać. „Jak mogłeś mnie tak zostawić?”, powtarzała bezsilnie.

Zamrugnęła, czując, jak pod jej powiekami zbierają się piekące łzy.

- Nie wiem... - westchnęła. - John bardzo cierpiał. Mógł myśleć tylko o Marley i o tym, co z nią będzie po jego śmierci. Potrafię to zrozumieć. Muszę to rozumieć.

Darby uniósł rękę, delikatnie dotknął palcami brody Sadie i łagodnie uniósł jej głowę.

- Nie płacz, Sadie Grace - powiedział cicho. - Przyznasz, że początek naszego związku jest dość wyboisty, ale przecież oboje staramy się rozwiązywać problemy, jeden po drugim. Pracujemy nad tym wspólnie, nawet jeśli z początku kierowały nami różne intencje. Robię to dla Johna, dla Marley i dla ciebie. Masz moje słowo.

Sadie z trudem oddychała. Nie wątpiła, że Darby jest z nią całkowicie szczerzy i że zależy mu na niej.

- Twój brat ocalił mi życie, choć prawdę powiedziawszy, nie specjalnie mi na nim zależało. Cokolwiek zrobił później, nie może się z tym równać. Nie wiem, co takiego uczynił, że przez niego płaczesz, i nie rozumiem, z jakiego powodu cię wystraszył. Otworzysz się przede mną, gdy będziesz gotowa. Oby stało się to wkrótce, gdyż poznajesz całkiem nowy świat i powinnaś się nim cieszyć. Czy poczułaś się choć odrobinę lepiej?

Skinęła głową, gdyż nie mogła wykrztusić słowa przez ściśnięte gardło. Darby był bardzo blisko, a mimo to pragnęła, by zbliżył się jeszcze bardziej. Najchętniej wtuliłaby twarz w jego szerokie ramię i rozplakała się jak dziecko, wyznała mu wszystko i dzięki temu znalazła bezpieczną przystań, której od dawna poszukiwała. Nie mogła się doczekać, aż ucichnie w niej we-

wewnętrzna burza, trwająca nieprzerwanie od tamtego straszego poranka, kiedy znalazła pod drzwiami list od Johna.

- Dobrze, zatem to już ustaliliśmy. - Przechylił głowę. - Wiesz co, Sadie Grace? Cokolwiek powiesz, nasza umowa jest korzystniejsza dla mnie. Zyskałem szansę zapewnienia Marley szczęśliwego, bezpiecznego dzieciństwa, co uważam za wyjątkowo ważne, a do tego ożenię się z jej piękną ciocią.

- Nie jestem...

- Uważaj, ustaliliśmy, że koniec z kłamstwami.

Zamierzał ją pocałować. Żyła już dwadzieścia trzy lata i nigdy dotąd nie całowała się w taki sposób, ale przeczuwała, że Darby teraz to robi. Może chciał w ten sposób przypieczętować ich porozumienie, a może dobitnie zademonstrować, że jest jej panem i władcą.

Opuściła wzrok na jego usta, po których nie błąkał się uśmiech. Spojrzała mu w oczy i nie dostrzegła w nich ironicznego rozbawienia.

Wyczuwała jego narastające napięcie, kiedy zbliżał się coraz bardziej i...

- To po prostu nie do pomyślenia! - oświadczyła Clarice z głębi korytarza. - Biedny Rigby, kiedy w końcu udało mu się potoczyć obręcz, to wziął i się zaplątał w smycz Goody'ego, a potem wyłożył jak długi na kocie łby, niszcząc spodnie, a do tego ocierając sobie i kolana, i dłonie jak jaki maluch, co to... Och! - Na chwilę umilkła, lecz szybko odzyskała rezon: - A niech mnie, Rigby, jeśliśmy czegoś komuś nie przerwali. Widzisz, mówiłam, że jak ich zostawimy samych, to świetnie dadzą sobie radę. Bardziej niż świetnie, powiedziałabym.

Darby i Sadie odsunęli się od siebie pośpiesznie, więc gdy Clarice weszła do salonu, Darby właśnie się wyprostowywał.

Z uśmiechem popatrzył na Sadie i wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że tak to już w życiu bywa.

- Dzięki temu będziemy wiedzieli, że nie wolno pozostawiać dzieci bez opieki - zauważył. - Wygląda na to, że twoje umiejętności mogą się okazać przydatne, Sadie Grace.

- Słucham? - Sadie zamrugła, usiłując się skupić. - A, tak, chyba tak.

Darby pomógł jej wstać i w tym samym momencie do pokoju przykuśtykał Rigby, a poważnie zaniepokojona Marley trzymała go mocno za rękę.

- Sadie! Sadie! - wykrzyknęła. - Wujek Rigby upadł i pękła mu głowa! Musisz go ratować!

- Nie, skarbie, nie pękła mi głowa. - Rigby uśmiechnął się niemrawo. - Już mówiłem, że skończyło się na kilku otarciach. Darby, nie uwierzysz, kto widział moją wywrotkę. Lady Appleton we własnej osobie. Do kolacji całe Mayfair będzie wiedziało, że ten kurzy mózdzek Jeremiasz Rigby zrobił z siebie pośmiewisko na samym środku Grosvenor Square. Obawiam się, że kolana coraz bardziej mnie pieką. Chyba chciałbym usiąść.

- Wiem, że brak mi elementarnej wrażliwości, ale gdzie są psy? - zapytał Darby, pomagając Rigby'emu usadowić się na krześle.

- Jeden z lokajów zaprowadził je do kuchni, żeby coś zjadły. Jest im bardzo przykro i obiecały, że to się już nie powtórzy. - Marley przysiadła na kolanie Rigby'emu. - Czy bardzo boli, wujku Rigby?

- Tak, wuju - przyłączył się Darby, kręcąc głową na widok podartych i zakrwawionych spodni przyjaciela. - No powiedz, gdzie cię boli. Czy ucierpiała tylko twoja duma, czy jeszcze coś?

- Och, dajże spokój - upomniała go Clarice i wzięła Rigby'ego za rękę. - Jesteś nie w sosie, bo was przyłapaliśmy, ot co. Oni się całowali, Jerry - poinformowała Rigby'ego. - A nie mówiłam, że wszystko się ułoży? Jesteś mi winien nowy czepek.

Sadie szybko zerknęła na Marley, pochłoniętą głaskaniem Rigby'ego po ramieniu i zapewnianiem go, że ciocia wszystkim się zajmie.

- Dokąd idziesz? - zainteresował się Darby, podążając za Sadie ku schodom.

- Sam zauważyłeś, że moje umiejętności mogą się przydać - odparła. - Wzięłam ze sobą torbę lekarską, właściwie jedyną pamiątkę po Johnie. Zechciej proszę przeprowadzić Rigby'ego do kuchni, gdyż będę potrzebowała wody do oczyszczenia ran z ziemi i piasku. Obawiam się, że moje zabiegi nie przypadną mu do gustu. A, i poproś gospodynię o bandaż. Co do spodni,

powiem tylko, że mają zniknąć do mojego przybycia.

- Oto prawdziwy generał, który wydaje rozkazy głosem nieznoszącym sprzeciwu. Tylko przekomarzałem się z tobą. Tak naprawdę chyba nie zamierzasz... Mniejsza z tym, widzę, że zamierzasz. Ale mówiąc poważnie, może się tym zająć ktoś ze służby, zwłaszcza że przed zabiegami konieczne jest zdjęcie spodni z Rigby'ego.

- Darby. - Odetchnęła głęboko, ogarnięta nagłą potrzebą wyznania prawdy w pewnej kwestii. - Odkąd przywiozłeś mnie do Londynu, tkwię tu jak kołek, bezużyteczna niczym brodawka na czubku królewskiego nosa. Nie jestem do tego przyzwyczajona i szczerze powiedziawszy, niespecjalnie mi się to podoba. A teraz, przynajmniej chwilowo, mam szansę do czegoś się przydać. Bardzo mi na tym zależy.

- Tak, naturalnie. Wiele innych kobiet, wręcz nieprzeliczone ich rzesze, z największą rozkoszą wcieliłoby się w rolę niepracujących dam, ale ty to co innego. Wybacz, że sobie tego nie uświadamiałem. Rób to, co cię uszczęśliwia, Sadie Grace, masz moje błogosławieństwo. Warunek jest tylko jeden. Ani na chwilę nie opuszczę pomieszczenia, kiedy ty będziesz majstrować w okolicach kolan Rigby'ego.

Spojrzała na niego ze zdumieniem, ale po chwili się uśmiechnęła.

- Przez moment sądziłam, że mówisz poważnie - powiedziała z nieskrywaną ulgą.

- Przez moment chyba mówiłem poważnie. - Pocałował ją w policzek. - A teraz idź, spotkamy się w kuchni.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Czy laska naprawdę jest konieczna? - spytał Darby, kiedy wraz z Rigbym udał się po napoje dla dam. Wszyscy korzystali z okazji, żeby odpocząć i nabrać sił w trakcie wytęsknionej przerwy między występem rozśpiewanej Emily, córki lady Clathan, i domorosłej harfistki Amelii, drugiej latorośli owej damy.

- Masz problem z kolanami, nie z kostkami.

- Łatwo ci mówić, bo twoje kolana nie są sztywne jak dwa słupy i nikt ci ich nie owinął kilkoma kilometrami bandażu. Myślę, że Clary trochę przesadziła, ale za to rękawiczki prezentują się całkiem do rzeczy, prawda? Powiadam ci, byłem bliski omdlenia, kiedy Sadie wydłubywała ostatni kamyk ze środka mojej dłoni.

- Szkoda, że nie zemdlałeś, bo prawdę powiedziawszy, nie miałem już ochoty wysłuchiwać twojego pojękiwania i biadolenia. Zacząłeś stękać, kiedy przyszła ze szczotką drucianą do oczyszczania ran, i już nie mogłeś przestać. Ponieważ Marley uparła się pozostać u twojego boku, musiałem zatkać jej uszy. Była niesamowita, prawda?

- Marley? Jak najbardziej. Gdyby nie podnosiła mnie na duchu, nie tylko bym pojękiwał, ale i dosadnie dawał wam do zrozumienia, co myślę o takim leczeniu.

- Owszem, moja podopieczna jest dzielna jak żołnierz, ale miałem na myśli Sadie. Skojarzyła mi się z wojskowym medykiem na polu bitwy.

- Mówisz jak na dumnego narzeczonego przystało. - Rigby roześmiał się. - Naturalnie, nikt o niczym nie wie. Ustaliłem to już z Clary. Żeby przyszła żona wicehrabiego Nailbourne majstrowała jakiemuś dżentelmenowi przy kolanach, a ów rzeczony dżentelmen miał spodnie obcięte w połowie ud i świecił gołymi łydkami? Aż się zarumieniłem.

Darby zabrał dwie szklanki lemoniady z tacy mijającego ich

lokaja.

- Sadie się nudzi - wyjaśnił. - Wygląda na to, że przymiarki krawieckie i podwieczorki z damami to za mało. Odnosi wrażenie, że marnuje czas. Marley ma swoją piastunkę, służba księżnej spisuje się wyśmienicie, więc Sadie nie pozostaje nic, co mogłaby robić. Przyłapałem ją na zaszywaniu czegoś, co wyglądało na jedną z nocnych koszul Marley. To zajęcie dla służącej. Damy robią na drutach bądź haftują, ale na pewno nie cerują rozprutych ubrań.

- To cię złości?

- Nie, Rigby, nie to. Irytuje mnie mój brak spostrzegawczości. Powinienem był wcześniej pomyśleć, że Sadie poczuje się niepotrzebna. Podkreślała to. Jak zauważyła, jest bezużyteczna niczym brodawka na czubku nosa miłościwie nam panującego króla.

- Nie możesz winić za to siebie. - Rigby ściszył głos do szeptu. - Clary z dnia na dzień przemieniła się z pokojówki w damę, pamiętasz? Wcale jej nie martwi, że nieustannie chodzi po sklepach, plotkuje i robi wszystko to, co zwykle robią arystokratki. Błyskawicznie przywykła do nowych warunków. Jednym z jej ulubionych zajęć jest przesiadywanie w wannie, do której kto inny musiał przydźwigać wodę po schodach i którą kto inny będzie musiał potem wyszorować. Cóż, nie mogę jej za to winić.

Darby zastanawiał się nad odpowiedzią, lecz nic nie przychodziło mu do głowy. Nie zamierzał informować przyjaciela, do jakich wniosków jego zdaniem doszła Sadie. Otóż najwyraźniej uznała, że bogaci, utytułowani mężczyźni byli gatunkiem ludzi leniwych, wałkoni i obiboków, którzy cieszyli się życiem, bo nie mieli nic do roboty.

- Ty i Clarice dobraliście się w korcu maku, przyjacielu - oznajmił zamiast tego.

Udali się z powrotem do dam, ale ich krzesła okazały się puste.

- Możliwe, że się zaszyły na balkonie - zasugerował Rigby. - Sam chętnie bym się tam udał. Vivien nawet słowem nie wspomniała, że chodzi o wieczorek muzyczny. Z całego serca nienawidzę wieczorków muzycznych. Uszy mi wędzną na każdym

z nich. O, idzie Sadie, prosto do nas. Ale gdzie się podziała moja Clary?

- Mów szybko, mam dygnąć? - wyszeptała Sadie, zatrzymując się przed Darbym.

Lekko pokręcił głową i wręczył jej szklanekę.

- Ja również nie będę się kłaniał nad twoją dłonią - odparł. - Byłoby to cokolwiek dziwne, biorąc pod uwagę, że przez ostatnią godzinę siedzieliśmy obok siebie.

- Chyba powinnam nabrać nieco towarzyskiej ogłady. Clarice usiłowała mi wytłumaczyć to i owo, kiedy szliśmy do jednego z saloników, ale przyznała, że sama nie jest pewna co i jak, więc zwykle korzysta z dobrych rad księżnej, Thei albo Dany.

- Z których żadna nie jest specjalistką od ukłonów, dygnięć i tym podobnych - zauważył Darby z uśmiechem. - Może powinniśmy zorganizować grupowe zajęcia?

- Gdzie jest Clary? - spytał Rigby. - Jej napój jest coraz cieplejszy. Czy poszła dokądś z księżną?

Sadie spojrzała na Darby'ego i uśmiechnęła się niepewnie.

- Tak, Rigby - powiedziała z wahaniem. - Co do Clarice...

- Co się stało? Jest chora? Lord Haslitt znowu ją niepokoił? - dopytywał się Rigby. - Co za natręt. Ten stary lubieżnik nieustannie zagląda jej w dekolt za każdym razem, gdy ją spotka. Gdzie jest Clary? Tym razem miarka się przebrała, pokażę patałachowi, gdzie raki zimują. I nic mnie nie obchodzi, że ma tyle lat, co Matuzalem, a zdaniem Clary pewnie nawet nie pamięta, dlaczego tam zagląda.

Darby pomyślał, że trudno się nudzić w towarzystwie kogoś takiego jak Rigby.

- Clarice właśnie wraca na Grosvenor Square, Rigby - wyjaśniła Sadie. - Bo... doskwiera jej ból głowy. A księżna i tak chciała już wyjść, gdyż książę powiedział, że woli „hepnąć”, cokolwiek to znaczy, niż zostać i wysłuchiwać, jak progenitura Althei katuje całkiem zacną harfę. Naprawdę mi przykro, ale tak to właśnie ujął. Zabrali ze sobą Clary, a ja zostałam zobowiązana do przekazania ci, że Clarice ogromnie żałuje, ale czuje się naprawdę okropnie, jak ropucha po połknięciu myszy w całości. I jeszcze dodała, że nie może ryzykować, że zrobi się jej niedo-

brze w powozie Darby'ego. Księżciu było wszystko jedno, co się stanie z jego powozem, po prostu chciał jak najszybciej opuścić przyjęcie.

Sadie przeniosła wzrok na Darby'ego, który z trudem powstrzymywał się od śmiechu.

- Idę do niej, i to natychmiast - oświadczył Rigby.

- O nie, nie rób tego - powstrzymała go Sadie. - Jasno i wyraźnie podkreśliła, że masz do niej nie przychodzić. Nieczęsto przytrafiają się jej bóle głowy, ale zapewniła mnie, że choroba może trwać cały dzień, a kto wie, czy nie parę dni, więc prześle ci liścik z informacją, kiedy cię przyjmie. Bardzo mi przykro, Rigby, ale Clary dojdzie do siebie. Ani trochę w to nie wątpię.

Biedna Sadie Grace, pomyślał Darby z czułością. Naprawdę musiała nauczyć się bardzo dobrze kłamać, jeśli zależało jej na pozostaniu w wyższych sferach.

- Mam to za nic! - wykrzyknął Rigby i machnął laską w powietrzu, jakby szykował się do wygarbowania skóry każdemu, kto spróbuje mu wyperswadować odwiedziny u ukochanej. - Idę do niej, choćbym nawet musiał wyważyć drzwi, i nikt mnie nie powstrzyma!

Uklonił się Sadie i odmaszerował dziarskim krokiem, całkiem zapominając, że powinien wspomóc się laską.

- Jest zupełnie wytrącony z równowagi, biedaczysko, ale obiecałam Clarice i nie złamię słowa - wyjaśniła Sadie. - Poza tym tylko cytowałam to, co mówili Clarice i księżę. Co to znaczy „hepnąć”?

- Zdaje się, że chodzi o ostatni dźwięk, jaki wydawali z siebie bracia księcia przed padnięciem na płask.

- Ależ to okropne!

- Wręcz przeciwnie. Gabe będzie zachwycony na wieść o tym, że Basil jest już w stanie żartować ze swoich lęków. Clarice naprawdę zachorowała? Przekonałaś Rigby'ego, co nie jest specjalnie wybitnym osiągnięciem. Osobiście wyczuwam jakiś podstęp.

- Twoje przeczucia są uzasadnione - Sadie westchnęła. - Ale nie powinniśmy o tym rozmawiać tutaj. Czy moglibyśmy przejść w jakieś bardziej odosobnione miejsce?

Darby się uśmiechnął, kiedy wzięła go pod rękę.

- Ustronnych miejsc jest zatrzęsienie, ale niestety, przyzwyczajenie każe trzymać się od większości z nich jak najdalej - odparł. - Masz szal, więc proponuję, byśmy na parę minut wyszli na balkon. Musimy jednak powrócić na recital. Uciekając, moglibyśmy zapoczątkować powszechny exodus publiczności i biedna lady Clathan doświadczyłaby poważnego załamania.

Przedarli się przez tłumek gości, nie zwracając na siebie większej uwagi, gdyż ludzie najwyraźniej już mieli dość zgadywania, kim jest kolejna dama u boku wicehrabiego. Rzecz w tym, że żadna kobieta nie pozostawała przy nim na długo, a w trakcie małego jesiennego sezonu objawiało się krocie wiejskich panien, które w większości wypadków i tak lądowały przy jakimś miejscowym właścicielu ziemskim, gdyż rodzin debiutantek nie było stać na zaprezentowanie ich we właściwym sezonie wiosennym. Ponadto Darby świetnie wiedział, że Sadie już od dawna najlepszy moment na prezentację w towarzystwie ma za sobą. Kilka lat temu definitywnie pożegnała się ze statusem debiutantki. Była piękna, ale wyższe sfery z pewnością nie widziały jej w roli żony Darby'ego Traversa. W najlepszym wypadku mogłaby liczyć jedynie na wdowca w średnim wieku, zainteresowanego znalezieniem nowej matki dla swoich przedwcześnie osieroconych dzieci.

Ogłoszenie zaręczyn w dniu urodzin księcia powinno przesądzić o tym, co będzie tematem przewodnim małego sezonu, chyba że Basil miał „hepnąć” w trakcie wznoszenia toastu. W takiej sytuacji nowina Darby'ego i Sadie musiałaby pójść w niepamięć.

- Czy to odpowiednie miejsce? - zapytał, gdy oboje wyszli na balkon.

- Chyba tak - odparła. - Na szczęście nikt nie zwraca na mnie szczególnej uwagi, a kilka osób najzupełniej celowo udaje, że księżna i Clarice nie istnieją. Nikt nie odwrócił się do nich plecami, jednak ludzie zachowują uprzejmy dystans. Inna sprawa, że dżentelmeni nie potrafią się powstrzymać i wlepiają wzrok w dekolt Clarice.

Darby pokiwał głową.

- To po części tłumaczy, dlaczego damy nie szukają jej towarzystwa. Skłonność do porównywania powierzchowności kobiet to jedna z licznych wad większości mężczyzn.

- Jak rozumiem, ty nie należysz do większości mężczyzn. - Sadie zmarszczyła brwi. - Nie mogę pojąć, jak to możliwe, że prowadzimy rozmowę na ten temat.

- Prowadzimy tę rozmowę, gdyż niedawno miałaś okazję oglądać gołe kolana Rigby'ego, a w gabinecie Johna z pewnością widziałaś dużo więcej, więc omijanie pewnych tematów byłoby bezsensowne. Poza tym sama przyznałaś, że patrzyłaś, jak mężczyźni się gapią.

- Nie sposób było ich zignorować. Masz jednak słuszość. Trudno się dziwić, że żony nie są specjalnie skore do ustawiania się przy Clarice. Te... porównania musiałyby wypadać na ich niekorzyść.

- Należy także pamiętać, że nasza kochana Vivien ma zwyczaj mówić wszystko, co jej akurat przyjdzie do głowy i chętnie ryczy kogo popadnie pieprzonymi opowiastkami. A teraz chciałbym cię przeprosić. Jakoś nie dotarło do mnie wcześniej, że przemiana w damę może cię zanudzić na śmierć. Wybacz.

Na balkonie panował półmrok, lecz Darby dostrzegł zakłopotanie na twarzy Sadie.

- Och, to ja powinnam prosić cię o wybaczenie - pośpieszyła z zapewnieniem. - Nie mam prawa się skarżyć, biorąc pod uwagę, że nie mogłabym lepiej trafić. Jestem zachwycona, że otoczyłaś Marley opieką. Naprawdę, nawet w najśmielszych snach nie mogłabym wyobrazić sobie lepszej przyszłości dla mojej bratanicy.

- Nie mówimy o Marley.

- Nie, nie mówimy o niej. - Opuściła głowę. - Wiem, że ponownie się mną zainteresuje, kiedy wrócimy na wieś i nie będziemy już otoczone tyloma osobami, które pragną za wszelką cenę okazać jej miłość i życzliwość.

- Rozmawiamy o tym, że nie masz co robić poza gapieniem się w sufit - naciskał Darby. - Chcę, byś w związku z tym pomyślała, czym pragnęłabyś się zająć. Obawiam się, że w ramach naszej umowy będziesz zmuszona do długotrwałej bezczynno-

ści, przynajmniej według twoich standardów. Spocznie na tobie obowiązek nadzorowania służby w posiadłościach, a mam ich kilka, będziesz także gospodynią przyjęć, nie unikniesz bywania na balach. Och, byłbym zapomniał – czeka cię również kupowanie sukni, takich jak ta piękna kreacja, którą dzisiaj prezentujesz. Jeśli dotąd cię nie komplementowałem, czynię to teraz.

- Dziękuję ci. Doskonale odgrywasz swoją rolę. Zauważyłeś, że kolor sukni jest wybornym tłem dla zieleni moich oczu. To bardzo miło z twojej strony, naprawdę. Chyba każda kobieta chce, by ją uważano za atrakcyjną.

- Sadie Grace, jesteś nie tylko wyjątkowo atrakcyjna, ale też piękna i inteligentna – oznajmił z powagą Darby. - Mam pełną świadomość, że lepiej wyszedłem na naszym porozumieniu.

- Chyba nie masz na myśli swojego oka – powiedziała, a jej onieśmienie ustąpiło pola gniewowi. - Nie powiem, że opaska przydaje ci groźnego uroku, choć to prawda. Powiem za to, że jestem dumna z tego, jak bardzo się poświęciłeś. Nie lekceważę twojego okaleczenia, ale wierz mi, w gabinecie Johna widywałam znacznie gorsze. Pojawiali się tam ludzie, którzy wrócili z wojny bez nóg, rąk, a nawet rozumu. Zwycięstwo jest okupione wysokimi kosztami, a często zapomina się o tych, którzy do niego doprowadzili. W rezultacie mężni żołnierze z trudem wiążą koniec z końcem. Odważni mężczyźni, nasi obrońcy, w żadnym razie nie powinni być skazani na żebraczy los i sypianie pod mostami. Rozmawiałam o tym z Johnem po wielokroć. Podzielał moją opinię i wyrażał dezaprobatę dla tej sytuacji.

- Zgadza się z tobą, rzecz jasna – odparł Darby, przejęty żarliwością w jej głosie. - Od naszej rozmowy dzisiejszego popołudnia sporo o tym myślałem. - Wziął ją pod rękę i poprowadził na skraj balkonu. Zauważył przy tym, że inne pary wracają do środka z takim entuzjazmem, jakby szły na ścięcie. - Obiecuję, że zajmiemy się ponownie tym tematem, lecz na razie musimy niestety skupić się na nagłej niedyspozycji Clarice. Cóż takiego zaszło, gdy wraz z innymi damami bawiłaś w saloniku?

- Skąd wiedziałaś, że to się zdarzyło w saloniku? - zdumiała się. - Zresztą mniejsza z tym, bo gdzież by indziej? W środku zastałyśmy jakąś kobietę i na szczęście nikogo innego. Otóż sta-

ła ona przy lustrze i wcierała róż w policzki, choć z wyglądu kojarzyła się już z rumianym jabłkiem. Zapewne właśnie dlatego przyjrzałam się jej uważniej. Na widok owej damy Clarice zachwiała się tak raptownie, że ją podtrzymałam, po czym wyszeptała, że musimy wyjść. Zanim jednak zdołałyśmy się ewakuować, nieznajoma najwyraźniej dostrzegła w zwierciadle odbicie Clarice, gdyż ją zawołała. Zdumiało mnie, że nie zwróciła się do niej po imieniu, tylko po nazwisku. Krzyknęła: „Goodfellow!”, a następnie nakazała biednej Clarice natychmiast podejść i podać wilgotną szmatkę do wytarcia różu z palców. Na prawdę nakazała, całkiem jakby zwróciła się do służącej.

- Clarice była służącą. - Darby pokręcił głową, pełen złych przeczuć. - I jak zareagowała?

- W ogóle nie zareagowała. Zaraz, źle się wyraziłam. Chwyciła mnie za rękę i wyciągnęła z pokoju, jednocześnie informując, że za chwilę zwymiotuje. Na szczęście obeszło się bez tego, a resztę już znasz.

- Wszyscy wiedzieliśmy, że prędzej czy później to się wydarzy, ale Rigby pozostawał niewzruszony. Problem w tym, że długimi tygodniami przedstawialiśmy Clarice w całym Mayfair jako rzekomą arystokratkę z Wirginii. Jeśli wyższe sfery poznają teraz prawdę o jej faktycznym pochodzeniu, ani ona, ani Rigby nie będą już mogli liczyć na wybaczenie. Na litość boską, przecież mężczyźni się jej kłaniali, a damy przed nią dygały! Niefortunna sytuacja. Kłamstwo ma krótkie nogi i raczej nie prowadzi do szczęśliwego finału.

Sadie zwiesiła głowę. Doskonale rozumiała, że słowa Darby'ego odnoszą się do niej i do jej tajemnicy. To jednak nie był odpowiedni moment na wyznania. Przyjaciele potrzebowali pomocy, więc inne sprawy znalazły się na dalszym planie.

- W zaistniałej sytuacji musimy się zastanowić, co dalej, skoro mleko już się rozlało, że tak powiem - dodał Darby.

- Może ta kobieta uzna, że coś jej się pomyliło? - zasugerowała z nadzieją w głosie. - Clarice chyba właśnie na to liczy, ale na wszelki wypadek postanowiła stąd zniknąć. Uciekła i do wyjazdu tej damy zamierza trzymać się z dala od salonów. Jak mi wyjaśniła, dama pochodzi z Fairfax w Wirginii, czego zapewne już

się domyśliłeś. Jej przyjazd do Londynu jest nader niekorzystnym zbiegiem okoliczności, ale chyba nie możemy zabraniać Amerykanom wizyt w Anglii, nawet gdy w grę wchodzi dobro Clarice. Jak o tym powiesz Rigby'emu?

- Nie chodzi o to jak, Sadie Grace. Pytanie brzmi, co powiem Rigby'emu. W tej chwili niewiele mam mu do wyjawienia. I pomyśleć, że tego wieczoru liczyłem na romantyczną chwilę z narzeczoną. Tajemnica otaczająca nasz związek tylko zaostrza mój i tak niemały apetyt.

- Dworujesz sobie ze mnie.

- Nie możesz tego wiedzieć. Może jestem śmiertelnie poważny, Sadie Grace. Wiesz, uwielbiam twoje imiona, i to do tego stopnia, że mógłbym napisać wiersz im poświęcony. „Sadie Grace nadobną jest...”.

- Spoważnij - skarciła go.

- Ależ, Sadie Grace, jestem poważny, i to śmiertelnie, jak już wspomniałem. Jeszcze nie połączył nas narzeczeński pocałunek, a kiedy opuścimy to miejsce, zapewne całkowicie skupimy się na ratowaniu z opresji zakochanej parki naszych jakże drogich przyjaciół...

Wziął ją za rękę i pochylił się z mocnym postanowieniem, że tym razem nie przerwie im ani Clarice, ani przekłęty Rigby, ani nikt inny.

Składanie pocałunku na niewprawnych ustach jeszcze nigdy nie sprawiło Darby'emu tyle przyjemności. Zachowywał się delikatnie, aby nie spłoszyć Sadie, i jednocześnie przez cały czas trzymał ją za rękę. Powtarzał sobie, że ten pocałunek ma wyłącznie eksperymentalny charakter, jest czymś w rodzaju sprawdzianu. Zastanawiał się, czy ostatnie wnioski w sprawie małżeństwa w ogóle, a z Sadie w szczególności, nasunęły mu się tylko dlatego, że jego przyjaciele pędzili na złamanie karku do ołtarza. Jakkolwiek patrzeć, istniały przecież inne metody zapewnienia Marley opieki i bezpieczeństwa.

Darby spodziewał się, że zareaguje w sposób umiarkowany, zapewne z lekkim rozbawieniem, lub też nie dostrzeże u siebie żadnej reakcji.

Jak się okazało, był w błędzie.

- Cóż - mruknął, odsuwając się odrobinę. - Interesujące.
- Zauważył, że Sadie zwilżyła usta językiem.
- Powinniśmy wrócić do środka - powiedziała cicho.
- Albo zejść po schodach i zaszyć się w ogrodzie. - Puścił dłoń Sadie i dotknął palcem czubka jej nosa.
- Nie musisz tego robić. Nie ma potrzeby, byś mnie całował czy też się ze mną zaręczał. Przecież nikt o niczym nie wie. Nie ogłosiliśmy niczego publicznie, więc nadal możesz się wycofać. Nie będę miała ci tego za złe.
- Dobry Boże, kobieto, czy ten pocałunek był aż tak nieudany? - spytał z rozdrażnieniem Darby. - Następnym razem poradzę sobie lepiej.
- Prawdę mówiąc, nie wiem, jaki był, ale zapewne już to zauważyłeś. Jesteś bardzo irytujący, z czego raczej zdajesz sobie sprawę. Wcale bym się nie zdziwiła, gdybyś uważał to za jeden ze swoich atutów.
- A to nie jest mój atut?
- Nie zaszczycę tego pytania odpowiedzią, gdyż, jak sądzę, znowu powiesz coś wielce irytującego. Debiutantki muszą być tobą przerażone.
- Ty nie wydajesz się przerażona - zauważył.
- W istocie, nie jestem, ale wciąż usiłuję zrozumieć, dlaczego zaproponowałaś małżeństwo podstarzałej ciotce Marley, skoro mogłaś zatroszczyć się o nią w mniej zobowiązujący sposób.
- Skoro o tym mowa: jak bardzo jesteś leciwa, Sadie Grace?
- Zechciej zauważyć, że nie czuję się urażona pytaniami o wiek. W czerwcu skończę dwadzieścia cztery lata. Według salonowych standardów stoję nad grobem jako niedołączna starszuszka, prawda?
- Wielkie nieba, lada moment będziesz dwudziestoczterolatką, a ja mam tylko dwadzieścia osiem. Co na to powiedzą wyższe sfery? - Zmarszczył brwi, ale po chwili się rozpromienił. - Ech, nic mnie to nie obchodzi. A ciebie, Sadie Grace?
- Sadie uśmiechnęła się szczerze.
- Również mam to za nic, o ile zadowolisz się wiekową panną. Przynajmniej nie będę skazana na utratę rozumu i wieczne piekło.

- No właśnie - zgodził się. - Nie zapominaj o babcinych czepkach, które mają na celu odstraszenie mężczyzn. Kobiety je wkładają, by dobitnie zasygnalizować swoją nieprzydatność matrymonialną. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że my, mężczyźni, jesteśmy upiornymi brutalami. Nawet nie przyjdzie nam do głowy, że marnotrawnie spisujemy na straty całe tabuny pierwszorzędných kobiet. Ty jesteś pierwszorzędna, Sadie Grace. Doszedłem do tej konkluzji dawno temu, nim jeszcze wyszła na jaw twoja sędziwość. Uważam, że jesteśmy na dobrej drodze, by zostać serdecznymi przyjaciółmi.

- Tak, chyba rzeczywiście - przyznała. - Przynajmniej nie budzisz już mojej żywej niechęci.

- I kto teraz jest niepoważny?

- Nie mam pojęcia - odparła Sadie niewinnie, a Darby nagle nabrał ochoty, by pocałować ją ponownie.

- Kokietka. - Uśmiechnął się. - Powrócimy do tego tematu przy najbliższej okazji. Teraz wejdźmy do domu, wskażesz mi ową damę z Fairfax, tę o jabłuszkowych policzkach. Jeśli mam pomóc Rigby'emu, bezwzględnie muszę ją poznać zarówno z wyglądu, jak i z nazwiska.

- Oboje mamy pomóc Rigby'emu i Clarice. Nie myśl sobie, że pozwolę się od tego odsunąć.

Darby zauważył rzeczoną niewiastę tuż za progiem sali muzycznej.

- W porządku, już ją widzę - powiedział, a w myślach przyznał, że opis przedstawiony przez Sadie był całkiem precyzyjny.

- Teraz wrócisz na swoje krzesło, a ja podejść do pani jabłuszkowej. Przy okazji, chyba nigdy nie pojmę, dlaczego Vivien wybrała miejsca w pierwszym rzędzie.

- Podejdiesz do kobiety i ją zagadniesz? - zdumiała się Sadie. - O czym zamierzasz z nią rozmawiać?

- Z tego, co widzę, przyprowadziła córkę. Śmiem twierdzić, że dowiedziawszy się, jaki mam tytuł, dama ta przez co najmniej pięć minut nie ochłonie z wrażenia, więc nie będę musiał dużo mówić.

- Masz bardzo wysokie mniemanie o sobie.

- Najwyższe - przyznał z zadowoleniem. - To kolejny z moich

licznych atutów, które pewnego dnia zaczniesz podziwiać. Koniecznie zajmij mi miejsce. Nie chciałbym stracić ani sekundy z wiekopomnego recitalu harfowego, który zaraz się zacznie.

- Tylko jeśli obiecasz, że nie będziesz robił głupich min - oświadczyła. - Rigby wykrzywił się bardzo nieuprzejmie podczas występu tego biednego dziecka, któremu matka przypisuje zdolności operowe.

- A mogę udawać, że śpię?

Sadie roześmiała się serdecznie.

- Czy na pewno nie jesteś młodszy ode mnie, i to o dobrych kilka lat? - zażartowała. - Jeśli chodzi o twoje pytanie: owszem, pod warunkiem że nie chrapiesz. A teraz idź już wreszcie, a ja zajmę miejsca.

Powiódł za nią wzrokiem, a kiedy już usiadła w pierwszym rzędzie i położyła torebkę na pustym krześle obok siebie, ruszył prosto do kobiety o czerwonych policzkach, które zdawały się go przyzywać niczym latarnie morskie. Przeszło mu przez myśl, że zlokalizowałby tę damę nawet w ciemnościach.

Po chwili namysłu zabrał jednemu z lokajów dwie szklanki lemoniady, gdyż doszedł do wniosku, że znakomicie się przydadzą jako rekwizyty podczas przedstawiania się damom.

Obie panie stały same, całkowicie niewidzialne dla otoczenia. Ich niemodne suknie ponad wszelką wątpliwość nie były dziełem żadnego wziętego krawca z Londynu. Damy miały włosy splecione w warkocze i owinięte wokół głowy niczym korony o mysiej barwie, a do tego nerwowo rozglądały się po sali muzycznej, czując się w niej zupełnie nie na miejscu. Młodsza zaciskała palce na złożonym wachlarzu, którym tłukła się w udo, zupełnie jakby trzymała w dłoni pejcz. Starsza skubała czubki rękawiczek i można było odnieść wrażenie, że nieustannie przelicza palce z obawy przed zgubieniem jednego bądź kilku.

Wciągnięcie tych dwóch dam w rozmowę można było uznać za wręcz miłosierny uczynek.

- Za pozwoleniem, czy zrzędzeniem losu nie widziały panie dwóch dam, które stały w tym miejscu zaledwie kilka minut temu? - spytał je Darby. - Wysłały mnie po napoje, a teraz gdzieś się zawieruszyły. Ech, co robić. A może panie zechciały-

by napić się lemoniady, gdyż straszna tu duchota, nieprawdaż?

- Ja... My...

Starszej damie zupełnie odebrało mowę, zapewne dlatego, że całkowicie nieznajomy mężczyzna ośmielił się podejść do nich bez należytej prezentacji. Niewykluczone jednak, że spłoszyła się na widok opaski na oku dżentelmena, ewentualnie też postanowiła całkowicie zlekceważyć konwenanse, wychodząc z założenia, że w żadnym razie nie powinna przepędzać kogoś, kto może się okazać kawalerem do wzięcia, gotowym nawiązać flirt z jej ukochaną latoroślą. Tak czy inaczej, górę wzięło albo pragnienie, albo zdrowy rozsądek, gdyż niewiasta wyciągnęła rękę po szklankę i zachęciła córkę do tego samego.

Darby nagroził obie niskim, nader wytwornym ukłonem.

- Doprawdy, uratowały mnie panie - oznajmił. - Niewiele brakowało, a musiałbym osobiście opróżnić obie szklanki, a lemoniady zwyczajnie nie cierpię. Tak na marginesie, nazywam się Nailbourne i jestem wicehrabią, na własne nieszczęście. Ejże, ejże, ostrożnie z tym dygnięciem, panienko. Jeszcze trochę, a zawartość szklanki wyląduje na parkiecie.

Szybko wyciągnął rękę i chwycił dziewczynę za dłoń, tym samym wywołując u potencjalnej debutantki falę niekontrolowanego chichotu.

Darby niemal pokręcił głową z niedowierzaniem, że idzie mu jak po maśle.

- Dobry wieczór, wasza lordowska mość - powiedziała matka, której dygnięcie było tylko odrobinę mniej koślawe i nieporadne niż jej córki. - Nazywam się Henderson i jestem wdową po Henrym Hendersonie z Fairfax w Wirginii, a to jest nasza córka, Belinda. Przybyliśmy do Londynu na mały sezon, na zaproszenie stryjecznego brata mojego męża, Jacksona Hendersona. Może wasza lordowska mość go zna?

Darby udał, że szpera w pamięci, choć od razu wiedział, że nigdy nie słyszał o żadnym Jacksonie Hendersonie.

- Gdyby zechciała pani podsunąć jakąś wskazówkę, coś bliższego na jego temat, hm? - poprosił. - Dzięki temu zdecydowanie łatwiej byłoby mi przypomnieć sobie tego dżentelmena...

- Jackson mieszka w Exeter, wasza lordowska mość, ale my

znalazłyśmy lokum przy ulicy Półksiężycowej i tam rezydujemy... chwilowo. Jackson wspomniał mi, że zaproponował, że wprowadzi moją Belindę do towarzystwa, za co jestem mu ogromnie wdzięczna. Zaproszenie na ten uroczy wieczorek uzyskałyśmy dzięki uprzejmości lorda Clathan, wieloletniego klienta... chciałam powiedzieć, przyjaciela Jacksona z Exeter.

- Och, to wspomniała i jak najbardziej stosowna koneksja, proszę pani. Jestem przekonany, że pojawienie się pani córki na tym przyjęciu zaowocuje licznymi zaproszeniami o podobnym charakterze.

W myślach dodał, że stanie się tak tylko wówczas, gdy zdesperowane gospodynie będą zmuszone zapraszać byle kogo dla wypełnienia pustych krzeseł.

- Czy pani i jej córka noszą się z zamiarem pozostania w Londynie aż do wiosennego sezonu? Teraz bawi w stolicy mniej osób, a tak uroczą młodą damą jak panna Henderson skorzystałaby na szerszej prezentacji.

Darby doszedł do wniosku, że z pewnością znajdzie się ktoś w tak rozpaczliwej sytuacji, że zechce związać się z dziewczęciem, na którego odziedziczoną po matce bułową facjatę dałoby się przymknąć oko - oczywiście przy wystarczająco pokaznym posagu.

- Liczyłyśmy na to, że Belinda... To znaczy, jeszcze nie podjęłyśmy ostatecznej decyzji, czy pozostać tutaj do wiosny.

- Ale, mamo, przecież obiecałaś, że na Gwiazdkę wrócimy do Wirginii! - jęknęła dziewczę.

Interesujące, pomyślał Darby. To byłoby znacznie lepsze rozwiązanie niż udawanie przez Clarice bólu głowy do czasu znalezienia przez panią Henderson stosownego kandydata dla ukochanej córeczki.

- Czy Gwiazdka w Wirginii jest dla pani wyjątkowo ważna? - Darby popatrzył pytająco na pannę Henderson.

- Nie. Zwyczajnie mi się tu nie podoba. Tęsknię za moimi konikami i chcę być na miejscu, jak się zaczną żreć na wiosnę. Wasza lordowska mość - dodała i ponownie dygnęła.

A zatem trafnie odgadł, że bawiła się wachlarzem niczym pejcem.

- Belindo, skarbie, dopij lemoniadę - poleciła jej szybko pani Henderson. - Wasza lordowska mość, może zechciałby mi pan wyjaśnić zdarzenie, do którego niedawno doszło? Czy widzi pan tamtą raczej wysoką, jasnowłosą damę, która zajmuje miejsce w pierwszym rzędzie?

Darby nie musiał spoglądać we wskazanym kierunku, niemniej posłusznie rzucił okiem na front sali.

- Jak najbardziej, proszę pani, widzę ją dobrze - odparł. - To panna Hamilton, rzecz jasna. Czy pani ją zna?

Niewiele brakowało, a dodałby, że Sadie towarzyszy mu tego wieczoru, ale w porę ugryzł się w język. Gdyby się zdradził, pani Henderson zapewne spytałaby, czy może ją przedstawić.

- Nie, wasza lordowska mość, niemniej sprawa naprawdę wydaje mi się dziwna. Panna Hamilton weszła do saloniku dla dam i nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie towarzyszyła jej pewna pokojówka. Jestem absolutnie pewna, że ją rozpoznałam.

- Pannę Hamilton?

- Nie, wasza lordowska mość, pokojówkę. Jej widok mnie zdumiał. Nawet zawołałam ją po nazwisku, ale proszę sobie wyobrazić, że mnie zignorowała, bardzo zresztą nieuprzejmie, i niemal wybiegła z pokoju. Owa pokojówka ma na imię Clarice. Potem sobie przypomniałam, że wybrała się do Anglii jako służąca panny Dorothei Neville. Miałam nadzieję, że Clarice udostępni mi informacje o miejscu zamieszkania panny Neville. Przyjemnie byłoby spotkać się z kimś, kto również pochodzi z Wirginii, ale wnioskuję, że Clary zmieniła pracodawczynię. Moim zdaniem została wyrzucona i jestem przekonana, że całkowicie zasłużenie. Przyszło mi do głowy, że w zamian za transport do domu mogłaby służyć nam jako pokojówka. Koszmarna osoba, mówiąc krótko, niemniej całkiem nieźle sobie radzi z układaniem włosów. A zresztą wszystko jedno - zreflektowała się dama poniewczasie. - Jestem pewna, że spotkam ją ponownie.

- Pozostaje mi tylko życzyć pani szczęścia. Przykro mi, że nie mogę być bardziej pomocny. Czy panie zechcą mi teraz wybaczyć? Wygląda na to, że nasza harfistka przymierza się do roz-

poczęcia recitalu, więc przez wzgląd na swoje dobro muszę salwować się ucieczką.

Uklonił się obu damom i pośpiesznie zrejterował na balkon, gdyż było już za późno na zajęcie miejsca obok Sadie. Przeszedł przez całą długość balkonu, zatrzymał się przy przeszklonych drzwiach do prywatnego gabinetu jego lordowskiej mości i wśliznął się do środka.

Tuż za progiem znieruchomiał jednak zdumiony, gdyż ujrzał, że lord Clathan i jedna z jego pokojówek właśnie zabijają czas z dala od sali koncertowej, w której trwało publiczne katowanie harfy.

- Nailbourne!

- Clathan - odparł Darby życzliwie i uklonił się obojgu, z uśmiechem aprobaty patrząc, jak spłoszona służąca pośpiesznie opuszcza kolana pracodawcy i podciąga stan uniformu. - Nie zwracaj na mnie uwagi, przyjacielu, ja tak tylko w przelocie. Kontynuuj, proszę, i nie przeszkadzaj sobie, choć radziłbym zamknąć drzwi na klucz. Drugie drzwi również, naturalnie, gdy tylko zostawię was samych.

- A niech cię, ty jednooki...

Darby zachichotał, zamykając za sobą drzwi i dyskretnie chowając do kieszeni klucz, który wyciągnął spod klamki, żeby uniemożliwić jego lordowskiej mości zaryglowanie gabinetu.

Nie sądził, że wieczorki muzyczne bywają tak emocjonujące.

Ruszył korytarzem, po drodze pozostawiwszy klucz w donicy palmy, i skierował się prosto do sali muzycznej, z której dobiegały dźwięki porównywalne z gdakaniem stada kwok symultanicznie składających kwadratowe jaja.

Darby zatrzymał się tuż przy progu i poczekał, aż Sadie go zauważy. Wtedy przyłożył palec do ust i ruchem głowy wskazał korytarz, po czym ukrył się za ścianą.

Jako inteligentna kobieta, Sadie w lot pojęła, w czym rzecz, i wkrótce do niego dołączyła.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Nie dość, że nasza pani Henderson rozpoznała Clarice, to jeszcze chce ją zatrudnić, jeśli zgodzisz się zrezygnować z pokojówki - oświadczył Darby bez żadnych wstępów.

- Zrezygnować z pokojówki? - powtórzyła Sadie. - Dlaczego przyszło jej do głowy, że Clarice jest moją służącą? Och, no tak, naturalnie! Cóż innego miała pomyśleć? Czy wiesz, jak bardzo irytujące jest dla kobiet, że muszą poruszać się stadami, a przynajmniej z pokojówką? Cóż takiego mogłaby uczynić pokojówka, gdyby ktoś napadł na damę udającą się do saloniku? Wyciągnęłaby szablę, skrzętnie ukrytą w fałdach sukni, i położyła natręta trupem?

- Chciałbym to zobaczyć. Gdyby pani Henderson ujrzała nas teraz, zapewne nie posiadałaby się ze zdumienia, że przystojny i sympatyczny wicehrabia zaszył się w ciemnym wnętrzu powozu z nieznaną sobie jasnowłosą damą z pierwszego rzędu, a w zasięgu wzroku nie ma ani pokojówki, ani przyzwoitki.

Sadie pokiwała głową. Uświadomiła to sobie ponieważ, patrząc, jak księżna i Clarice wychodzą za księciem z sali muzycznej. Wcześniej wszyscy zgodnie uznali, że nie ma potrzeby zabierać pokojówki, gdyż w rolę przyzwoitki wcielił się książę, a Darby i Rigby przybyli oddzielnie.

- Skoro salonik dla dam uznaje się za niestosowne miejsce, to przebywanie sam na sam z mężczyzną w powozie jest niewybaczalnym grzechem - odparła. - Bądźmy jednak rozsądni, przecież nie wyruszamy w podróż w nieznane i dzikie okolice. Znajdujemy się zaledwie kilka ulic od Grosvenor Square.

- W istocie, a to oznacza, że mamy wystarczająco dużo czasu, żeby opracować plan uporania się z naszą panią jabłuszkową. Właśnie dlatego poleciłem stangretowi objechać park i dopiero potem powrócić na plac. Jak rozumiem, chcesz brać czynny udział w tej sprawie?

- Jak najbardziej - przytaknęła. - Clarice zawsze jest pogodna i promienna, a do tego okazała wiele serca Marley. Serce mi się krajało, kiedy widziałam ją tak wylęknioną. Myślałam już nawet o przesłaniu Thei wiadomości z prośbą o powrót.

- Nie sądzę, by to było roztropne. Ponowne pojawienie się Thei skłoniłoby panią jabłuszkową do zagadnięcia jej o Clarice. Jedne kłamstwa prowadzą do drugich i kolejnych. W końcu potknęlibyśmy się na którymś z nich lub wręcz na wielu, zwłaszcza jeśli córka naszej damy z Ameryki nie znajdzie kandydata na męża przed końcem sezonu - a poważnie wątpię w jej szanse - i obie panie postanowią pozostać w Londynie aż do sezonu wiosennego.

Sadie rozważyła słowa Darby'ego i uznała, że jest w nich sporo racji.

- Ale przecież nie możemy prosić Thei, by ukryła się wraz z Clarice, prawda? - spytała.

- Gabe zapewne byłby zmrożony samym pomysłem tego typu, a poza tym musimy pamiętać o balu z okazji urodzin księcia. Zjawią się tam wszyscy, którzy się liczą, albo po to, by świętować wraz z Basilem, albo by potem opowiadać, że byli naoczny-
mi świadkami jego „hepnięcia”. Tego wieczoru wszyscy musimy być na miejscu, by go wspierać.

- Książę nie „hepnie”, to znaczy nie umrze. Coś takiego jak przekleństwo Cranbrooków nie istnieje - oznajmiła Sadie z przekonaniem. - Pomijając wszystko inne, któż by chciał rzucać na nich klątwę?

- Sadie Grace, nigdy o tym nie pomyślałam. Właściwie nikt o tym nie pomyślał. W istocie rzeczy, któż miałby rzucać tak potężną klątwę na całą rodzinę?

- Może jakaś niegodziwa wiedźma? „Szczeńnijcie, przekłęci Sinclairowie! - wykrzyknęła komicznym tonem. - Przeklinam wasze nasienie, plugawe i nieczne. Żaden Sinclair płci męskiej nie dożyje sześćdziesiątych urodzin i zaklinam, niech tak się stanie z mocy wszystkich piekielnych szatanów i samego Belzebuba”. Co za absurd!

Darby zaśmiał się cicho.

- Bez względu na to, jak bardzo absurdalna jest ta historia,

zechciej nie powtarzać swojej oryginalnej interpretacji klątwy przy Basilu, gdyż cała ciężka praca Gabe'a, który przekonuje księcia, że żadne przekleństwo nie istnieje, pójdzie na marne. Czy możemy ponownie się skupić na Clarice?

- Tak, oczywiście - zreflektowała się Sadie. - Najpierw jednak powiem, że oszołamia mnie twoja lojalność wobec przyjaciół. John wyjaśnił mi, że łączy was zażyłość, ale to niedopowiedzenie. Macie szczęście, mogąc cieszyć się tak silnymi więzami przyjaźni.

Darby wziął ją pod brodę.

- Stałaś się częścią naszej gromadki, Sadie Grace, i nigdy o tym nie zapominaj - oświadczył. - Thea, Dany, Clarice dołączyły do nas wcześniej, teraz uczyniłaś to ty. Jesteśmy gotowi pomagać ci na każdym polu.

Na moment zamknęła oczy.

- Chodzi ci o prawdę, którą przed tobą zatajam - powiedziała. - Tak, wiem. Nie mogę jej wyjawić im wszystkim. Wystarczająco bolesna jest świadomość, że kiedyś otworzę się przed tobą. Nikt inny nie może znać prawdy, przynajmniej w tej części.

- Istnieje więcej niż jedna część? - zainteresował się Darby natychmiast.

- Proszę cię, nie teraz.

- Racja, obiecałem, że nie będę cię pośpieszał. Wybacz.

Pochylił się i pocałował ją w usta. Podobnie jak za pierwszym razem, zrobił to delikatnie i przelotnie, po czym ponownie się wyprostował.

W panujących w powozie ciemnościach Sadie nie zobaczyła, lecz raczej wyczuła, jak Darby unosi dłoń do czoła. Był to niezawodny znak, że daje o sobie znać jego nawracający ból głowy.

- Odwróć się do mnie plecami - zażądała, jednocześnie zsuwając wieczorowe rękawiczki.

- Słucham? - Uśmiechnął się. - Czy zamierzasz zrobić coś, co mogłoby mnie zszokować, gdybym patrzył? Może chcesz poprawić podwiązkę? Jesteśmy zaręczeni, Sadie Grace, i w związku z tym chętnie popatrzę, jak wykonujesz tak rozkosznie powabną czynność. Potraktowałbym to jak przywilej mężczyzny wchodzącego w związek małżeński.

- Czasami bywasz po prostu niemożliwy. - Westchnęła. - Znowu doskwiera ci ból głowy, co w pewnej mierze wiąże się z twoim okropnym zachowaniem, niemniej nabieram przekonania, że bawią cię twoje niestosowne słowa i postęпки. Odwróć się wreszcie, zdejmij opaskę, a ja spróbuję uśmierzyć ból.

- Raczej nie, dziękuję - wymamrotał nerwowo.

- Nie bądź taki drażliwy. Nie będę spokojnie się przyglądała, jak to cię trapi. Po powrocie z wojny John wiele razy narzekał na ból głowy, a ja masowałam mu ją z dobrym skutkiem. Sam mnie nauczył tej sztuki, którą podpatrzył u jednego ze znajomych hiszpańskich medyków. Nie to, bym była nieskromna, lecz zapewnił mnie, że z moich palców spływa magia. Tyle dla nas zrobiłeś, więc pozwól, że choć w ten sposób ci się odwdzięczę.

Po chwili zastanowienia Darby poruszył się niepewnie i odwrócił do niej plecami, jednocześnie rozwiązując wstążki przy opasce.

- Jesteś uparta i nieustępliwa - oznajmił. - Sam nie wierzę, że to robię.

Sadie nagle ogarnęło zdenerwowanie. Przyszło jej do głowy, że masaż może się okazać nieskuteczny. Obawiała się też, że dotknąwszy głowy oraz nagiej szyi Darby'ego, omdleje niczym filigranowa, młodziutka debiutantka. Coś takiego nigdy się jej nie przytrafiło.

Zmusiła się do zachowania spokoju i położyła dłonie na mocnych, szerokich barkach Darby'ego, a wtedy przeszedł ją przyjemny dreszczyk. Pomyślała, że to nonsens, przecież nie dotykała jego nagiej skóry, choć pod warstwami materiału doskonale wyczuwała twarde, spięte mięśnie.

- Rozluźnij się, na litość boską. Nie zrobię ci krzywdy - zapewniła go.

Na początek zabrała się do uciskania kciukami miejsc po bokach kręgosłupa, powoli przesuwając dłonie coraz wyżej. Już po chwili poczuła, jak stężałe mięśnie miękną pod jej palcami. Powolnymi ruchami ugniatała plecy Darby'ego, aż w końcu przystąpiła do masażu szyi.

Wyraźnie odprężony Darby pochylił głowę.

- Fantastycznie - mruknął z aprobatą. - Jesteś pewna, że to

hiszpański medyk nauczył Johna takiego masażu? Może była to osoba zupełnie innej profesji?

- Niby jakiej? - zdziwiła się. - Och... Rozumiem. Nie wypytywałam go o to. Bardzo proszę, nie wyciągaj pochopnych wniosków, gdyż wprawiasz mnie w zakłopotanie.

- Jeśli chodzi o Johna, mogę mówić o nim wyłącznie w ciepłych słowach. Hm, to co robisz, jest naprawdę cudowne.

Wsunęła rozpostarte palce w gęste, ciemne włosy Darby'ego i spodem dłoni zaczęła uciskać miejsca u podstawy uszu. Po chwili zwiesił głowę jeszcze niżej, co oznaczało, że skupił się wyłącznie na rytmicznym ruchu jej palców. Dopiero wtedy ośmieliła się dotknąć opuszkami kciuków jego skroni i powoli przesuwać palce lekkimi, miarowymi ruchami. Tak delikatny masaż miał działanie odprężające i kojące.

Darby nie protestował, nawet kiedy wyczuła zgrubienie blizny nad lewym okiem. Zauważyła, że połowa jego brwi znikła, zastąpiona przez szramę, i przypomniała sobie, co na ten temat mówił jej brat. John wyjaśnił, że tak daleko idąca ingerencja była konieczna, gdyż tylko w ten sposób dało się usunąć kulę, która utkwiała w łuku brwiowym. Gdyby Darby został trafiony zaledwie centymetr wyżej, zginąłby na miejscu. Zdaniem Johna blizna była niską ceną za życie. Darby uniósł głowę, zapewne nieświadomie, a ona delikatnie przyciągnęła go do piersi, by zyskać łatwiejszy dostęp do czoła i skroni.

Jej dotyk stał się lżejszy, oddech płytszy. Tył głowy Darby'ego przyjemnie dociskał jej biust, a bliskość, która coraz wyraźniej ich łączyła, była zarazem rozkoszna i niepokojąca.

Uświadomiła sobie, że Darby zasnął. Poznała to po jego spokojnym, cichym oddechu. Powinien obudzić się już bez bólu głowy, świeży i wypoczęty. Przez chwilę kusiło ją, by położyć dłonie na jego ramionach, pochylić się i pogłaskać go po torsie lub ucałować czubek głowy. Mogłaby sobie na to pozwolić tylko wtedy, gdy spał, ponieważ na jawie z pewnością dworowałyby sobie z niej albo podał w wątpliwość szczerą jej intencję.

Pogrążona w rozmyślaniach Sadie nawet nie zauważyła, kiedy powóz zdążył zwolnić. Drzwi otworzyły się nagle, a stajenny rozłożył schodki i obwieścił, że przybyli na Grosvenor Square.

- Darby - wyszeptała łagodnie Sadie. - Darby! - powtórzyła głośniej. - Wróciliśmy do rezydencji księcia.

Ocknął się dość raptownie.

- A niech to czort - mruknął.

Wyprostował się, a Sadie ujrzała jego twarz, częściowo oświetloną przez dwie latarnie po bokach głównego wejścia.

Na widok pracodawcy bez opaski stajenny nerwowo przyłożył dłoń do ust, a oczy niemal wyszły mu z orbit, gdy pośpiesznie odsuwał się od powozu.

- Jasny gwint - wymamrotał Darby, po czym pośpiesznie odszukał pozostawioną wśród poduszek opaskę i ją zawiązał. - Biedaczysko, teraz będą go dręczyły koszmary.

- Zapewne jest tylko zbulwersowany widokiem pracodawcy drzemiącego na dekolcie damy - zaimprovizowała pośpiesznie Sadie.

Darby odwrócił się do niej.

- Drzemałem? - upewnił się. - Nic nie pamiętam. Co za wstyd.

- W istocie. Jak ból głowy?

Przyłożył rękę do czoła.

- Znikł. - Uśmiechnął się. - Bez śladu. John miał słuszość, twoje palce skrywają magię. - Nim zdążyła cofnąć dłonie, ujął je i złożył pocałunek na opuszkach palców. - Powinnaś otworzyć własną praktykę lekarską. Dziękuję, pani doktor.

- Bardzo proszę - odparła cicho Sadie, zakłopotana i zadowolona jednocześnie.

Pomógł jej wsiąść i odprowadził ją do drzwi.

- Powinnam teraz wejść do środka, prawda? Jak myślisz, Rigby jest w domu?

- Jeśli jest, to niech któryś z lokajów przyjdzie i powie mi o tym. Wtedy zabiorę stąd Rigby'ego i obiecuję, że jutro rano wszyscy czterej przeprowadzimy naradę. Ostatnie, czego nam potrzeba, to burza mózgów w obecności Vivien lub Basila, którzy zawsze wtrącają swoje trzy grosze.

- Oboje bardzo lubią Clarice. - Sadie pokiwała głową.

- I oboje zawsze wpadają na dziwaczne pomysły. Już sobie wyobrażam, jak Basil rozważa ewentualne skrytobójstwo. Swego

czasu już pośpieszył jej na ratunek, budząc zdumienie Gabe'a, ale to opowieść na inną okazję. Poza tym myślę, że powinniśmy zastanowić się głębiej nad twoimi spostrzeżeniami na temat osoby, która mogła rzucić klątwę na mężczyzn z rodu Sinclairów. Mój powóz podjedzie po was o jedenastej.

- Dobrze - zgodziła się nieco zakłopotana Sadie. - Ale ja tylko wygadywałam głupstwa, dla żartu.

- Tak się składa, moja droga Sadie Grace, że czasem pozorne głupstwo może się okazać najrozsądniejszym wyjściem z trudnej sytuacji.

- Naprawdę uważasz, że...

- Są rzeczy na niebie i na ziemi, o których nie śniło się filozofom. Właśnie tak uważam.

- Cytowanie Szekspira, a konkretnie Hamleta, nie sprawia, że pomysł traci na absurdalności. Popatrz - powiedziała, gdy drzwi się otworzyły. - Idzie Rigby. Ojej, nie wydaje się zbyt radosny.

- Coś się stało? - spytał Darby.

Rigby minął ich i zbiegł po schodach.

- Jadę z tobą - burknął przez ramię. - Wyrzuciła mnie na zbity pysk, a Sadie podobno wie dlaczego. Jeśli ona wie, to i ty. Szybciej, muszę wypić kieliszek czegoś mocniejszego.

- Jak znam życie, jeden nie załatwi sprawy - ocenił Darby i uśmiechnął się do Sadie. - Lepiej będzie, jeśli za godzinę przyśle powóz.

Pochylił się z zamiarem pocałowania Sadie w rękę, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie i przywarł ustami do spodu jej dłoni, po czym odszedł szybkim krokiem.

Oszołomiona Sadie weszła do budynku, zastanawiając się, czy księżna byłaby skłonna poczęstować ją paroma łykami swojego ulubionego dżinu. Chętnie nalałaby sobie odrobinę do filiżanki, żeby nikt się nie zorientował.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Clarice, która przybyła pod osłoną szczelnego woalu, pobiegła przodem, pozostawiając za sobą Sadie i pokojówkę. Wiedziała tylko tyle, że musi jak najszybciej znaleźć się w rezydencji Darby'ego przy Park Lane. On sam stał przy oknie i patrzył, jak Sadie przystaje, by z podziwem popatrzeć na fasadę z balkonem od strony Hyde Parku. Spędził wiele miłych chwil na tym balkonie, paląc cygara z przyjaciółmi lub tylko przyglądając się arystokratom, którzy spacerowali po parku. Niejednokrotnie zdarzyło mu się widzieć, jak szlachetnie urodzeni robią z siebie pośmiewisko.

Przyglądał się elegancko ubranym, safandulowatym młodzieńcom w żółtych dwukółkach ciągnionych przez efektowne, lecz słabe konie. Bawił go również widok dam, które udawały znużenie, jednocześnie robiąc wszystko, by dać się zauważyć i zapamiętać.

Sadie z pewnością dobrze by się bawiła, spędzając z nim czas właśnie w taki sposób, wśród strategicznie rozmieszczonych na balkonie roślin, za którymi łatwo było się ukryć. Darby chętnie dowiedziałaby się, co myślała – nie znosiła głupców i choć znalazła się w nowym świecie, nie zamierzała wtapiać się w nowe otoczenie.

Nadal nie posiadał się ze zdumienia, że namówiła go na ściągnięcie opaski, a jeszcze bardziej dziwiło go, że zasnął w trakcie masażu. Nie pamiętał, kiedy poprzednio znajdował się tak blisko kobiecego biustu i nie wykorzystał sposobności do pofi-glowania.

Odsunął się od okna, usłyszawszy, jak Willie Camford prosi damy o podążenie za nim na piętro, do salonu, „w którym czeka jego lordowska mość”.

Pomyślał, że zabrzmiało to tak, jakby się czał w kryjówce, gotów do ataku.

- Jaśnie panie, panny Hamilton i Goodfellow, przybyły z wizytą - zaanonsował oficjalnym tonem Willie.

On i jego bracia, Lawrence, Thomas i Quentin, również kamerdynerzy, obecnie odpowiedzialni za prowadzenie posiadłości Nailbourne'a, nauczyli się tak przemawiać za sprawą ojca, który wpoił im reguły etykiety. Tyle tylko że anons był zarazem niepotrzebny i spóźniony, gdyż Clarice już wcześniej wpadła do pokoju, nadal ukryta pod absurdalnie długim woalem.

- On wie, cośmy za jedne, pacanie - skarciła kamerdynera, za którego plecami stała doskonale widoczna Sadie.

- Dziękuję ci, Camford. - Darby westchnął cierpiętniczo. - Możesz się oddalić. Niech ktoś przyniesie poczęstunek dla dam.

- Wedle życzenia, jaśnie panie. - Willie ukłonił się nisko i wyszedł z salonu.

W żaden sposób nie dał po sobie poznać, że ostatniej nocy on i „jaśnie pan” odprowadzili pijanego w sztok Rigby'ego do jednej z sypialni dla gości, a następnie spędzili godzinę z okładem w koszulach, z podwiniętymi rękawami, grając w wista i wspominając wspólnie spędzoną młodość na wsi.

- Prezentujesz się nader atrakcyjnie, Sadie Grace, lecz nie sądzę, byś nadawała się na ozdobę progu salonu - powiedział Darby, zmierzając w jej stronę. - Może zatem wejdiesz do środka?

Chciała zbyć jego słowa machnięciem ręki, lecz zdołał ją chwycić i ucałować.

- Przez pół nocy nie mogłem spać, nawiedzany wspomnieniami twojego magicznego dotyku - wyszeptał. - Nadzwyczaj rozkosznymi, dodam, licząc na powtórkę.

Zignorowała zarówno jego uśmiech, jak i poufały ton.

- Z powodu płaczów Clarice zdołałam się położyć dopiero po trzeciej - burknęła. - Gdzie Rigby?

Wyglądało na to, że nie był to odpowiedni moment na dyskusję o sesji terapeutycznej w ciemnym powozie.

- Pozostaje w swojej sypialni, z której nie wyjdzie, póki nie będzie wyglądał jak człowiek - odparł Darby. - Co powinno nastąpić lada moment.

- Niewiele brakowało, a musielibyśmy siłą wywlec Clarice

z wanny. Księżna poważnie się obawiała, że Clary zechce się utopić, ale zdaniem jej samej w wannie lepiej się myśli.

- Czy kąpiel faktycznie odświeżyła jej umysł? - Darby odprowadził Sadie do jednej z sof.

- Jeśli tak, to w niezauważalnym stopniu. Clarice wyszła z wanny cała w zmarszczkach, niczym suszona śliwka, ale jej mózg ani trochę nie zyskał na kąpieli. - Sadie zmarszczyła brwi.
- Clarice przyjechała tu z zamiarem zwrócenia Rigby'emu wolności.

- Co takiego? Beczka prochu nie wystarczyłaby do oderwania naszego Romea od ukochanej. Dziwne, nigdy nie sądziłem, że Clarice mogłaby się okazać męczennicą - zadumał się Darby. - Prawdę powiedziawszy, z początku obawiałem się, że tylko poluje na tytuł i gruby portfel Rigby'ego, ale ta myśl szybko się ulotniła. Oboje świata poza sobą nie widzą. Kochają się bez opamiętania.

- Tak, i tylko zakochana kobieta byłaby gotowa na takie poświęcenie. Serce mi pęka, kiedy na nią patrzę, a księżna, cała we łzach, udała się do swoich pokojów i zażądała od księcia, by coś zrobił. Niewiele powiedziałaś wczoraj wieczorem, ale to i tak wystarczyło, żeby dać nam do myślenia.

- Z całą pewnością. Musimy opracować jakiś plan, i to niezwłocznie. A oto i nasz wstawiony przyjaciel.

Rigby wpadł do pokoju i niemal przewrócił Camforda, który właśnie wrócił z przekąskami. Kamerdyner pośpiesznie postawił tacę na stole przed Sadie i zniknął tak szybko, jak się pojawił. Darby podejrzewał, że Camford stanął w korytarzu i śmiał się do rozpuku, gdyż to nie on musiał stawić czoło narastającym problemom.

Zatrudnianie synów Camy'ego w różnych posiadłościach było świetnym rozwiązaniem, jednak Darby niekiedy miał wrażenie, że jest przez nich traktowany jak znacznie młodszy kuzyn.

Clarice zerwała się na równe nogi i zdarła z siebie woal.

- Och, Jerry, mój najdroższy, mój jedyny! - krzyknęła.

- Och, Clary, moja najwspanialsza, moja duszyczko! - Rigby cisnął bobrową czapkę na bok, niemal roztrzaskując kolekcję

nefrytowych figurek, starannie wyeksponowaną na jednym ze stolików.

- O Chryste - mruknął Darby, gdy kochankowie przywarli do siebie w miłosnym uścisku.

- Więcej wrażliwości - zaapelowała do niego Sadie. - Naprawdę cieszą się ze spotkania.

- Cieszą się? To stanowczo za mało powiedziane, Sadie Grace. - Darby z niejakim przerażeniem patrzył, jak widowiskowe spotkanie stopniowo nabiera znamion namiętnej miłości. - Powinienem był to przewidzieć i zlecić Camfordowi przyniesienie kilku wiader z zimną wodą. Jako że tego nie uczyniłem, powinniśmy teraz zamknąć oczy.

- Absurd. Uspokoją się, gdy tylko Clarice wyjawi mu swój plan.

- Zatem dopiero wówczas, kiedy zabraknie im tchu, czyli nieprędko. Skoro nie chcesz zamknąć oczu, przygotuj się na interesujący spektakl. Chyba jest już za późno, żeby wołać Camforda. Niewiele osób miało okazję widzieć, jak głowa człowieka zatacza półobrót bez odrywania się od ramion.

- Wiem, Darby. - Sadie podniosła na niego wzrok. - Oboje się o nich martwimy.

- Wcale nie powiedziałem, że się o nich... No dobrze, niech ci będzie. Tak, martwię się - przyznał. - Rigby to z natury łagodne stworzenie, co nie oznacza, że można go bezkarnie prowokować. Swego czasu spacerowaliśmy po zdobytym miasteczku w Hiszpanii, kiedy nagle Rigby pognał przed siebie, widząc, jak żołnierze z innego pułku napastują jedną z miejscowych kobiet. Było ich dwóch, a żaden nie ułomek. Nim dobiegliśmy, jeden z nich był już ze złamaną ręką, a drugi wodził tępym wzrokiem po bruku, poszukując kilku swoich zębów.

- To szalenie ciekawe, wręcz budujące, ale chyba będzie lepiej, jeśli Rigby nie rozkwasi twarzy pani Henderson i nie połamie jej kończyn, żeby milczała. O, popatrz, rozmawiają. A raczej Clarice coś mówi, zaś Rigby słucha.

Darby przeniósł na nich spojrzenie. Siedzieli teraz na sofie pod oknem, ze splecionymi dłońmi, patrząc sobie w oczy. Razem prezentowali się całkiem malowniczo, tyle tylko że Rigby

psuł ogólne wrażenie swoją upiornie zielonkawą cerą i opuchniętymi oczami.

- Źle z nim - ocenił Darby, siadając obok Sadie.

Ona również patrzyła na przyjaciół.

- Nie najlepiej - przyznała. - Ponieważ jednak Clarice wzięła się w garść, on też musi, prawda? Powiedziałam jej, że na to liczę. Trochę się rozczuliła na widok Rigby'ego, ale teraz chyba jest już całkiem w porządku.

- Czy dobrze słyszę? Chcesz powiedzieć, że Clarice i ty, a raczej ty i Clarice, bo sama na to wpadłaś, postanowiłyście chytrze powstrzymać Rigby'ego przed zrobieniem sceny? Powiem ci, że twój plan nie spalił na panewce, jeśli nie liczyć chwili słabości Clarice.

- Problemu nie da się rozwiązać krzykiem i histerią - oznajmiła roztropnie Sadie. - Nie chcielibyśmy wysłuchiwać wrzasków, biadolenia i inwektyw w wykonaniu Rigby'ego, gdyż nie byłoby to ani przyjemne, ani produktywne. Kiedy Clarice zrozumiała, że będzie tylko pomagać Rigby'emu, natychmiast się ze mną zgodziła.

Darby zauważył, że Sadie z trudem powstrzymuje rozbawienie.

- Ten, kto powiedział, że kobiety są pokrętne i przebiegłe, nie znał nawet połowy prawdy o ich naturze - zauważył. - Czy naprawdę aż tak łatwo manipulować mężczyznami?

- Tego nie wiem. Zastosowałam tę samą strategię, która się sprawdza w wypadku Marley. Człowiek nie czuje się komfortowo ze swoją histerią, kiedy wszyscy wokoło zachowują spokój. Histeryk albo wybiega z pomieszczenia, z czego nie ma żadnego pożytku poza tym, że robi się luźniej, albo też się uspokaja wzorem innych. Spokój to bardzo proste antidotum. Poza tym planem nie miałyśmy jednak już żadnego innego. Od nas dwójga zależy, czy ocalimy ich związek i dobre imię Rigby'ego. Co robimy? - Spojrzała na niego pytająco. - Tylko myśl szybko, gdyż widzę, że Clarice drży broda.

- Dobrze, w takim razie spróbujmy wybrać najodpowiedniejszą z możliwości.

- Mamy jakieś możliwości do wyboru? - zdziwiła się. - Dlacze-

go nie wspomniałeś o tym wcześniej? Nie sądziłam, że jest choć jedna i już traciłam nadzieję.

- Coś podobnego. Jak rozumiem, nie chcesz brać pod uwagę porwania obu dam, upchnięcia ich w workach i wrzucenia na pokład statku płynącego do Wirginii. Szkoda, gdyż to był mój najlepszy pomysł.

- Jesteś niemożliwy.

Darby pocałował ją w policzek, ale Sadie ledwie to zauważyła, skupiona na najważniejszym problemie.

- Chyba moglibyśmy zapłacić tej kobiecie za to, by zapomniała o spotkaniu z Clarice - podsunął.

- Ten pomysł już odrzuciliśmy po stosownym rozważeniu. - Sadie pokręciła głową. - Książę zaproponował, że wyłoży odpowiednią sumę, lecz Clarice odparła, że Hendersonowie opływają we wszelkie dostatki.

- Moja droga, naiwna panno Hamilton. Nie ma takiego człowieka, który nie mógłby mieć więcej. To uniwersalna zasada świata ludzi bogatych, zwłaszcza obrzydliwie bogatych. Rzecz jasna, nie musi chodzić o gotówkę, tylko o coś cennego, co znajduje się w posiadaniu innej osoby i z tego względu pozostaje nieosiągalne.

- Trochę tego nie rozumiem, ale zapewne lepiej znasz się na tej tematyce, w końcu sam się zaliczasz do kategorii obrzydliwie bogatych. Zastanawiałam się jeszcze, czy nie moglibyśmy zaproponować pani Henderson wsparcia w poszukiwaniach męża dla jej córki, gdyby zobowiązała się zachować dyskretne milczenie. Sama chyba niezbyt dobrze sobie radzi, prawda?

- Rozwahałem to - odparł Darby. - Brakuje nam czasu. Znalezienie kogoś stosownego zajęłoby nam ponad dwa tygodnie, jak mniemam. Naturalnie, w grę wchodzi zapewne pokaźne wiano, ale czy upadliśmy tak nisko, żeby obarczać nieszczęsne dziewczę łowcą posagów? Sadie? Czyżbyś się wahała?

- Tak, wiem. - Westchnęła. - Tak tylko się zamyśliłam... Nie mamy już więcej pomysłów? A właściwie jaka jest ta córka? - zainteresowała się nieoczekiwanie. - Chciałabym wiedzieć więcej w ramach pokuty i pogłębiania poczucia winy za to, że brałam pod uwagę unieszczęśliwienie tego biedactwa.

- Panna Belinda Henderson? Powiedziałbym, że to fanatyczna wielbicielka koni. Bawiła się wachlarzem jak pejcem, co od razu ją zdradziło, i koniecznie pragnie wrócić do Wirginii na czas żrebia. Szczerze mówiąc, tylko na moment zrobiła wielkie oczy, słysząc, jak imponujący noszę tytuł, a potem wydawała się nań całkowicie obojętna.

- Jakże musiałeś cierpieć - odparła Sadie z nieodgadzionym wyrazem twarzy, ale pogrążony w rozmyślaniach Darby nie zareagował. - Darby? Nie chciałam cię urazić.

- Wszystko w porządku, wybaczam ci - odrzekł beznamietnym głosem. - Chyba coś mi przyszło do głowy... Jesteś niezrównana. Nie wpadłbym na ten pomysł, gdybyś nie spytała mnie o dziewczynę...

Niewiele myśląc, ujął twarz Sadie w dłonie i pocałował ją mocno w usta. Tym razem pocałunek trwał dłużej niż poprzednio, i to znacznie dłużej, jakby Darby oczekiwał od niej czegoś więcej.

Natychmiast wyczuł, że Sadie właściwie nie ma nic przeciwko temu. Co prawda, nie objęła go i nie nazwała swoim najdroższym, ale też i nie spoliczkowała go. Darby uznał to za dobrą zapowiedź na przyszłość.

Wstał z entuzjazmem, pełen chęci do działania.

- Rigby? - zawołał. - Uszy do góry, stary druhu. Chyba znalazłem rozwiązanie naszego problemu.

Clarice niemal przefrunęła przez pokój, żeby rzucić się Darby'emu w objęcia.

- Darby! - zawołała. - Kochany, cudowny Darby! A mówiłam Rigby'emu, że coś wymyślisz, bo Sadie zaklinała się, że jesteś fenomenalny!

- Zaklinałaś się? - Rigby spojrzał pytająco na Sadie, która w dość komiczny sposób wniosła oczy ku niebu, obserwując, jak Darby usiłuje się oswobodzić z uścisku Clarice i skierować ją z powrotem w ramiona Rigby'ego.

- Musiałam coś zrobić, żeby przestała płakać - oznajmiła Sadie. - Osoba Darby'ego... sama się nasuwała.

- Coś podobnego... Moje imię pierwsze przyszło ci do głowy... w dodatku wraz ze słowem „niezrównany”. Wydaje mi się, że

dopiero co określiłem cię tym samym mianem.

Zakłopotana Sadie skubała fałdy sukni.

- To popularnie stosowane określenie - wyjaśniła cicho. - Wpadło mi do głowy w chwili... desperacji. Czy i ty jesteś zdesperowany, czy też naprawdę masz już jakiś plan?

- Na razie to tylko pomysł, Sadie Grace. Opracowanie planu zajmuje więcej czasu. A teraz chodźcie, moje panie, wraz z pokojówką wsiądźcie do powozu księcia, żeby pojechać na Grosvenor Square. Ja i Rigby musimy się czymś zająć, ale obiecuję, że dziś wieczorem prześlę wam list z informacjami o postępach.

- To rozsądne, zważywszy na to, że Clarice nie zamierza uczestniczyć dzisiaj w żadnym przyjęciu. Książę obiecał mi lekcję szachów i bardzo mi to odpowiada.

- Ale... Ale, Rigby, czy nic ci nie grozi? - zaniepokoiła się Clarice.

- Jest najbezpieczniejszy pod słońcem, że tak powiem. - Darby pokręcił głową, uprzedzając odpowiedź Rigby'ego.

Pomysł był jeszcze zbyt świeży, żeby o nim opowiadać.

- Widzę, że jesteś zachwycony sobą - odezwała się Sadie, gdy odprowadzał ją do powozu.

- Czyżby nie odpowiadało ci moje samozadowolenie?

- Prawdę mówiąc, całkiem mi się podoba. Wystarczająco długo trzymałam wodze i teraz się cieszę, że od czasu do czasu ustąpię komuś miejsca na koźle, by móc cieszyć się komfortem jazdy.

- Ale tylko od czasu do czasu? - spytał, a gdy wsiadała do powozu, pochylił się nad jej dłonią.

- I owszem - odparła. - A, zapomniałam powiedzieć, że twój dom robi ogromne wrażenie. Szczególnie ciekawym elementem wydaje się balkon. Chętnie usiadłabym tam któregoś dnia i po prostu obserwowała, co się dzieje.

Darby roześmiał się, zamknął drzwi powozu i cofnął o krok, wraz z Rigbym patrząc, jak stangret popędza konie. Nie miał pojęcia, skąd Sadie wiedziała, że chciałby usłyszeć jej opinię o rezydencji. Musiał przyznać, że ta kobieta była dla niego coraz większą zagadką.

- Wiesz co, Rigby? - Położył rękę na ramionach przyjaciela

i zawrócił go ku drzwiom. – Gdyby nie problem, któremu musimy stawić czoło, bawiłbym się po prostu świetnie, najlepiej od wielu lat.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Widziałam, jak cię całował - oświadczyła Clarice, siadając po turecku na łóżku Sadie.

Obie udały, że idą spać do swoich sypialni, ale gdy tylko przebrały się w nocne koszule i peniuary, Clarice przemknęła na palcach przez korytarz i wśliznęła się do pokoju Sadie, żeby z nią porozmawiać od serca i bez świadków. Obie miały już dość nieustannego wtrącania się Vivien i matki Coopera, Minervy, zwłaszcza po tym, jak na tacy z podwieczorkiem pojawił się liścik od Darby'ego.

- Tak naprawdę to nie był pocałunek, Clarice, a w każdym razie nie taki, jak ci się wydaje - zapewniła ją Sadie. - Darby cieszył się ze swojego pomysłu i tak to okazał. Nie doszukuj się drugiego dna.

- Ale z ciebie głuptaska - prychnęła Clarice. - Niby taka mądra, a nie widzi tego, co ma na talerzu!

Sadie drgnęła niespokojnie, podkuliła długie nogi i machinalnie przejechała dłonią po łydce.

- Uwierz mi, Clarice, ten pocałunek to nic takiego. Nie ma sensu wyciągać pochopnych wniosków.

- Tak, tak, od razu przejrzałam na wylot te bzdury o tym, że podobno nagle zapałaliście do siebie uczuciem, które rozkwitło podczas dwóch krótkich spotkań. Darby powiedział to tylko po to, żeby udobruchać Vivien i całą resztę. Bierzecie ślub, bo mała Marley będzie się czuła bezpieczna, kochana i pewna własnej przyszłości, kiedy opiekun i ciotka podążą ramieniem przez urokliwe łąki jej życia.

Sadie poczuła, jak na jej policzki wypełza rumieniec.

- Słowa Vivien wprawiły mnie w zakłopotanie, gdy je wypowiadała. Nie musisz ich powtarzać.

- Muszę, bo chcę widzieć, jak odwracasz wzrok i udajesz, że wychodząc za Darby'ego, poświęcasz się dla Marley. Pewnie na-

wet nie wiesz, że za każdym razem, jak to powtarzasz, wydajesz się mniej pewna siebie. A poza tym myślę, że on cię lubi.

Sadie gwałtownie uniosła głowę.

- Tak? Skąd wiesz? Rigby powiedział ci coś o tym? A może Darby? Co mówił?

- Ha, zastawiłam na ciebie pułapkę, a ty dałaś się złapać. - Clarice wycelowała w nią palec. - Wiedziałam. Zależy ci na nim, co? Jerry jest mi winien kolejny czepek. Jeszcze trochę, a będę ich miała tyle, że byłoby za dużo, nawet gdyby wyrósł mi tuzin głów. Od następnego razu będę żądała torebek, ot co.

- Jak na mój gust, jesteś stanowczo zbyt sprytna. - Sadie zsunęła się z łóżka i podeszła do biurka, na którym leżał liścik od Darby'ego.

Przyszło jej do głowy, że kiedy mieszkała na wsi, nigdy nie miała przyjaciół. Owszem, nie brakowało jej znajomych, samych dobrych ludzi, ale nie czuła najmniejszej potrzeby zwierzania się im, dzielenia się sekretami, chichotów po kątach czy wymieniać porozumiewawczych spojrzeń. Teraz, przy Clarice, czuła się dziwnie, jakby musiała przywyknąć do nowej sytuacji.

Rodzice Sadie odeszli dawno temu. Ojciec wierzył w surową dyscyplinę, a matka w naukę szycia i prowadzenia domu. Edukacja Sadie, choć znacznie bardziej rozległa niż większości dziewcząt, nie obejmowała tego, co rodzice uważali za zbędne młodym damom.

Właśnie dlatego Sadzie doświadczyła objawienia, gdy pewnego dnia odkryła jedną z ksiązek o anatomii należących do Johna. Pracując z nim w gabinecie, zajmowała się niemal wszystkim, dzięki czemu zdobyła spore doświadczenie. Przy tym jednak ani razu nie widziała, żeby jej rodzice wymieniali pocałunki, mówili do siebie czułe słowa, obejmowali się ciepło czy też wyznawali sobie miłość.

John okazał się podobny do rodziców i wybrał sobie prostolinijną, poważną żonę, która tak samo jak on twardo stąpała po ziemi i pasowała do niego jak ulał. Właśnie dlatego Sadie dokładała wszelkich starań, by zapewnić dziecku inne wychowanie. Marley, gdy tylko zapragnęła, mogła do nich dołączyć. Sadie pozwalała jej także siadać na ławce w kuźni, by mogła podpa-

trywać kowala przy pracy. Odwiedzały też miejscowego piekacza, który zawsze częstował ją smakołykami. Oczywiście pod warunkiem, że była grzeczna i posłuszna.

Nie zamierzała zmieniać swego podejścia. Obiecała to sobie w przekonaniu, że postępuje słusznie. Przez pierwsze dni nawiadzały ją wątpliwości, ale gdy Darby przyniósł szczeniaka, podjęła ostateczną decyzję o pozostaniu przy dziecku i opiekowaniu się nim tak jak dotąd.

Cała reszta to były tylko pobożne życzenia Clarice.

- Sadie? Hu, hu, Sadie! Skamieniałaś? To przeze mnie? Jak tak, to przepraszam. Bo wiesz, chyba zwyczajnie chcę, żeby wszyscy byli szczęśliwi. - Clarice zamyśliła się na moment. - I lubię mieć rację. Jestem okropna, prawda?

- Nie - zaprzeczyła Sadie i z powrotem usiadła na łóżku, z liścikiem od Darby'ego w dłoni. - Ja też chciałabym, żeby wszyscy byli szczęśliwi, a teraz szczególnie zależy mi na szczęściu twoim i Rigby'ego. Przeczytamy jeszcze raz?

Clarice wzruszyła ramionami.

- Ale niby po co? - spytała. - Darby przyjedzie po ciebie swoją dwukółką jutro o jedenastej, więc musisz się ubrać ciepło, a Martha Henderson i jej Belinda będą podróżować jego powozem. Lunch zjecie wspólnie, w domu na wsi. Co prawda nie wspominał, że po posiłku zatłucze obie damy łopata i zakopie je w ogrodzie, ale na miłą myśl, że coś obmyślił. A ja się zabiorę z wami i będę robić za pokojówkę i przyzwoitkę, choć z przyzwoitością to za pan brat nie jestem już od dłuższego czasu, a pokojówka zawsze była ze mnie raczej nie najlepsza, jak teraz o tym myślę. Tak mi nawet czasem żal, że już nie pracuję, bo ludzie wygadują takie rzeczy przy służbie, jakby pokojówki nie miały uszu pod czepkami. Jakbym ci naopowiadała, czego się nasłuchałam przy matce Thei, jak z ludźmi gadała, toby cię poraziło od góry do dołu i z lewej na prawą.

Sadie nie była szczególnie zainteresowana plotkami, zwłaszcza o nieznanym, ale doszła do wniosku, że to dobra okazja, by odciągnąć uwagę Clarice od jej romantycznych wizji Darby'ego, więc pośpiesznie zapytała ją o szczegóły.

Clarice oparła się wygodnie o poduszki.

- Niech no pomyślę - zaczęła z wyraźnym zadowoleniem. - No, dobrze. Któregoś razu Winnie Fowler poprosiła na jakimś przyjęciu, żebym jej pomogła wyleźć przez okno, bo się jej zebrało na amory z kochasiem. Ma się rozumieć, wcale nie uważałam, że to tak wypada mężowi rogi przyprawiać, więc postanowiłam nie czekać, aż wróci i każe się podsadzić z powrotem, chociaż dała mi okrągłego miedziaka i kazała stać pod samiotkim oknem. Czekaj, powiedziała, Clary Goodfellow, bo jak nie, to pożalujesz. Ale ja wcale nie pożalowałam, zwłaszcza jak się rozpadało.

- Clarice, jesteś niepoprawna.

Clarice zaczęła przeciągać samogłoski, przypomniawszy sobie, że musi pracować nad opanowaniem angielskiego akcentu. Sadie nie miała nic przeciwko temu, uznała to nawet za urocze.

- Wiem. I wiem też, że Jacob Smith zastawił swój złoty zegarek i jeszcze trochę biżuterii żony, żeby spłacić długi karciane, a potem kazał zamknąć swojego pokojowca za kradzież, jak wszystko zostało znalezione pod materacem tego biedaka. Oczywiście, Jacob Smith podrzucił imitacje, zastąpił prawdziwe kamienie szkłem, i tylko zegarek był prawdziwy, bo podrobienie go było zbyt drogie, a pani Smith nigdy się o niczym nie dowiedziała i ciągle chodzi ze szkiełkami na szyi, myśląc, że to same brylanty.

- Żal mi tego pokojowca.

- Niepotrzebnie, bo kto by tam żałował Skippy'ego Baxtera. Nie kto inny, tylko on okradał Jacoba Smitha ze wszystkiego, co popadło, i to latami. Inna sprawa, że musiał, no bo jak tu żyć, kiedy ma się jedną żonę we wsi, a drugą w jakiejś dziurze w sąsiednim okręgu.

- Pomyśleć tylko, ile straciłam, nigdy nie słuchając plotek. - Sadie westchnęła. - Opowiesz mi coś jeszcze?

- Jesteś podobna do księżnej, ona też uwielbia moje historyjki. Posłuchaj następnej. Wiem, że Daisy Fisher bawiła się w jazdę na koniku z narzeczonym swojej siostry Sally, tyle tylko że on się nie zorientował, bo Daisy i Sally to bliźniaczki i podobne są do siebie jak dwie krople wody. O, i powiem ci jeszcze, że ta wiecznie nadęta Elizabeth Ruple wypycha sobie stan wełnia-

ną watoliną, więc wyobraź sobie minę jej męża w noc poślubną!

- Clarice, wystarczy...! - zachichotała Sadie i nagle coś przyszło jej do głowy. - Czy wiesz coś o Hendersonach? Poza tym, że są bogaci i prowadzą stadninę?

- Och, wszyscy o nich wiedzą, to nie żaden sekret. - Clarice lekceważąco machnęła ręką. - Hendersonowie byli tylko drobnymi farmerami do czasu, jak Sissy Henderson, ledwie szesnastolatka, pokręciła zadkiem przed tym głupim dziadygą Silasem Winkle'em i powiedziała mu, że będzie tatusiem, a on, durny, z osiemdziesiątką na karku, od razu jej uwierzył.

- A potem pewnie wzięli ślub. Jak rozumiem, Silas Winkle był zamożnym człowiekiem?

- Więcej miał pieniędzy niż sam Pan Bóg, jak to ludzie mówili. Nie minął rok, a wyciągnął kopyta, za przeproszeniem, bo spadł ze schodów. Ani się kto obejrzał, jak Sissy się chajtnęła z dalszym krewniakiem Fredem i wszyscy Hendersonowie mieli jak te pączki w maśle.

- Popęłniła morderstwo? - Sadie zadrżała.

- Nie całkiem - odparła Clarice i zachichotała. - Tak jak ja to słyszałam, ten stary zbereźnik ganiał za Sissy po schodach, ze spodniami spuszczoneymi do kolan, a ona w samej halce tylko przed nim umykała. A słyszałam to dlatego, że pies z kulawą nogą nie zwraca uwagi na pokojówki, a one przecież wszystko widzą. Ludzie gadali potem, że zwyczajnie stracił równowagę, zachwiał się i spadł. Szwagierka Freda, Martha, znaczy się ta nasza Martha, zaklinała się potem, że wszyściutko widziała na własne oczy. No i proszę bardzo, za niedługo jej mąż Henry został dumnym panem na stadninie, a sama Martha mogła odtąd paradować napuszona jak paw. Tak to było, proszę ja kogo.

- Tak czy owak, niejednen nazwałby to morderstwem. To oczywiste, że Sissy zwabiła go na schody na pewną śmierć.

- Skąd wiesz?

Sadie nie mogła powiedzieć, że w gabinecie Johna widywała osiemdziesięcioletnich mężczyzn rozebranych do rosołu i w imieniu wszystkich kobiet świata mogłaby zaręczyć, że Sissy nie bawiła się w uwodzenie.

- Nie mam pewności, głuptasie - odparła. - Tylko się domy-

ślam. Wiesz jeszcze coś o Hendersonach?

Clarice podrapała się po głowie.

- Chyba nic więcej, tylko tyle, co wszyscy wiedzą... albo się domyślają, tak jak ty przed chwilą - powiedziała. - Sissy i Fred przekazali pieniądze Silasa wszystkim Hendersonom, a tych jest całe stado. Jest sędzia Henderson i pastor Henderson, bankier Henderson i właściciel stajni Henderson. Jeden z nich, chyba Jackson, zabrał się ze swoim udziałem do Anglii i teraz ciągle wysyła dywany krewniakom. Wszechmocni Hendersonowie nie chadzają już po klepisku, co to, to nie! A czego sobie nie wezmą, to sprzedadzą we własnym domu towarowym z importowanymi dywanami. Myślałby kto. A wszystko się zaczęło od Sissy, co to kręciła zadkiem. A teraz? Powiem ci, że łatwiej ją przeskoczyć niż obejść.

Sadie puściła mimo uszu ostatnią uwagę Clarice i powróciła do tematu Jacksona Hendersona.

- Darby powiedział, że Martha powiedziała, że... Och, teraz sama mówię jak plotkara! - zreflektowała się. - Clarice, jak rozumiesz, kuzyn pani Henderson, Jackson, jest kupcem.

Clarice wzruszyła ramionami.

- Uśmiechasz się - zauważyła. - To dobrze?

- Rzecz w tym, że wspomniany kuzyn zapewne jest opiekunem Belindy i ma nadzieję na złowienie dla niej utytułowanego męża. Niewiele wiem o wyższych sferach, ale mam świadomość, że słoma wystająca z butów, jak to mówią, jest uważana za coś gorszego od zbrodni. I to chyba prawda, biorąc pod uwagę historię Anglii i niezliczone morderstwa, na które przymykało oko. Muszę wspomnieć o tym Darby'emu, te informacje mogą mu się przydać. Clarice? - Z niepokojem popatrzyła na przyjaciółkę. - Czyżbym powiedziała coś niewłaściwego?

Clarice pokręciła głową i pociągnęła nosem, a po jej policzkach spłynęły dwie perliste łzy.

- Tak bardzo za nimi tęsknię - wyznała łamiącym się głosem.

- Za Hendersonami? Nie, co ja wygaduję. - Sadie otoczyła Clarice ramieniem. - Tęsknisz za rodziną, prawda?

Clarice skinęła i hałaśliwie wydmuchała nos w chusteczkę, którą wyciągnęła z kieszonki peniuaru.

- Kuzynka June pewnie już urodziła, a mama nie robi się coraz młodsza - powiedziała cicho. - Chciałabym się z nimi spotkać.

- Clarice, nic nie stoi na przeszkodzie...

- Przeciwnie, stoi. Kiedyś myślałam, że jak wrócę któregoś pięknego dnia z Jerrym pod rękę, jako lady Rigby, to będą musieli przede mną dygać ci, co to patrzyli z góry na nas, Goodfellowów. Ale już wiem, że tak nie będzie, bo przecież ktoś zwyczajnie powie wszystko Jerry'emu, tak jak ja powiedziałam ci o Hendersonach i w ogóle, a on to już nigdy mi nie przebaczy.

- Na litość boską, Clarice, niby cóż takiego złego zrobiłaś? Na pewno nie jest tak strasznie, jak ci się wydaje.

- Dla Clary Goodfellow nie było w tym nic okropnego, ani ani, bo to, co robiła, robiła dla zabawy. No bo czym miała się zajmować w Fairfax? Tak to widziałam wtedy. I nigdy nie brałam żadnych pieniędzy, nawet od Georgiego Hendersona.

- Od kogo?

- Od brata Belindy... Sadie, nie rozumiesz? Był on i jeszcze dużo innych takich jak on.

- Byli też inni? Ilu? Nie, zaraz, nie odpowiadaj - poprosiła z pośpiechem Sadie. - W ogóle nie powinnam była o to pytać.

- Byli inni, owszem, i było ich naprawdę za dużo. Jerry coś tam wie, coś mu świta, ale woli nie pytać i nie chciałby, żebym mu powiedziała. Zresztą, po co mam mu mówić, skoro i tak kto inny mu powie? Wszyscy powiedzą, że patrzcie, idzie Clary Goodfellow, zawsze chętna i gotowa na każde skinienie. Dobry Boże! Thea powiedziała, że wszystko będzie dobrze i że ona i Gabe będą z nami na wizytach, a ja, ubrana w piękne suknie, będę chodziła z wysoko uniesioną głową i wszyscy będą chcieli ze mną rozmawiać, i będą się chwalić znajomością ze mną. Ale nie będzie dobrze... Nigdy. - Clarice chlipnęła. - No bo jak ma być dobrze, skoro Martha Henderson rozpowie wszystkim o mnie, a jeśli ja i Jerry pojedziemy do Wirginii, to ludzie też mu nagadają na mój temat. Nigdzie nie mogę się pokazać, a już na pewno nie z Jerrym, bo jak tak dalej pójdzie, to będzie się musiał przeze mnie pojedynkować albo mnie znienawidzi za to, jaka byłam... Och, Sadie...

Clarice długo płakała, a Sadie tuliła ją przez cały czas, aż wreszcie delikatnie oswobodziła się z jej objęć i kazała służbie przygotować kąpiel. Ponieważ już minęła północ, Sadie bardzo przeprosiła pokojówki i lokajów, którzy musieli przydźwigać wannę, a następnie napełnić ją niemal po brzegi gorącą wodą z kuchni. Gdy Clarice się moczyła, Sadie siedziała obok na krześle, na wypadek gdyby biednej, zrozpaczonej niebodze przyszło do głowy się utopić i w ten sposób definitywnie rozwiązać wszystkie problemy.

Obudziła się kilka godzin później, słysząc cichy hałas. Spała nadal na krześle, z głową na ramieniu. Wyprostowawszy zdrętwiałą szyję, momentalnie wpadła w panikę, gdyż wanna była pusta.

Zniknęła.

- Clarice! - zawołała Sadie, rozglądając się bezradnie. Na krześle obok leżały peniuar i nocna koszula, w łóżku nie było nikogo. - Chyba nie pośpieszyła ratować Jerry'ego? Dokąd ona poszła?

Sadie pobiegła korytarzem do swojej sypialni. Nie budziła pokojówki i ubrała się, tak jak to bez ceregieli czyniła całymi latami. Dla orzeźwienia spryskała twarz zimną wodą z miski i umyła zęby, gdyż przecież nie wypadało się tak całkiem zaniedbywać, nawet w krytycznej sytuacji. Związała włosy w kok, narzuciła na plecy nową wiśniową pelerynę, wsunęła bose stopy w półbuciki i ruszyła ku schodom.

W głównym holu dostrzegła lokaja w liberii, który smacznie spał na ławie. Ocknął się dopiero wtedy, gdy zbiegała z ostatnich stopni.

- Szła tędy panna Goodfellow? - spytała, a on pokręcił głową, jednocześnie ziewając jak hipopotam. - Na pewno?

- Nie, psze pani, nie na pewno - przyznał. Zwróciła uwagę, że rozmasowywał zdrętwiałą szyję, gdy wstawał, aby się ukłonić. Dobrze to rozumiała. Sypianie na siedząco nie było komfortowe. - Chyba mi się trochę przysnęło, ale pani nie mówi panu Hobsonowi.

- Nie zamierzam. Otwórz te drzwi.

- Się nie da, psze pani. Tylko pan Hobson ma klucz i je zamy-

ka na amen co wieczór.

- Co za nonsens. A gdyby wybuchł pożar? Jak mielibyśmy uciekać?

Sadie nie rozumiała, dlaczego w takiej chwili myśli o sprawach związanych z pożarem, ale najwyraźniej tak funkcjonował jej praktyczny umysł.

Lokaj przez moment myślał intensywnie, po czym się rozpo-
godził.

- A, ten klucz - oświadczył z zadowoleniem. - Klucz pożarowy to ja mam tu, w kieszeni, ma się rozumieć. Ale żadnych drzwi nim nie odkluczę, bo mi pan Hobson uszu natrze. Co to, to nie, psze pani, nie ma ognia, nie ma odkluczania.

- Jak nie otworzysz, zawiadomię pana Hobsona, że śpisz, kiedy masz czuwać, a on wyrzuci cię na bruk - zagroziła mu Sadie.
- Natychmiast otwórz, muszę wyrzeć na plac.

- Mogłaś wyrzeć przez okno - rozległ się znajomy głos. - Ale robisz rwetes. Słyszałam cię, nim jeszcze cię zobaczyłam.

- Clarice! - wykrzyknęła Sadie z ulgą w głosie.

Clarice zbliżała się do niej spokojnym krokiem, okryta peleryną, w śmiesznym słomkowym czepku na głowie i z nadgryzionym udkiem kurczaka w dłoni. Sadie dopiero teraz zauważyła tuż przy schodach duże okrągłe pudło na kapelusze.

- Przepraszam, Sadie - powiedziała Clarice bez cienia skruchy. - Miałam nadzieję, że wkradnę się z powrotem na górę, zanim zauważysz, że mnie nie ma.

- Cóż, moja panno, zauważyłam twoją nieobecność, a teraz widzę, że jesteś w domu - wycedziła Sadie. - Cóż, u licha, strze-
liło ci do głowy? Nie, nie oczekuję odpowiedzi w tej chwili. Na-
tychmiast maszeruj z powrotem na górę.

Czuła się tak, jakby strofowała trzyletnią Marley.

Clarice dygnęła dość arogancko, na domiar złego wymachując udkiem kurczaka niczym różdżką.

- Sadie, mogłabyś zanieść na górę to pudło na kapelusze? - spytała zaczepnie.

Sadie z trudem panowała nad emocjami.

- Najpierw muszę sobie obiecać, że nie rąbnę cię nim w głowę - warknęła. - Masz pojęcie, jak bardzo byłam przerażona,

kiedy się obudziłam i nigdzie nie mogłam cię znaleźć?

- Przepraszam. Byłam zdesperowana. To ma jakieś znaczenie?

- Niewielkie i na pewno jeszcze nie teraz. - Sadie wymownie wskazała głową schody.

- Tak czy siak, byłam zdesperowana. Najpierw sobie pomyślałam, że pogadam ze stangretem i przekonam go, żeby mnie zawiózł doThei, bo tam bym się mogła ukryć, ale nawet słyszeć o tym nie chciał. A zresztą i tak nie powinnam zawracać jej głowy, bo razem z Gabe'em kończy główny hol przy wejściu i takie tam. Mam tylko nadzieję, że nie wyburzą fontanny. No i że zachowają bananowce.

- Clary...

- Tak, przepraszam. - Clarice westchnęła. - A potem pomyślałam, że nie od rzeczy byłoby się zdać na łaskę Marthy Henderson, ale raz, że nie wiem, gdzie jej szukać, a dwa, że wątpię, by Hendersonowie w ogóle wiedzieli, co to łaska. No to myślę sobie, Clarice, Clarice, najwyższy czas, żebyś przestała wreszcie myśleć, bo jak nie, kompletnie ci rozum odejmie. To całe myślenie jakoś ci nie służy, więc lepiej zostaw komu innemu. - Clarice dotarła na piętro. - I właśnie wtedy mnie oświeciło, że przecież to ja w ogóle kolacji nie jadłam, no to poszłam do kuchni...

- ...kompletnie zapominając, że istnieją ludzie, którym twój los nie jest obojętny - dokończyła za nią Sadie, gdy szły korytarzem w kierunku pokoju Clarice. - Serce podeszło mi do gardła i nadal nie całkiem wróciło na swoje miejsce, jeśli chcesz wiedzieć.

Clarice odwróciła się do niej ze łzami w oczach.

- Och, Sadie, tak bardzo, bardzo cię przepraszam...

- Już dobrze, Clarice. Wiem, naprawdę wiem, jak to jest, gdy kogoś ogarnia desperacja.

Sadie zamrugała, całkowicie przekonana, że gdyby nie czepek, Clarice zastrzygłaby uszami.

- Naprawdę? - chlipnęła Clarice. - Biedactwo. Chcesz mi o tym opowiedzieć? Znaczy się o tym, jak cię zdesperowało.

- Clarice, bardzo cię proszę, idź wreszcie do łóżka. I zabierz ze sobą to pudło... Dobry Boże, ono się rusza.

- Pewnie. Chyba nie sądziłaś, że zostawię Goody'ego?

Gdy Sadie podniosła wieko, ze środka wystawił głowę spaniel z wywieszonym ozorem i zwinnie wyskoczył na podłogę.

- Masz tutaj, Goody - powiedziała łagodnie Clarice, wymachując resztkami udka. - Bądź grzeczny, ciocia Sadie i tak miała ciężki wieczór.

Sadie zmusiła się do uśmiechu, po czym poszła do swojej sypialni.

- Nie jestem głuptaską, ale byłam głupia... - westchnęła, zdejmując suknię i wkładając nocną koszulę. - Nie mogę nieustannie uciekać od tego, co zrobiłam. Nie zabiorę już Marley, bo wie gdzie teraz nowe życie pod opieką Darby'ego. Powtarzałam sobie, że w każdej chwili mogę odejść, zwalniając go z niepotrzebnie danego słowa. O czymś jednak zapomniałam - Marley to nie jedyna osoba w moim życiu, już nie. Nie mogę zakłócać jej spokoju i zasmucać ludzi, którzy mnie zaakceptowali, dbają o mnie, przejmują się mną... i zapewne ruszą za mną w pościg, dogonią mnie i będą chcieli wiedzieć, dlaczego jestem taka głupia, że uciekam.

Wśliznęła się pod kołdrę i popatrzyła na baldachim.

- Jest tak, jak uważa Clarice. Nadszedł czas, żeby zaufać komuś kto wie, co trzeba robić...

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Darby musiał przyznać, że Sadie jest dobrym strategiem. Skierowała na niego pytające spojrzenie dopiero po tym, jak mógł jej zająć miejsce w dwukółce i przejął wodze od stangreta. Wiedział, że w tym momencie powinien wtajemniczyć ją w swój plan, więc postanowił uprzedzić jej pytanie.

- Wydajesz się zmęczona, Sadie Grace - zauważył. - Piękna jak zawsze, lecz zmęczona. Czy Clarice zalała ci za skórę tak samo jak jej ukochany mnie?

- Źle spałam - odparła krótko.

- Cenię zwięzłość wypowiedzi. Cóż, przynajmniej teraz możemy się odprężyć, biorąc pod uwagę, że całe popołudnie bezpiecznie spędzą pod czujnym wzrokiem Vivien i Minery.

Sadie posłała mu ciężkie spojrzenie.

- Czy ty słyszysz, co mówisz? - spytała po chwili.

Darby roześmiał się głośno.

- Masz rację, gdzie ja mam głowę? Po wyjeździe Thei i Dany z pewnością czujesz się jak jedyna dorosła osoba w rezydencji. Liczymy na to, że mój plan wypali, prawda?

Sadie poprawiła pelerynę.

- Skoro mowa o twoim planie, wasza wszytkowiedząca lordowska mość. Może i jestem zmęczona, może mam skłonność do gderania, niemniej wciąż nie wiem, czego dotyczy ten twój genialny plan. Jaka w nim moja rola? Dlaczego tu jestem?

Wiedział, że Sadie nie lubiła tkwić w nieświadomości. Kobieta z tajemnicami, która nie lubiła tajemnic. Zapewne nie rozumiała tej sprzeczności.

- Pragnąłem twojego towarzystwa. To mało?

- Tak. To znaczy... dziękuję, miło mi, ale oczekuję czegoś więcej. Albo jesteś tępawy, Darby, albo uważasz się za niesłuchanie inteligentnego. Ani jedno, ani drugie mi nie odpowiada. - Pokręciła głową. - Przykro mi, ale taka jest prawda.

- Wcale ci nie jest przykro. - Zaśmiał się. - Właściwie dziwię się, że jeszcze nie próbowałaś wydusić ze mnie informacji. No dobrze. Jesteś tutaj, Sadie Grace, ponieważ lunch z paniami Henderson może zostać uznany za dość intymne wydarzenie i tym samym wprawiać rzeczony damy w pewną nerwowość. Jako moja gospodyni okażesz gościom sympatię i życzliwość, gawędząc z nimi o kobiecych faramuszkach.

- To miałyby sens, gdybym była Clarice albo księżną. Jeśli dotąd tego nie zauważyłaś, nie umiem gawędzić o faramuszkach. A poza tym już na początku rozmowy zostanę zapytana, gdzie jest moja pokojówka.

- Nie, nikt cię o to nie spyta. Właśnie dlatego jedziemy osobno. Potrzebowałem sposobności, by poinformować cię, co zrobiłem, a poza tym niespecjalnie miałem ochotę spędzać czas z Marthą i Belindą. Kwestia Clarice jest już rozwiązana, o ile Belinda czuje się usatysfakcjonowana moją propozycją. Prawdę powiedziawszy, prawie wszystko zostało już ustalone. W końcu będziesz musiała mi zaufać, Sadie Grace.

- Tak, wiem... Po prostu zbyt długo czekałam.

Tym razem to on przyjrzał się jej z uwagą.

- Czy to znaczy...? - zawiesił głos.

- Owszem, i byłabym ci wdzięczna, gdybyś nie patrzył na mnie tak triumfalnie. Już dawno temu zorientowałaś się, że nie jestem z tobą całkiem szczerą. Tej nocy, a właściwie nad ranem, postanowiłam udzielić ci odpowiedzi na pytania, które cię dręczą.

Darby usłyszał drzenie w jej głosie. Zastanawiał się, co ją skłoniło do podjęcia tej decyzji. Chyba nie chodziło o jego urok osobisty? Wyglądało na to, że trudna sytuacja Clarice i Rigby'ego w bliżej nieokreślony sposób wpłynęła na Sadie.

- To dla mnie zaszczyt, Sadie - powiedział szczerze. - Dziękuję ci.

- Nie śpiesz się z tymi podziękowaniami. Zanim jednak przejdziemy do rzeczy, powinniśmy... powinienes jakoś pomóc biednej Clarice, nim postanowi zwierzyć się Rigby'emu ze swojej przeszłości. Powiedziała mi, że Rigby już coś wie, ale gdyby poznał całą prawdę, z obrzydzenia odwróciłby się od niej na za-

wsze.

- Moim zdaniem Rigby wie znacznie więcej, niż nam się wydaje, a przeszłość Clarice nie jest dla niego istotna. Kocha ją taką, jaka jest, i nic innego się nie liczy. Właśnie na tym powinna polegać miłość, prawda?

- Przyjemnie byłoby tak myśleć, ale rzeczywistość bywa inna. Jakkolwiek patrzeć, jesteśmy tylko ludźmi. Zdarza się nam mówić coś, w co akurat szczerze wierzymy, i jesteśmy przy tym pełni dobrych intencji, ale po namyśle dociera do nas, że byliśmy w błędzie.

Od razu zrozumiał, że nie mówią już o Clarice i Rigbym.

- Dużo o tym myślałaś, prawda? - zapytał.

- Może nawet za dużo... - westchnęła. - Mój stosunek do Clarice nie zmienił się ani na jotę. Nadal uważam ją za wspaniałą dziewczynę, choć otworzyła się przede mną, wyjawiając wiele przykrych faktów ze swojej przeszłości. Rzecz w tym, że nie liczy się to, co zrobiła. Ważna jest ona sama i jej dobre serce.

Nie było to ani odpowiednie miejsce, ani stosowny czas na tak poważne dywagacje, lecz Darby wiedział, że nie może teraz przerwać rozmowy.

- Ty też masz dobre serce - zauważył łagodnie. - Nikt mnie nie przekona, że jest inaczej, nawet ty sama. Wierzysz mi?

Odwróciła głowę, chowając się za obrzeżem czepka.

- Tak - odparła z ulgą. - Wierzę. Czy teraz możemy porozmawiać o czymś innym?

- O czymś innym, czyli o moim planie, jak rozumiem. Zgoda. Nim jednak wyłuszczę, na czym on polega, a ty wytkniesz mi jego wady, muszę cię o czymś poinformować. Rigby już wie, co wymyśliłem, i bez wątpienia powtórzy wszystko Clarice oraz całej reszcie. Gdy ten dzień dobiegnie końca, nie będziemy już więcej wracali do tej sprawy. I chyba dobrze, jak sądzę, skoro mamy ważniejsze sprawy do omówienia, prawda?

Sadie położyła rękę na jego przedramieniu.

- Twój plan nadal skrywa wady? - spytała. - Wydawało mi się, że wszystko jest dopięte na ostatni guzik.

- Pierwsza wada jest taka, że będziesz chciała odwieść mnie od moich zamiarów - oznajmił Darby z przekonaniem. - Uprze-

dzam, stracisz tylko czas, gdyż wszystko faktycznie jest dopięte na ostatni guzik. Wiedz, że zabieram się do tego z otwartym sercem i bez żalu. Rigby to mój przyjaciel i z pewnością poświęciłby się dla mnie, gdyby zaistniała taka potrzeba. Opowiedziałbym ci, jak w czasie wojny uratował mi życie, narażając się na poważne niebezpieczeństwo i wykazując się niespotykanym bohaterstwem, ale ci nie opowiem, bo nic takiego się nie zdarzyło. Ważne jest tylko to, że w razie konieczności mógłbym na niego liczyć.

- Udaje ci się jednocześnie dowcipkować i mówić poważnie - zauważyła. - To doprawdy zdumiewająca umiejętność. Nim jednak wreszcie przejdziesz do swojego planu, powiem ci coś, co właśnie sobie przypomniałam. Jackson Henderson jest kupcem i producentem dywanów. Nie wiem, czy to ma znaczenie i czy teraz zmienisz taktykę, ale wiem to od Clarice.

- Wczorajszego popołudnia wpadłem z wizytą do lorda Clathan. Jak zrozumiałem, on i jego żona otrzymali dwa piękne wzorzyste dywany do swojej wiejskiej posiadłości. W zamian zgodzili się zaprosić panie Henderson na kilka przyjęć i obiecali, że zachęcą do tego samego liczne grono przyjaciół. Lord Clathan szepnął mi, że Belinda ma gigantyczny posąg, jeśli jestem zainteresowany.

- Wielkie nieba. I co powiedziałaś?

- Podziękowałem mu, naturalnie. Podejrzewam, że wkrótce usłyszymy, że straciłem połowę fortuny na giełdzie. Musisz za mnie wyjść, Sadie Grace, choćby po to, by mnie uratować przed plotkarzami.

- Chodzi o to, że jestem biedna jak mysz kościelna - odparła. - Panna Henderson byłaby dla ciebie lepszą partią.

Darby uśmiechnął się do Sadie. Wyglądało na to, że te przekomarzanki poprawiają jej samopoczucie.

- Nie wywiniesz się tak łatwo - uprzedził ją. - Oboje wiemy, że nasz ślub jest najlepszym rozwiązaniem dla Marley.

Sadie zapatrzyła się w dal.

- Tak... - Ciężko westchnęła. - To najlepsze rozwiązanie dla Marley. Wszyscy to potwierdzają.

Nie spodobało mu się, jak zabrzmiały jej słowa... a może ra-

czej spodobały mu się bardziej, niż powinny, gdy Sadie wydawała się niemal rozczarowana.

- Tak na marginesie, przy odrobinie szczęścia, a szczęście zwykle mi dopisuje, panie Henderson znajdą się na pokładzie najbliższego statku do Wirginii, chętne, by opowiadać wszem wobec, jakie były zachwycone, mogąc poznać przyszłą lady Rigby, drogą i cenioną przyjaciółkę wszystkich Hendersonów bez wyjątku.

Sadie wyprostowała się i popatrzyła na niego.

- Słyszałeś o wszystkich Hendersonach? - zapytała.

- Na przykład o Sissy Winkle i jej rozkręconym zadku? - Uśmiechnął się. - Tak, znam całą tę historię w wersji opowiedzianej Rigby'emu. Wiem o pastorze, sędzim, bankierze i tak dalej. Zapewne niewielu miałoby śmiałość nadebrać Hendersonom na odcisk, prawda? Jeśli z otwartymi ramionami powitają Clarice, a jestem przekonany, że rodzina Thei uczyni to samo, wówczas Clarice na pewno zechce odwiedzić bliskich bez obawy, że narazi Rigby'ego na porozumiewawcze spojrzenia i kąśliwe szeptki. Co więcej, Martha jest ponad miarę zaszczyczona, mogąc być gospodynią powitalnego balu dla sir Jeremiasza i lady Rigby.

- To wszystko prawda? - upewniła się Sadie, nie kryjąc niedowierzania. - Wielkie nieba, Darby, coś ty im zaoferował? Swoją wiejską posiadłość?

- Nie aż tyle, niemniej całkiem sporo. Nie będziesz próbowała mi wyperswadować mojego pomysłu?

- Nie, obiecuję - zapewniła go. - Ale muszę wiedzieć.

Darby błyskawicznie podjął jedną z najważniejszych decyzji w życiu.

- Jak wspomniałaś, bogaci nigdy nie uważają, że są wystarczająco bogaci. Czy pamiętasz, co jeszcze powiedziałem na ten temat? - zapytał.

- Tak sędzę. Frustracja ludzi zamożnych wynika z tego, że mimo swojego majątku nie mogą zdobyć czegoś, co ma ktoś inny. Darby, czy masz coś takiego, czego Hendersonowie nigdy nie będą mieli?

- Przede wszystkim ciebie - zażartował i zaśmiał się, gdy

przewróciła oczami. – Nie pochlebia ci mój komplement?

– Niespecjalnie, gdyż unikasz odpowiedzi.

Tylko trzech jego najbliżsi przyjaciele mieli odwagę przemawiać do niego tak otwarcie. Sadie nie bawiła się w gierki ani nie owijała w bawełnę i ogromnie mu się to podobało.

– No dobrze. Czy słyszałaś kiedykolwiek o Marengo?

Zmarszczyła brwi, zastanawiając się nad jego pytaniem.

– Czy to miejscowość?

– Owszem, tak, ale mam na myśli co innego. Chodzi mi o imię, które Napoleon nadał swojemu ulubionemu koniowi. Był to wspaniały siwy arab, niemal dorównujący sławą właścicielowi. Marengo służył cesarzowi od bitwy pod Austerlitz, podczas ucieczki Francuzów z Rosji, a także w trakcie przegranej bitwy pod Waterloo, kiedy to konia pojmano i przetransportowano do Anglii. Jak twierdził Napoleon, Marengo był i jest wart pięć tysięcy żołnierzy. Często musiał pokonywać galopem dystanse sięgające stu trzydziestu kilometrów, czego dokonywał w pięć godzin.

– Nieszczególnie znam się na koniach – wyznała Sadie. – To imponujące osiągnięcie?

– Niewiarygodnie imponujące. To zwierzę jest szybkie i wytrzymałe, a to rzadkie połączenie. Do tego zachwyca wyglądem. Jak głosi legenda, Marengo był ośmiokrotnie raniony z Napoleonem na grzbiecie i ani razu się nie zachwiał. Ten ogier, moja Sadie, ma serce i duszę. Rzecz oczywista, nowy właściciel przeznaczył go do rozplodu, wiedząc, że potomstwo będzie warte fortunę. Ponieważ Marengo jest już w podeszłym wieku, raczej nie nadaje się na reproduktora, niemniej zdążył się zaręczyć z kilkoma klaczami. Tak się składa, że mam w swoich stajniach jego potomka. Nie będę cię nużył opowieścią, w jaki sposób wszedłem w jego posiadanie. Wiedz tylko, że to przepiękny kary ogier, który ma przed sobą wiele lat owocnej działalności w stadninie.

– Przykro mi, ale nadal nie rozumiem.

– Panna Belinda Henderson ma obsesję na punkcie koni. Co ważniejsze, jej rodzice są właścicielami jednej z najważniejszych stadnin w Wirginii, jeśli nie w całym kraju. Jeden z ogie-

rów po Marengo, będący tam rozplodowcem, byłby cenny ponad wszelką miarę.

Sadie pokiwała głową.

- Ten koń to coś, czego żaden bogacz nie będzie miał, jeśli się na to nie zgodzisz. Nosisz się z zamiarem sprzedania ogiera.

- Nie, Sadie Grace. W zamian za współpracę, o której już wspomniałem, ale jeśli Belinda zechce, naturalnie, ofiaruję jej tego konia.

Zawiesił głos, przewidując reakcję Sadie.

- To jest... wyjątkowo hojny i wspaniałomyślny gest - powiedziała cicho. - Jestem z ciebie dumna, Darby. Bardzo dumna.

- Cieszę się, że wkradłem się w twoje łaski. Chyba nie zepsuje dobrego wrażenia, gdy wyjawię ci, że pięć moich najlepszych arabskich klaczy nosi już źrebięta rzonego ogiera. Spodziewam się, że wiosną będą brykać po łąkach mojej posiadłości. Liczę na co najmniej dwa siwki podobne do Marengo, a jeśli dopisze mi szczęście, urodzą się dwa ogiery, które po pewnym czasie zaczną przywozić mi puchary z Royal Ascot. Potem naturalnie same zostaną reproduktorami.

Sadie przyłożyła palce do ust, na próżno usiłując ukryć uśmiech, który niemal natychmiast przerodził się w głośny, niekontrolowany śmiech.

Darby jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak dobrze.

- Nigdy nie przegrywasz, prawda? - spytała, ocierając łzy, które spływały po jej policzkach nawet wtedy, gdy dwukółka zatrzymała się przed wejściem do posiadłości. - Odniosłeś poważną ranę, ale dowcipnie sprawiłeś, że opaska na oku stała się jednym z twoich atrybutów. Nie uchyliłeś się od spełnienia obietnicy, którą złożyłeś Johnowi, a przy tym z chęcią zaakceptowałeś obowiązki opiekuna. Dobrze się odnajdujesz w nowej roli. Wspaniałomyślnie oddałeś najlepszego ogiera, żeby pomóc przyjacielom, ale masz jeszcze mnóstwo koni, które z powodzeniem go zastąpią. Nigdy nie przegrywasz. Po prostu znajdujesz inne sposoby, żeby wygrać.

Darby praktycznie przestał uważać, kiedy padło słowo „atrybuty”. Potem już tylko siedział obok Sadie i patrzył w jej piękne oczy z nadzieją, że i tym razem uda mu się postawić na swoim,

gdyż wreszcie znalazł to, czego szukał przez całe życie.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Któregoś dnia do gabinetu Johna przyszedł Roscoe Thatcher z hufnalem wbitym w sam środek czoła. Pół godziny później wyszedł, już bez gwoździa, i spokojnie wrócił do kuźni, żeby dokończyć podkuwanie konia. Najwyraźniej nie wiedział, że z natury rzeczy powinien był umrzeć.

To był naprawdę dziwny dzień, ale nawet on nie mógł się równać z dniem, w którym Belinda Henderson przybyła do posiadłości Darby'ego, żeby obejrzeć czarnego ogiera.

Lunch minął w przyjemnej atmosferze, gdyż Darby wyrażał uprzejme zainteresowanie stadninami Hendersonów, uzyskując od panny Henderson długie i wyczerpujące odpowiedzi pełne opisów ziemi, pogody, budynków oraz koni. Po posiłku wszyscy udali się na długo oczekiwaną inspekcję.

Miłość panny Henderson do domu i do koni nie mogłaby bardziej rzucać się w oczy. Bez względu na to, co sądziła pani Henderson, nieporozumieniem i okrucieństwem było sprowadzenie tej dziewczyny zza oceanu w celu wydania za jakiegoś zubożającego arystokratę. A wszystko tylko po to, żeby Hendersonowie mogli poszczycić się jeszcze jednym osiągnięciem, w tym wypadku zdobyciem tytułu szlacheckiego. Belinda straciłaby sens życia, uwięziona pod angielskim niebem, skrępowana ograniczeniami angielskich wyższych sfer i zapewne dożyłotnio przez nie odrzucona, gdyż umiała rozmawiać wyłącznie o koniach i o tym, co z nimi związane.

Gdy przyprowadzono osiodłanego ogiera, Belinda aż przebie-rała nogami ze zniecierpliwienia. Na widok konia z wrażenia klasnęła w dłonie w rękawiczkach, i trudno było się dziwić tej reakcji. Wierzchowiec wyglądał po prostu idealnie. Sadie nigdy nie widziała równie pięknego zwierzęcia, o kruczoczarnej, lśniącej skórze i mięśniach, które subtelnie grały, gdy stapał lekkim krokiem, prowadzony przez stajennego.

Widząc duże i mądre oczy konia, Sadie doszła do wniosku, że wcale nie poczułaby się zdziwiona, gdyby dostojnie pochylił łeb w ukłonie, który byłby wyrazem jego szacunku dla gości.

- Wspaniały! - wyszeptała i westchnęła, a potem spojrzała na Darby'ego, który z dumą przyglądał się wierzchowcowi.

- Wygląd to nie wszystko, Sadie Grace - oznajmił. - Teraz przejdziemy do konkretów. Uważaj.

Panna Belinda Henderson zrzuciła pelerynę, wymieniła białe rękawiczki na czarne, z dziwnie obcięzonymi palcami, po czym po-deszła do konia i okrążyła go dwukrotnie.

- Poprowadź go prosto - rozkazała stajennemu. - Zatocz koło. Dobrze, a teraz sprawdzimy, co takiego potrafi.

Darby skinął głową, na co stajenny dosiadł konia i wyjechał na trawiastą łąkę.

- Stępa! - krzyknęła Belinda. - Kłus! Galop! Z życiem!

- Jak ma na imię? - zapytała Sadie.

- Mniemam, że nie masz na myśli stajennego. Marrakesz.

Słyszając nutę żalu w głosie Darby'ego, Sadie wzięła go za rękę.

- Może nie przypadnie jej do gustu - powiedziała cicho.

- Musiałaby być skończoną idiotką. Marrakesz popisuje się przed nią, ale do końca lustracji jeszcze daleko.

Gdy koń ponownie znalazł się na podwórzu przed stajnią, Belinda bez słowa komentarza kazała jednemu stajennemu przytrzymać uzdę, a drugiemu stanąć przy siodle. Dopiero tak asekurowana, przystąpiła do znacznie bliższej inspekcji zwierzęcia.

Przesuwała dłońmi po jego grzbiecie, wzdłuż, wszerz, z góry na dół i z dołu do góry, przy czym momentami jej dotyk stawał się bardzo osobisty. Jednocześnie Belinda wydawała z siebie bliżej nieokreślone pomruki, które trudno było jednoznacznie zinterpretować. Nawet Darby wydawał się coraz bardziej przejęty.

- Trudno powiedzieć, co jej chodzi po głowie, prawda? - westchnęła Sadie.

- Zapomniała o naszej obecności - wyjaśnił półgłosem. - Wiem, że Marrakesz to okaz zdrowia. Oby tylko ona wiedziała, co robi. Wielkie nieba, chyba nie zamierza... Sadie, odsuń się, dobrze ci radzę.

Sadie skierowała wzrok na konia, zaskoczona reakcją Darby'ego, i ujrzała, że panna Belinda Henderson z Fairfax w Wirginii przejeżdża dłonią po podbrzuszu ogiera i wsuwa mu ją między tylne nogi.

- Księga Ezechiela 23,20, mamó. Jest, jak należy - oświadczyła Belinda z ziemi, na której wylądowała sromotnie na zadku, kiedy Marrakesz w ramach protestu stanął dęba, wyrwał się stajennym i umknął na łąkę.

- Cytuje Stary Testament? - spytała zbulwersowana Sadie.

Darby ze śmiechem pokiwał głową.

- W istocie - potwierdził. - Nie wdając się w detale, moja droga siostró medyka, panna Henderson właśnie poinformowała swoją mamę, że Marrakesz jest obdarzony, jak na ogiera przystało.

- Ej, chłopcze, przynieś no mi jakiś kijek - zażądała Belinda. - Muszę pogmerać w tym łąjnie i upewnić się, że jakichś robaków tam nie ma. Jak się coś robi, to trzeba to robić, jak należy, hm?

W tym momencie Sadie uznała, że wszystko ma swoje granice. Odwróciła się na pięcie, pomaszerowała z powrotem do domu, po czym zażądała w kuchni gorącej wody oraz mydła do mycia rąk, jakby sama brała udział w inspekcji.

Pani Camford wkrótce znalazła Sadie i zaprosiła ją do swojego przytulnego saloniku na herbatę i ciasteczka.

- Na pewno chętnie się tutaj ukryjesz, moja droga - powiedziała i mrugnęła porozumiewawczo. - Podglądałam przez okno na piętrze i choć niewiele udało mi się dostrzec, mogę poświadczyc, że to godne ubolewania. Opowiedz mi o wszystkim, moja droga.

- Pani Camford, już sobie poszli - powiedziała godzinę później pomywaczka, zajrzawszy do pokoju.

- Dziękuję ci, Camy - odparła wówczas Sadie i w towarzystwie gospodyni przeszła do głównego salonu, gdzie teraz siedziała w oczekiwaniu na Darby'ego.

Miała nadzieję, że nie będzie oczekiwał przeprosin za to, że go porzuciła, gdyż ani myślała go przeproszać.

Nie sądziła, że tego dziwnego dnia zyska kolejną przyjaciółkę,

tym razem w osobie gospodyni. Dowiedziała się, że jego lordowska mość ceni sobie pieczone ziemniaki z wołowiną, nie przepada za rzepą i nie ma preferencji odnośnie do innych warzyw, jeśli nie liczyć buraków, których nienawidzi. Jego nietypowo silna reakcja wynikała stąd, że nigdy nie udawało mu się zjeść ich porcji bez opryskiwania ularu intensywnie czerwonymi kropelkami.

Gdy Darby wszedł do salonu, Sadie powitała go nieco niemądrym uśmiechem, nie mogąc opędzić się od wizji nieskazitelnego arystokraty, wręcz ideału człowieka, który poległ w starciu z prostym burakiem ćwikłowym.

- Camy powiedziała mi, że cię tutaj znajdę - wyjaśnił. - Przeprosiłem damy, którym i tak było wszystko jedno, bo zbierały manatki. Teraz są już w drodze do Londynu. Jutro wyekspedujemy Marrakesza do portu, skąd popłynie do Wirginii, gdyż wszystko już ustaliłem zawczasu, przed wyjazdem na wieś. Clarice nic nie grozi, bowiem dodatkowo przygotowałem akt sprzedaży, który z treści bardziej przypomina umowę obarczoną zastrzeżeniem, że Hendersonowie będą zobligowani do zwrócenia mi Marrakesza oraz wszystkich jego ewentualnych potomków wraz z nawiązką w postaci dwudziestu tysięcy funtów szterlingów, jeżeli nie dotrzymają warunków porozumienia.

- I pani Henderson podpisała ten dokument? - zdziwiła się Sadie.

- Nieoceniona Belinda zapewne sięgnęłaby po pistolet, gdyby jej mamusia ośmieliła się zakwestionować choć jeden z warunków. Tak czy siak, po powrocie do Wirginii Clarice spotka się z powitaniem godnym koronowanej głowy, czego jestem praktycznie pewien po tym, jak bliżej poznałem panie Henderson. Zanim wyrazisz powątpiewanie, pamiętaj, że świadkami złożenia podpisów byli mój zarządca i londyński prawnik. A teraz wybac, gdyż muszę się zająć czymś palącym, czyli moim gardłem. Muszę się czegoś napić - wyjaśnił, po czym podszedł do stolika z kryształowymi karafkami i nalał sobie kieliszek wina.

Wypiwszy trunek duszkiem, uśmiechnął się do Sadie. Wydawał się odprężony.

- Cóż to, gdzie gratulacje i wiwaty? - spytał przekornie.

- Z jednym oraz drugim wolę zaczekać - mruknęła. - Jak na razie mam pytanie. Jak ci się udało to wszystko osiągnąć w niepełną dobę?

- Jestem niesamowity, czyż nie? Prawda jest taka, że dzięki tytułowi i garści monet można osiągnąć prawie wszystko - wyjaśnił z zadowoleniem.

Sadie miała nadzieję, że się nie mylił. Naprawdę na to liczyła i wiedziała, że John do ostatniego tchnienia wierzył w Darby'ego.

Słyszając stukot kroków na korytarzu i mając świadomość czujnie nadstawionych uszu służby, wstała z peleryną w rękach.

- Czy moglibyśmy się wybrać na spacer? - zapytała.

Darby pośpiesznie pomógł jej narzucić pelerynę na ramiona.

- Będę zaszczycony, mogąc oprowadzić cię po posiadłości - oznajmił. - I obiecuję, że ominiemy stajnie.

- Nie w tym rzecz, że nie lubię koni - podkreśliła. - Co prawda nigdy nie jeździłam wierzchem, ale uważam, że są pięknymi zwierzętami. Po prostu chyba nie mogłabym stanąć oko w oko z Marrakeszem. Biedak z pewnością umiera z zażenowania.

- Jestem przekonany, że doceni twoje szlachetne intencje! - Roześmiał się Darby.

Minęli hol przy wejściu, w którym doszło do ich pierwszego, dość niezręcznego spotkania, i wyszli na podjazd.

- Powiniennem zlecić postawienie portyku, zgadza się? - spytał, gdy skręcili w lewo i przeszli na gustownie wybrukowaną ścieżkę.

- Zachowałam się nieuprzejmie.

- Byłaś poirytowana, bo zmokłaś - odparł. - Szczerze mówiąc, już rozmawiałem z pewnym londyńskim architektem i wkrótce sporządzi on dla mnie plany konstrukcji, która będzie pasowała stylem do reszty budynku. To ważne, sama się przekonasz, kiedy zobaczysz, jak eklektyczne są dodatki w Nailbourne Manor. Właściwie od lat tam nie byłem, ale zgodnie z tradycją weźmiemy ślub w tamtejszej kaplicy, którą ufundowała nasza rodzina. Pilnują jej maszkarony. To znaczy, kaplicy, nie rodziny.

- Chyba jest... urocza.

- Urocza to ostatnie słowo, którym bym opisał tę upiorną ru-

derę. Przyjdzie czas, kiedy również o niej porozmawiam z architektem. Dotąd nie zastanawiałem się nad wprowadzeniem przeróbek i tylko próbowałem nie zwracać uwagi na brzydotę budynku, ale Marley nie musi być narażona na oglądanie kosztownych maszkaronów i innych podobnych okropieństw. Obawiam się, Sadie, że czeka cię sporo pracy, kiedy dotrzemy na miejsce. Może już teraz warto byłoby sporządzić listę rzeczy do zrobienia i przerobienia?

- Pierwszym punktem powinno być usunięcie maszkaronów, tak? - domyśliła się. - Nie chciałabym uczestniczyć w niszczeniu zabytków, ale uważam, że maszkarony można usunąć z inwentarza istotnych, hm, ozdób.

- Wierz mi, rzecz nie ogranicza się do maszkaronów. Są tam jeszcze smoki oraz chochliki z ohydnie wybałuszonymi ślepiami. Wyobraź sobie, że ponadawałem maszkaronom imiona, kiedy umierałem z nudów, godzinami wysłuchując monotonnego głosu pastora, który na okrągło straszył wszystkich ogniem piekielnym za grzechy, wyraźnie zadowolony, że mój ojciec z zapalem kiwa głową. Wiesz, po namyśle dochodzę do wniosku, że powinniśmy zerwać z tradycją i wziąć ślub tutaj.

- Jak sobie życzysz - zgodziła się Sadie nerwowo.

Zastanawiała się, czy Darby papla, żeby ją odprężyć, czy też raczej opowiada o sobie, aby zachęcić ją do zwierzeń. Po chwili doszła do wniosku, że raczej próbuje ciągnąć ją za język, gdyż nie pierwszy raz wspominał o swoim dalekim od beztroskiego dzieciństwie.

Wkrótce znaleźli się przy ogrodach, sąsiadujących z wielkim budynkiem. Sadie dostrzegła w oddali skrzący się w słońcu strumień oraz urokliwą, białą altankę blisko jego brzegu.

- To cel naszej wędrowki, jak mniemam?

- Dobry jak każdy inny, nieprawdaż? Urocze otoczenie, a podglądać nas i podsłuchiwać mogą tylko ptaki. A może zmieniłaś zdanie i wolałabyś kontynuować przechadzkę? O tej porze roku ogród nie prezentuje się najdoskonalej, ale zapewne znajdziemy jeszcze kilka w miarę świeżych róż do zerwania.

- Nie, i tak zbyt długo zwlekałam. A poza tym obietnica jest obietnicą. Wyciągnęłam wnioski z lekcji, którą boleśnie utrwała

sobie teraz Clarice. Odwlekanie tego, co nieuchronne, i udawanie, że nic złego nigdy się nie zdarzy, to prosta droga do katastrofy.

Przytrzymał ją za ramię, kiedy z uniesioną suknią wspinała się po schodkach do ośmiokątnej altanki, w której zobaczyła gustowny szezlong i niski stolik ze srebrną zastawą, filiżankami i talerzykiem ciasteczek.

- Nie brakuje ci pewności siebie, hm? - mruknęła, sadowiając się na jednej z ławeczek pod ścianą.

- Nie da się ukryć - przyznał. - Herbaty?

- Nie, dziękuję. Od czego mam zacząć?

Usiadł na skraju szezlonga i oparł łokcie na kolanach.

- Nie znam twojej historii, Sadie Grace - odparł. - Zaczni od tego, od czego będzie ci najłatwiej zacząć.

Sadie uśmiechnęła się blado.

- Gdybym zastosowała się do twojej rady, w ogóle bym nie zaczęła.

- Nigdy w życiu nie było ci łatwo?

Złączyła dłonie, przez chwilę zastanawiając się nad pytaniem. Naturalnie, w pewnym momencie życia była beztroska, wręcz szczęśliwa. Nawet w niejednym momencie. Dopiero teraz jednak dotarło do niej, że mogłaby wyliczyć te chwile na palcach jednej ręki.

- Dziewczynka ma wypełniać obowiązki i okazywać posłuszeństwo... - westchnęła. - Przynajmniej tak to wyglądało w rodzinie Hamiltonów. Beztroska? Swoboda? Nie mogliśmy na to liczyć, ani John, ani ja. Coś musiało nas wyróżniać na tle sąsiadów, więc niezdrowo ambitny ojciec nie pozwalał nam z nikim rozmawiać, żebyśmy nie popsuli sobie dykcji.

- Nie mieliście przyjaciół? Przepraszam, nieustannie ci przerywam.

- Nie szkodzi. Nie, nie mieliśmy przyjaciół. Nasza matka zwracała się do ojca „proszę pana”, i my również. Trzeba uczciwie przyznać, że nigdy nie brakowało nam niczego, a rodzice robili dla nas wszystko to, co uważali za najlepsze.

- Innymi słowy, twoje dzieciństwo upłynęło pod znakiem piekielnej nudy, zgadza się? - zapytał.

- To trafne podsumowanie - przyznała z uśmiechem. - Nieustannie walczyłam z chęcią złamania choć jednej zasady. Wstyd przyznać, ale nigdy się na to nie zdobyłam.

Darby zachichotał.

- Przepraszam, ale właśnie sobie wyobraziłem, jakie myśli musiały cię ogarnąć na widok Vivien i całej reszty - powiedział. - Z pewnością uznałaś, że to jacyś szaleńcy, nie wyłączając mnie.

- Ależ skąd - zaprzeczyła pośpiesznie. - Przyznaję, doświadczyłam pewnego wstrząsu, kiedy mnie z nimi zapoznawałeś, ale Marley i ja poczułyśmy się jak w bajkowym świecie. Chyba nigdy nie byłam tak szczęśliwa i nawet sobie nie wyobrażałam, że gdzieś na świecie istnieją tak egzotyczne istoty. To wspaniali ludzie. Możesz uważać, że liczy się dom w mieście, suknie, sam fakt zamieszkania w stolicy. To nie tak. Najważniejsi są oni, ludzie, którzy nas zaakceptowali i okazali nam serce. Teraz żyję w strachu, że to szczęście nagle przeminie, zgaśnie niczym świeczka na wietrze.

Nie chciała mówić aż tak szczerze, ale miała tak dużo do stracenia, a w dodatku coraz bardziej jej zależało na tym irytującym mężczyźnie, który wpatrywał się w nią z uśmiechem zachwytu, jakby formułowała najcudowniejsze, wiekopomne myśli.

Szybko powróciła do rzeczywistości. Wiedziała, że nadszedł czas.

- Już wiem, od czego zacząć - oznajmiła. - Niech początkiem będzie dzień powrotu Johna z wojny. Długimi miesiącami leżał w szpitalu w Calais, aż w końcu lekarze uznali, że jest dostatecznie silny, by poradzić sobie z trudami przeprawy przez kanał La Manche. Zobaczyliśmy go pod koniec października ubiegłego roku.

Zamknęła oczy i wzdrygnęła się na wspomnienie brata, którego wojna przemieniła w przygarbionego, zmęczonego życiem starca, niezdolnego do poruszania się bez laski.

- Sądziłam, że sytuacja się poprawi, jeśli otoczę go opieką, że dojdzie do siebie po kilku miesiącach spokoju i dobrego odżywiania - ciągnęła. - Nie odzyskał jednak dawnej sprawności, choć starałam się, jak mogłam. Myślał trzeźwo, ale to na mnie

spoczął obowiązek prowadzenia gabinetu. Gdybym nie zastępowała Johna, musielibyśmy opuścić dom. Siedział zatem na wózku inwalidzkim i mówił, co mam robić, jak pomagać pacjentom. Wyglądało na to, że ponownie kieruje gabinetem.

Darby usiadł obok Sadie i wziął ją za rękę.

- Z pewnością dawałaś z siebie wszystko - powiedział ze zrozumieniem w głosie.

- Chciałam, żebyśmy wszyscy wrócili na północ, do Huyton, i zamieszkali w domku, który pozostawili nam rodzice. Rzec w tym, że oddałam go w dzierżawę kościołowi, kiedy umarła matka Marley, Susan, a John wezwał mnie do Dibden. Ponadto obawiałam się, że John nie wytrzyma wyczerpującej podróży... No dobrze, powiem wprost. Tak naprawdę chodziło o to, że John i tak nie zgodziłby się na wyjazd, co wkrótce zrozumiesz.

- Wszystko w swoim czasie, Sadie Grace. Nigdzie się nie wybieram i nic tego nie zmieni.

- Współczujesz mi - zauważyła ze smutnym uśmiechem. - Ale tylko dlatego, że jeszcze nie wysłuchałaś reszty.

Oswobodziła rękę i wstała.

- Pozostań na miejscu, proszę - zwróciła się do Darby'ego.

Opowiadając, nie mogła patrzeć mu w oczy ani też siedzieć spokojnie.

- Skwar minionego lata sprawił, że John słabł w oczach. Nic nie mówił, nie skarżył się i nie okazywał, jak bardzo cierpi, ale i tak to widziałam. Prawie nic nie jadł, coraz bardziej przypominał szkielet, a przecież był wysokim, silnym mężczyzną. Uciekał w modlitwę. - Westchnęła ciężko. - Modlił się od rana do wieczora, czytał kazania, nie rozstawał się z Biblią. Niejednokrotnie modliłam się nocami, by umarł, gdyż tylko śmierć mogła go uwolnić od cierpienia. Aż wreszcie, pewnego dnia... odszedł na zawsze.

- To nie twoje modlitwy go zabiły, Sadie. On powoli umierał, odkąd został ranny w obozie. Nie powinnaś obarczać się winą za jego śmierć.

Skierowała na niego spojrzenie.

- Wiem o tym, ale ci dziękuję. W ubiegłym miesiącu uwierzyłam, że jest z nim trochę lepiej. Nie było mowy o tym, by odzy-

skiwał zdrowie, ale nieco zyskał na wadze. Zauważyłam różnicę na jego twarzy. Zaczął unikać znienawidzonego wózka inwalidzkiego, do tego kilka razy zabrał Marley na krótkie spacerki. Przeszło mi przez myśl, że te modlitwy mogły jednak pomóc.

- Tak, w połączeniu z dobrym odżywianiem i jeszcze lepszą opieką.

Sadie nie sądziła, że będzie jej tak ciężko.

- Bez względu na to, co przyczyniło się do poprawy, odzyskałam nadzieję. Potem jednak, całkiem niespodziewanie, John ponownie musiał się położyć. Powiedział mi, że ból jest nie do zniesienia. To ja przynosiłam mu laudanum... John był zbyt słaby, żeby samodzielnie opuścić łóżko. Błagał mnie o coraz większe dawki, coraz częstsze. Oczekiwał ode mnie posłuszeństwa w dzień i w nocy. Doszłam do wniosku, że z powodu cierpienia stał się... niemły. Nigdy wcześniej nie traktował mnie tak obcesowo, nie podnosił głosu ani przy Marley, ani przy nikim innym. Był dobrym, miłym człowiekiem. Sam o tym wiesz, Darby. Wciąż jednak powtarzał mi, że musi umrzeć, musi umrzeć teraz. Bałam się o niego, o Marley, a także o własne zdrowie umysłowe, gdyż już nie mogłam mu pomóc. Liczyło się tylko laudanum. Patrzyłam, jak John cierpi, odwracałam się od niego, gdy wyzywał mnie od głupich i twierdził, że go nie Kocham, bo gdyby było inaczej, robiłabym to, o co prosi. Nie spałam przez trzy doby, coraz bardziej traciłam nadzieję...

- Sadie, wystarczy. Rozumiem.

- Nie, muszę to z siebie wyrzucić - upierała się. - Ostatniej nocy dałam mu to, czego żądał. Nalałam laudanum prosto do szklanki, nie rozcieńczając go wodą, choć mnie tego uczył. Uniosłam mu głowę, przyłożyłam szklanekę do ust, a on wypił. Czulałam się tak, jakby ktoś zajął moje miejsce, jakbym obserwowała siebie z oddali, przez sen. Pocałowałam Johna w czoło, choć nigdy, przenigdy tego nie zrobiłam, a potem siedziałam w mojej małej sypialni, w mroku i cudownej ciszy, której od wielu dni i nocy nie miałam okazji zaznać. Dopiero o świcie poszłam sprawdzić, co u Johna.

Otarła oczy i spojrzała na Darby'ego.

- To był twój przyjaciel, a mój brat. Ojciec Marley. Wiedzia-

łam, co się stanie, ale i tak to zrobiłam. Wiedziałam, a i tak to zrobiłam – powtórzyła. – Zabiłam go.

– Skąd, do licha, wcale nie. Wykazałaś się wielką odwagą. Spełniłaś jego ostatnie życzenie, uwolniłaś go od bólu, zapewniłaś mu spokój. – Przytulił ją mocno.

Sadie zamarła w jego objęciach. Najchętniej przemilczałaby resztę, ale to było niemożliwe. Musiał znać całą prawdę, nawet za cenę skalania wspomnień o Johnie. Jego tajemnica też musiała ujrzeć światło dzienne.

Odsunęła się od Darby’ego.

– Powiedziałaś ci to, co moim zdaniem się zdarzyło. Nie wiedziałam, nie uświadamiałam sobie... Powinnam była coś przeczuć. John nabierał sił. Dlaczego to się tak szybko zmieniło? Dlaczego po tak długiej walce nagle desperacko zapragnął śmierci? Czego nie dostrzegłam?

– Więc teraz uważasz, że powinnaś była wcielić się w rolę Boga? – spytał Darby surowo. – Wszystkowidzącego i wszechwiedzącego Boga? Ludzie nie są nieomylni, lecz ty nie popełniłaś błędu, pomagając Johnowi odnaleźć spokój.

Sadie poczuła, jak ogarnia ją ten sam gniew, który czuła po śmierci Johna, tę samą urazę. Mógł przecież poprosić ją o pomoc, mógł jej zaufać, a tymczasem zrobił z siebie męczennika, a z niej morderczynię.

– Nie rozumiesz. Okłamał mnie! Skłonił mnie do zrobienia czegoś, na co sam nie potrafił się zdobyć. Zostawił mnie, żebym sama sobie ze wszystkim radziła. Nigdy mu tego nie wybaczę. Nie zaufał mi, a przecież mogłam mu pomóc. Wspólnie znaleźlibyśmy inne rozwiązanie, na pewno lepsze od tego, które sam wybrał.

– Dobry Boże. Sadie, co chcesz powiedzieć?

Otarła łzy drżącą ręką, po czym sięgnęła do kieszeni peleryny i wręczyła mu list.

– O świcie, gdy w pokoju pojaśniało, zauważyłam to pismo, wsunięte pod moje drzwi. Przyniósł je człowiek, który nie mógł chodzić, któremu brakowało sił choćby na to, by przystawić do ust łyżkę. Znalazłam go bezwładnie siedzącego na wózku inwalidzkim. Narkotyk zapewne unieruchomił go wcześniej, niż na-

leżało się spodziewać. John nie zdążył wrócić do łóżka. Przeczytaj, co napisał.

Darby wziął do ręki złożoną kartkę.

- Jesteś pewna? - zapytał.

Sadie unikała jego wzroku.

- Tak, ale tylko dlatego, że musisz wiedzieć - odparła. - Przez wzgląd na Marley.

Odwróciła się plecami do Darby'ego, gdy czytał list.

A zatem umarłem. Wreszcie udało mi się przekonać Cię do zrobienia czegoś, na co sam nie potrafiłem się zdobyć. Bez tego nigdy nie dołączyłbym do Susan w Niebie. Jej rodzice w końcu nas znaleźli. Nie mogę uciekać, a Marley musi być bezpieczna. Nie pomożesz jej, a próbując, postąpiłabyś nieroztropnie. Zawsze dziecko do lorda Nailbourne, niech weźmie je pod opiekę. Dotrzyma słowa. Nawet Dobsonowie nie mają takiej mocy, aby go pokonać. Pochowaj mnie przy Susan i opuść to miejsce. Nikomu nie mów, że wyjeżdżacie. Nikt nie może wiedzieć, gdzie Was szukać.

- Do listu dołączona była lista twoich posiadłości. - Ponownie odwróciła się do Darby'ego, chcąc zobaczyć jego wyraz twarzy. Nie wydawał się zadowolony. Zastanawiała się, przeciwko komu zamierzał skierować swój gniew. - Dawno temu powiedział mi o twojej obietnicy - dodała.

- Uważasz, że wmanewrował cię w podanie mu zabójczej dawki laudanum. Musiałaś się nim zajmować w tych ostatnich dniach. Czy i to było częścią jakiegoś szaleńczego planu?

- Czytałeś list. W szufladzie stolika przy jego łóżku znalazłam też list od adwokata domagającego się zwrócenia Marley jej dziadkowi, Samowi Dobsonowi. Pismo dotarło tydzień wcześniej, a przeczytawszy je, zrozumiałam, że wszystko jest jasne jak słońce.

- Chyba jednak nie do końca. Dlaczego w liście nie ma ani jednego słowa podziękowania? John nie poprosił cię też o wybaczenie za to, jak tobą manipulował. Moim zdaniem w ogóle go nie obchodził twój los po tym, jak przekażesz mi Marley.

Sadie ponownie poczuła się tak jak wtedy, gdy po raz pierwszy przeczytała list. Miała wrażenie, że John ją wykorzystał i pozbył się jej... a mimo to dręczyło ją poczucie winy.

- Wiem, zwróciłam na to uwagę i miałam mnóstwo czasu na rozmyślanie - przyznała.

- Do diabła, Sadie Grace, spójrz na mnie. - Darby pomachał listem. - Nie takiego Johna znaleźliśmy. To, co zrobił, co napisał i co przemilczał, jest nieistotne. Rozumiesz, Sadie? To nie ma żadnego znaczenia.

Ze złością zgniótł papier w kulkę i cisnął ją w trawę.

- Jego słowa odeszły do przeszłości - podkreślił. - Nie zmienimy jej, ale możemy nabrać do niej dystansu. To nie ty potrzebujesz wybaczenia, lecz John, i tylko ty możesz mu je dać. To nie nastąpi z dnia na dzień, rzecz jasna, niemniej kiedyś będziesz pamiętała go takim, jaki był dawniej, i przestaniesz go oceniać przez pryzmat tego przekłętogo listu.

- Tak uważasz? - zapytała z powątpiewaniem. - Jak na razie trudno mi w to uwierzyć.

- Wiem - powiedział szczerze.

Spojrzała w jego pełne troski oraz życzliwości oczy i nagle uświadomiła sobie, że znika poczucie winy, które dźwigała na swoich barkach od śmierci Johna. Powinna była zwierzyć się Darby'emu znacznie wcześniej, już pierwszego dnia, a tymczasem tylko skomplikowała sytuację, wymyślając absurdalną panią Boxer. Podał w wątpliwość jej tożsamość, nie wierzył też, że Marley to naprawdę córka Johna. Miał prawo nie wierzyć, gdyż okoliczności były co najmniej podejrzane.

Sadie nagle poczuła, jak paniczny strach chwyta ją za gardło. Kłamstwa, przemilczane fakty... Odkąd zdradził ją brat, nie potrafiła już nikomu zaufać, przez co jej fatalna sytuacja stała się jeszcze gorsza.

Mimo to czuła się akceptowana. Wszyscy polubili Marley, a Darby wielokrotnie dał dowody na to, że jest dobrym i godnym zaufania człowiekiem.

- Darby, zapewniam cię, pojęłam swój błąd. Nigdy więcej nie skłamię. - Uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Chyba że księżna spyta mnie, co sędzę o którejś z jej nowych sukni.

- Brawo. Od każdej reguły są wyjątki. - Wyciągnął do niej rękę. - Nie zawiniłaś pod żadnym względem. Musisz w to uwierzyć. Wszystko się ułoży i zareczam ci: Marley jest bezpieczna. A teraz chodź tutaj.

Nie zamierzała protestować, potrzebowała jego bliskości. Bez zawahania rzuciła się w objęcia Darby'ego, szukając w nich ukojenia.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Siedzieli obok siebie, oboje zatopieni w myślach, aż Sadie wzięła się w garść i sięgnęła po herbatę.

- Wystygła, prawda? - spytał Darby.

- Może być taka, jaka jest - odparła Sadie, wypiwszy dwa łyki.

- Kłamczucha - powiedział żartobliwie, gdy odstawiała filiżankę. - Chyba już ustaliliśmy, że nie jesteś mistrzynią kłamania.

Gdy się uśmiechała, zwrócił uwagę, że jej oczy są lekko zaczerwienione od łez.

- Uznałam, że istnieje różnica między kłamstwem i niewinnym, grzecznościowym kłamstwem. Mówiąc o herbacie, starałam się być uprzejma.

- Im więcej czasu spędzisz w wyższych sferach, tym lepiej będziesz sobie radziła. Najpierw jednak muszę cię ostrzec, że na salonach zaobserwujesz wiele odcieni kłamstw.

- Nie sądzę, by moje niedawne zobowiązanie do prawdomówności pozwalało mi zgłębiać to zagadnienie, ale chyba mogę spytać, ile jest rodzajów kłamstw?

- Dwa, jak sądzę, choć w ramach każdej z tych kategorii istnieje wiele poziomów zróżnicowania - odrzekł Darby. - Grzecznościowe kłamstwo to pierwsza kategoria. Vivien, prezentujesz się nadzwyczajnie w tej wyjątkowej sukni. Lordzie Havistock, to był świetny interes kupić tak wspaniałe zwierzę za marne dwa tysiące funtów. Nonsens, panno Melbourne, to nie była moja stopa. Porusza się pani po parkiecie z lekkością piórka.

Sadie uśmiechnęła się, wsuwając do kieszeni peleryny chusteczkę, którą wręczył jej Darby.

- Poprawiłeś mi samopoczucie, za co dziękuję - powiedziała. - Nie ma sensu mówić prawdy, kiedy nie służy ona dobremu celowi i może przynieść wyłącznie smutek. Tak, właśnie o to mi chodziło. A teraz zechciej opowiedzieć mi o drugiej kategorii kłam-

stwa.

Darby musiał przyznać sam przed sobą, że i on czuje się lepiej niż jeszcze przed paroma minutami.

- Cóż, mówiąc ci to, wyjawiam prawdę o sobie, ale niech i tak będzie. Drugi typ kłamstwa, do którego uciekają się wyższe sfery, ma na celu utarcie nosa nazbyt pewnym siebie pyszałkom: Twoje arcymistrzowskie umiejętności karciane zrobiły na mnie takie wrażenie, że niestety, straciłem rachubę atutów. W większości wypadków chodzi jednak o przygaszenie aspiracji: Mój dobry człowieku, nie wątpię, że jesteś zachwycony moim widowiskiem, ale z prawdziwą przykrością śpieszę wyznać, że kompletnie zapomniałem, jak się nazywasz.

- Zapadłabym się pod ziemię, gdyby ktoś zwrócił się do mnie w taki sposób. Czy zdarzyło ci się tak traktować ludzi?

- W obu kategoriach, przyznaję, choć z polotem i rozmachem. Niegodziwiec ze mnie, Sadie Grace, aż wstyd. Niestety nie noszę już binokli, jakże skutecznie wzmacniających efekt w takich sytuacjach. Jak mniemam, opaska jest niemal równie onieśmialająca.

- Jesteś niemożliwy. - Sadie ponownie uraczyła się herbatą, wykrzywiła usta i odstawiła filiżankę. - To naprawdę okropność. Jak uważasz, czy moglibyśmy wylać ten płyn na ziemię, by Camy uznała, że wypiliśmy wszystko?

- Camy? Tak się do niej zwracasz? Jak ci się to udało osiągnąć w tak krótkim czasie?

Sadie bawiła się serwetką.

- Nie zrobiłam niczego szczególnego. Do salonu przybiegł kuchcik z dużą drzazgą w dłoni, biedaczysko. Wyjęłam drzazgę, a w trakcie zabiegu śpiewałam mu, żeby go uspokoić. Na koniec pocałowałam go w dłoń na osłodę, tak jak całuję Marley, kiedy się skaleczy.

- Powinnaś była pomyśleć o tym przy okazji opatrywania Rigby'ego... To znaczy, mogłaś mu pośpiewać. Wiem skądinąd, że ceni sobie miłe dla ucha piosnki, ale przyznam, że zdębiałbym, widząc, jak całujesz go w kolano.

- Dobrze się czuję, kiedy jest ze mnie pożytek, o czym poinformowałam Camy - ciągnęła Sadie. - I tak w jednej chwili sta-

łam się panienką Sadie, a pani Camford jest teraz dla mnie Camy. Chyba nie masz nic przeciwko temu, że powiedziałam jej o tym, jak pomagałam Johnowi i odgrywałam rolę jego gospodyni?

- Ależ wręcz przeciwnie - zapewnił ją. - Śmiem twierdzić, że urosłem w oczach Camy, nie sprowadziwszy do domu bezmózgiej debutantki, która upierałaby się przy zatrudnieniu francuskiej kucharki i zarzucałaby służbę żądaniami, jednocześnie drenując moje kieszenie z pieniędzy.

- Nie miałabym pojęcia, czego oczekiwać od francuskiej kucharki, a jak już wiem, Camy i jej mąż doskonale nad wszystkim panują. Nawet przez myśl by mi nie przeszło, żeby cokolwiek zmieniać.

- Innymi słowy, w oczach Camy jesteś nieocenionym skarbem, zwłaszcza że sprowadziłaś ze sobą Marley.

- No właśnie, Marley - wpadła mu w słowo. - Chyba już nieco za długo unikamy tego tematu?

Darby wziął ją za rękę.

- Woląłem poczekać, aż będziesz gotowa - odparł.

- Wiem. Pewnie się domyśliłeś, że rodzice Susan nie pochwalili tego małżeństwa. Sam Dobson jest bogaty, ma mnóstwo kopalń węgla, a pani Dobson zamierzała dobrze wydać Susan za mąż za jakiegoś pomniejszego arystokratę, podobnie jak to planowała pani Henderson dla Belindy. To jedyny powód, dla którego nieco jej współczuję mimo tego, co zrobiła biednemu Mar-rakeszowi. Tak czy inaczej, wiejski doktor nie mógł zyskać aprobaty w oczach pani Dobson.

- Tak to już bywa z matkami, niestety. I cóż w tej sytuacji zrobił John? Zabrał Susan i uciekł z nią do Szkocji, by tam się z nią ożenić?

- Skąd wiedziałeś? - zdumiała się. - To chyba jedyna zasada, którą John złamał w całym swoim życiu. Rzecz w tym, że on i Susan byli w sobie naprawdę zakochani. Nie uświadamialiśmy sobie, co zaszło, dopóki w naszym domu nie pojawił się Sam Dobson i nie zażądał, żeby ojciec natychmiast oddał mu Susan, bo inaczej osobiście wybatoży Johna.

- Cóż za uroczy jegomość - mruknął Darby. - Co na to wasz

ojciec?

- Nie mógł nic powiedzieć, bowiem John się nam nie zwierzył. Pan Dobson zaproponował pieniądze, i to całkiem sporą sumę, jeśli wyjawimy, gdzie przebywa John. Nie wątpię, że ojciec przyjąłby pieniądze bez mrugnięcia okiem i przeniósł nas do Cambridge, gdzie niegdyś studiował. Potem już nigdy nie wolno mi było wypowiadać przy nim imienia brata.

- John już się z wami nie skontaktował?

- Dopiero po wielu latach - Sadie odparła smutnym głosem i westchnęła. - Ale to dobrze, ponieważ pan Dobson wielokrotnie nas nachodził, grożąc i stawiając żądania. Rodzice umarli w odstępie kilku miesięcy, podczas pewnej nader okropnej zimy, a gdy wiosną przyszedł do mnie list, siłą rzeczy żadne z nich nie mogło go przejąć.

- I cóż takiego napisał w nim John?

- Tylko tyle, że Susan umarła, a on zgodził się wstąpić do armii jako medyk. Mieli córkę, Marley, która właśnie skończyła trzy lata. Nie wolno mi było mówić o tym komukolwiek, a do tego musiałam jak najszybciej pośpieszyć do Dibden, żeby zająć się dzieckiem pod nieobecność Johna. Wyjechałam niezwłocznie i przez trzy miesiące pracowałam u jego boku, nim go powołano. Nauczyłam się, ile zdołałam, abyśmy do jego powrotu mogły pozostać w gabinecie. Od tamtego czasu minęły cztery lata i choć nie było łatwo, wspólnie dawaliśmy sobie radę. Szczerze powiedziawszy, nigdy nie poświęciłam Dobsonom ani jednej myśli.

- Ale oni nie zrezygnowali, prawda? - odgadł Darby.

- John świetnie wiedział, że tak będzie. W liście z kancelarii prawnej, tym który przede mną ukrył, znajdowała się informacja, że pan Samuel Dobson wie o śmierci córki i domaga się wydania wnuczki, jednocześnie obiecując, że zapewni jej wszelkie należne przywileje oraz miłość w dobrym domu.

- Zatem leżała mu na sercu pomyślność Marley, ale nie Johna.

- Nie, nie miał na względzie dobra Johna, choć zaproponował mu godziwą rekompensatę - oświadczyła Sadie. - Prawnik uważał, że takie rozwiązanie będzie jak najbardziej na rękę Johnowi, zważywszy na jego kiepski stan zdrowia. Gdyby jednak John

się nie zgodził, prawnik zamierzał podjąć inne działania. Chciał dowieść, że John nie jest zdolny do pełnienia obowiązków opiekuna Marley ani do zapewnienia jej takiego życia, na jakie zasłużyła wnuczka wielkiego Sama Dobsona. Całość listu miała dość groźny wydźwięk, niemniej został ubrany w słowa tak, jakby ta propozycja była wielką przysługą. Co oczywiste, John nie miał ani siły, ani pieniędzy na walkę z Dobsonem. Co do mnie zaś, to... skopiowałam ten napuszony, górnotny styl, pisząc list do ciebie.

- Ha! - wykrzyknął triumfalnie Darby. - Wiedziałem, że mam rację. Bystra z ciebie dziewczyna. John mniemał, że ma dwie możliwości do wyboru, gdyż jak już ustaliliśmy, nie wierzył, że zdołasz zająć się Marley sama, jednocześnie bez niczyjej pomocy walcząc z Dobsonami. Tak na marginesie, całkowicie się z nim zgadzam. Ludzie z pieniędzmi mają skłonność do deptania niezamożnych, a ty jako kobieta wydajesz się tym łatwiejszą do pokonania przeciwniczką. John mógł oddać dziecko dziadkom, których ewidentnie nie znosił, lub też dopilnować, abym dotrzymał obietnicy. Ostatecznie wybrał mnie i pozostało mu tylko spokojnie umrzeć. Do diaska, mógł wcześniej do mnie przyjść. Z pewnością wiedział, że nie odmówiłbym mu pomocy.

- Dzięki tobie pojęłam, że to już nie był ten John, którego znałam... Którego oboje znaleźliśmy - poprawiła się. - Wybrał ciebie, gdyż masz tytuł, a do tego więcej pieniędzy i władzy niż najbogatsi właściciele kopalń w całym Lancashire. Nie wiedziałam, czy w ogóle będziesz pamiętał o obietnicy, a nawet jeśli, czy ją uhonorujesz, no i przede wszystkim czy Marley trafi w dobre ręce. Mogłeś przecież być mężem kobiety, która nie zaakceptowałaby cudzego dziecka. Mogłeś też mieć własnych potomków albo być okropnym rozpustnikiem. Przykro mi, Darby, lecz musiałam wziąć to wszystko pod uwagę przed oddaniem ci Marley. Wiedziałam na pewno tylko to, że Dobsonowie nie mogą jej dostać. Nie po tym, jak próbowali wykorzystać Susan do zaspokojenia swoich ambicji.

Darby pokiwał głową.

- A zatem tak to teraz wygląda - mruknął.

- Właśnie tak. - Sadie wstała, sięgnęła po imbryk i wylała

zimną herbatę na ziemię. – Po upewnieniu się, że Marley będzie z tobą bezpieczna, miałam odejść. W liście od prawnika znalazłam cztery banknoty pięciofuntowe, przeznaczone na opłacenie podróży Marley. Sam Dobson był niesłychanie pewny siebie, nieprawdaż? Mogłam wykorzystać te pieniądze przed znalezieniem sobie pracy jako szwaczka czy też może guwernantka. Teraz, z powodu moich kłamstw i twojego dżentelmeńskiego zachowania, wszystko się pokomplikowało. Zaręczyny? Wiem, że w swoim mniemaniu masz solidne podstawy, niemniej...

– Pobierzemy się – przerwał jej obcesowo. – Raczej nie budzę w tobie przeraźliwego obrzydzenia, gdyż bądź co bądź byłaś skłonna pozostawić ze mną Marley. – Zabrał jej imbryk i postawił go na stole. – Nigdzie się nie wybierasz, Sadie Grace. To już ustaliliśmy.

– Wiem, wciąż to powtarzasz. Skoro jednak Marley jest bezpieczna i szczęśliwa, musimy się zastanowić, dlaczego mielibyśmy się pobrać. Na razie najważniejszy powód to uszczęśliwienie Clarice i księżnej.

Darby podszedł bliżej i wziął ją za rękę.

– To urocze damy, ale gdybym miał kierować się ich radami, musiałbym osobiście przykuć się do muru wariatkowa w Be-dlam – oświadczył.

– Niezbyt to miłe. – Sadie uśmiechnęła się markotnie.

– Może i tak, ale prawdziwe. Sam podejmuję decyzje, Sadie Grace. A skoro tak sobie szczerze rozmawiamy, dodam coś jeszcze. Pragnę cię od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałem w moim holu, gdy stałaś, ociekając wodą, z Marley u kolan. Nie wiem dlaczego, ale wpadłem w rozpacz na myśl o tym, że jesteś zamężną panią Boxer.

– Czy to... uprzejme kłamstwo, czy też powinnam doszukiwać się w twoich słowach ziarenka prawdy?

– Niczego przed tobą nie ukrywam. Chyba nigdy nie byłem tak szczery. Przemoczona i zła, byłaś nieświadoma swojej niezwykłej urody. Patrzyłem, jak opatrujesz kolana Rigby'ego, i dotarło do mnie, jak bardzo lubisz moich przyjaciół. Słyszałem, jak lamentujesz nad bezczynnością i dzięki temu pojąłem, jak wiele jest do zrobienia na świecie. Musisz za mnie wyjść, Sadie Gra-

ce. Chcę patrzeć na świat twoimi pięknymi i uczciwymi oczami. Chcę, by spoglądały na mnie rankiem, kiedy się budzę. Czyżbym cię zawstydził?

- Szczerze mówiąc, tak - przyznała. - Powiem jednak otwarcie, że i ty mnie pociągasz od samego początku, choć czasem mam chęć natrzeć ci uszu. To uczucie, którego nigdy wcześniej nie doświadczyłam. Nie wiem, jakim słowem je określić.

- To pożądanie, Sadie Grace. Pożądanie - powtórzył. - Czyżbym zatem nie był w nim osamotniony? Mówiłem to już, ale powtórzę. Pragnę cię. Nocami nie mogę spać, tak bardzo mi ciebie brakuje. Rzecz jasna, to dowodzi, że zły ze mnie człowiek, ale ten fakt już ustaliliśmy. Jako dorosła kobieta z pewnością rozumiesz moje słowa. Mogę jedynie żywić nadzieję, że i ty mnie pragniesz. Teraz zaczynam w to wierzyć.

- Nie sądziłam, że ty... Czy jesteś pewien? - zapytała z wahaniem. - Po tym wszystkim, co ci mówiłam? Nie wiem, co mam teraz powiedzieć.

- Powiedz „tak”. - Jego oczy rozbłysły nadzieją.

- Dobrze, powiem to. Tak. Rzeczywiście pragnę cię... w ten sposób. Czekaaj, dokąd idziemy?

Pociągnął ją za sobą na trawę, zatrzymując się tylko po to, by zabrać list Johna, który wepchnął do kieszeni

- Razem go spalimy - zapowiedział.

- Czekaaj, nie - zaprotestowała. - Trzeba zanieść tacę do kuchni, żeby nikt nie musiał się po nią fatygować.

Pochylił się, by ją pocałować, ale natychmiast się wyprostował. W swoich planach uwzględnił znacznie więcej niż pocałunek.

- Sadie Grace, jesteś cudowna pod tyloma względami - oświadczył. - Jeśli jednak chcesz mieć Camy i służbę po swojej stronie, nie przeszkadzaj im w ich obowiązkach.

- Och. Naturalnie, masz rację - zreflektowała się Sadie. - Przede mną jeszcze sporo nauki, prawda?

- Nie przejmuj się tym. Chętnie wcielę się w rolę nauczyciela. Wiem, od czego powinniśmy zacząć. Na początek nie stawiaj cudzych potrzeb ponad własnymi.

- Darby!

Uśmiechnął się do niej pogodnie.

- Dokąd mnie zabierasz? - spytała, próbując dotrzymać mu kroku.

- Są tu boczne drzwi, prowadzące do rzadko używanych schodów. Musimy jednak zachowywać się cicho.

- Zaczynam myśleć...

- Nie myśl, Grace - przerwał jej. - Dość myślenia na dzisiaj.

- My możemy przestać, ale co pomyślą inni?

- Nie dbam o to. Ja jestem panem tego domu, a wkrótce będziesz moją żoną.

Poprowadził ją ścieżką ku małym, ukrytym w cieniu drzwiom, z których korzystał w dzieciństwie, gdy chciał uniknąć spotkania z Camy i służbą.

- Stań tutaj - poprosił. - To potrwa jedną chwilę. Gdzie do diaska ukryłem ten klucz?

- Słucham? Kiedy dokładnie go schowałeś?

Darby pracowicie podnosił cegły, którymi wyłożona była dróżka, jednocześnie próbując odświeżyć pamięć.

- Nie wiem. Z pewnością nie miałem więcej niż piętnaście lat. O proszę, jest. - Podniósł klucz i uważnie go obejrzał. - Później po wielokroć zastanawiałem się, czy o tym wiedzieli i tylko pozwolili mi wierzyć, że w genialny sposób opracowałem metodę wykradania się z domu i powracania do niego.

- A cóż takiego robiłeś, kiedy już chyłkiem opuściłeś dom? - zapytała, patrząc, jak Darby oczyszcza klucz z ziemi i wsuwa go do zamka.

- Łamałem wszystkie reguły, które pragnie się złamać w wieku kilkunastu lat. Teraz musimy zachowywać się cicho.

- Czuję się niepoważnie.

- I dobrze. Ja również. Wszyscy zasługujemy na to, by od czasu do czasu tak się poczuć.

Wziął ją za rękę i wprowadził do środka, po czym gestem wskazał, by poszła przodem po wąskich, drewnianych schodach. Minął ją dopiero, gdy stanęli na półpiętrze. Wkrótce znaleźli się na wyłożonym dywanem korytarzu i na palcach przeszli do pokojów Darby'ego.

- Och - Sadie westchnęła, gdy Darby zamknął za nimi drzwi

i zarygłował drugie, do garderoby, mimo że Norton obecnie bawił w Londynie. – Co za rozmiary!

Darby doszedł do wniosku, że chodzi jej o gabaryty sypialni połączonej z salonikiem, choć równie dobrze mogła mieć na myśli imponujące łożo z baldachimem.

– Pozwól, że wezmę twoją pelerynę – zaproponował.

Sadie z roztargnieniem rozwiązała okrycie i wręczyła je Darby'emu, po czym przeszła do przestronnego saloniku. Być może zwabił ją ciepły kominek, ale niewykluczone, że wołała zająć miejsce z dala od łoża.

– Raj utracony? – Uniosła duży, oprawiony w skórę wolumin, który Darby czytał w oczekiwaniu na przybycie podopiecznej. – Każdego wieczoru ojciec czytywał to Johnowi i mnie. Miałam wtedy chyba sześć lat. Nawet nie podejrzewasz, jak bardzo pragnęłam cisnąć tę książkę do pieca.

Odłożyła księgę i z obrzydzeniem potarła dłonie. Darby usiadł obok niej na kanapie.

– Teraz też chcesz to zrobić? – zapytał

– Nie. Myślę, że obecnie już by mnie tak nie przerażała. Nie przeczytam jej jednak. Wolę dzieła panny Jane Austen, które poleciła mi księżna.

Darby położył rękę na oparciu kanapy i dotknął dłonią ramienia Sadie.

– „Jedna połowa ludzi na świecie nie potrafi zrozumieć, dlaczego drugiej połowie coś sprawia przyjemność”^[1].

Sadie spojrzała na niego z zainteresowaniem.

– Czytałeś Emmę?

– Moja droga, wszyscy czytają dzieła panny Austen, nawet jeśli się do tego nie przyznają – odparł. – Szczerze mówiąc, czytałem Milтона tylko po to, by szybciej zasnąć.

– Na sześciolatkę nie działał usypiająco. Możesz za to spalić list Johna. Chyba jestem już gotowa.

– Bardzo proszę. – Wyciągnął papier z kieszeni i rzucił go w płomień. – Widzisz? Poszło jak z płatką. Teraz zajmijmy się przyszłością.

– Tak. Przyszłością – zgodziła się. – Nie skończyliśmy przecież...

- Chodziło mi o najbliższą przyszłość - przerwał jej miękkim głosem i delikatnie wziął ją pod brodę.

Sadie zamarła i popatrzyła mu w oczy.

- Wiem - powiedziała spokojnie. - Czy mnie pocałujesz? Bo myślę, że już pora, prawda?

Przysunął się bliżej.

- Zanim zmienisz zdanie, Sadie Grace?

Przeniosła wzrok na jego usta. Darby czuł narastające napięcie.

- Nie, nie zrobię tego. Nie zmienię zdania - odparła. - Nie jestem dzieckiem, choć kobietą jeszcze też nie. Jeśli ktoś ma to zmienić, to chcę, byś był to ty.

- Będę zaszczycony - oznajmił, po czym przywarł wargami do jej ust w pierwszym prawdziwym pocałunku.

To już nie był drobny eksperyment, lecz zaborczy pocałunek zdobywcy, który odwzajemniła z dziewiczym zapałem. Darby zdecydowanym ruchem uniósł Sadie i przeniósł w ramionach do łóżka, przy którym postawił ją na podłodze.

Wtedy na moment przerwał pocałunek i powolnym ruchem przesunął dłonie na jej talię, delektując się kształtem oraz krągłością ponętnych pośladków. Następnie Darby powędrował dłońmi ku jej włosom i wyciągnął z nich szpilki, powoli, jedna po drugiej. Miękkie loki spłynęły niemal do połowy jej pleców.

Westchnęła niepewnie, gdy odsunął jej ręce od swoich ramion.

- Nigdzie się nie wybieram, Sadie Grace - powiedział, uśmiechając się do niej. - Musimy jednak zakrzętać się wokół kilku praktycznych spraw.

Sadie oparła czoło o jego pierś.

- Tak, sama się nad tym zastanawiałam...

- Moja jak zwykle rzeczowa Sadie. - Uśmiechnął się, po czym przyciągnął ją do siebie i nieco drżącymi rękami zaczął rozpinąć guziki jej sukni. - Ten strój nie powstał z myślą o uwodzeniu - zażartował.

Pocałował ją w szyję, a gdy suknia z cichym szelestem osunęła się na podłogę, odrzucił ciężką kapę na łożu, odsłaniając bawełnianą pościel.

- Nadal czuję się dość niemądrze - wymamrotała, a pochwy-
ciwszy na sobie jego gorące spojrzenie, z zakłopotaniem popra-
wiła halkę. - Jestem zdecydowanie za wysoka i w przeciwień-
stwo do Clarice, nie mam dostatecznie obfitych... atrybutów.
Mam nadzieję, że nie czujesz się rozczarowany.

- Jakoś to przeżyję. A teraz zechciej, proszę, odwrócić się do
mnie plecami, gdyż zamierzam pozbyć się własnego przy-
odziewku.

Na policzkach Sadie wykwitły urocze rumieńce.

- Widywałam już męskie ciała - odparła nieśmiało. - W gabi-
necie. Troszczyłam się także o brata.

- Ale nie widziałas ciała mężczyzny, który nie jest ani trochę
rozczarowany, Sadie Grace. Odwróć się, proszę.

Popatrzyła na niego pytająco i szeroko otworzyła oczy.

- Och. Och! Och...

Darby szybko ściągnął buty, używając zzuwadła - wiedział, że
Norton mu tego nie daruje, gdyż praktyczne skądinąd urządze-
nie rysowało obuwie - po czym zdjął resztę ubrania i położył się
obok Sadie.

- Witaj ponownie - powiedział.

- Czuję się...

- Niepoważnie - dokończył za nią. - Tak, wiem. Postaram się
temu zaradzić. Niemniej ostrzegam cię, że jeśli zaczniesz się
śmiać podczas czynności, do których się sposobie, zapewne
z miejsca się załamie.

Położyła rękę na ustach, by stłumić chichot, a on wiedział, że
najgorsze już minęło. Była gotowa na to, co nadejdzie, a przy-
najmniej tak się jej wydawało.

- Masz niebywale intrygujące usta, Sadie Grace - zauważył. -
Pełne, o pięknym kształcie... i szalenie kuszące. Chętnie cię na-
uczę, jak się nimi posługiwać.

Rozchyliła wargi, a Darby złożył na nich głęboki pocałunek.
Potem poruszyła się pod nim i zrozumiał, że ostatecznie podda-
ła się namiętności. Eksplorował zatem jej ciało, najpierw dłoń-
mi, a potem ustami. Czuł, że z sekundy na sekundę Sadie robi
się coraz śmielsza i coraz bardziej otwarta na to, co jej ofiaro-
wywał. Odwzajemniała jego pocałunki i pieszczoty, kiedy zaś ją

posiadł jednym nieśpiesznym, lecz stanowczym ruchem, zaciśnęła dłonie na jego ramionach i otoczyła go długimi nogami. Przyjęła go i zaakceptowała, a Darby zyskał pewność, że dla nich obojga jest to naturalne przypięczętowanie coraz głębszego uczucia.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Clarice, musisz przestać się śmiać, bo jeszcze chwila, a obudzisz cały dom. Poza tym parsz, a jestem pewna, że damy nie parszają.

Sadie i Clarice siedziały po turecku na łóżku Sadie, co stało się ich wieczornym rytuałem, podczas którego omawiały istotne wydarzenia dnia, a czasem jedynie paplały o wszystkim i o niczym.

Tym razem było tak samo, mimo że świat Sadie nieodwracalnie się zmienił. Postanowiła zwierzyć się z tego Clarice, najpierw jednak musiała dokończyć opowieść o tym, jak Belinda Henderson przeprowadziła inspekcję Marrakesza...

- Doprawdy, Clarice, to nie było szczególnie zabawne - podsumowała. - Nie wątpię, że Marrakesz był zażenowany sytuacją.

- Przepraszam. - Clarice otarła oczy. - Pamiętaj jednak, że znam Belinę. Tak po prawdzie to chętnie założyłabym się i o dwa nowe czepki, że Belinda nigdy nie będzie bliżej nieprzyzwyczajonych męskich części ciała, co to, to nie. I może dobrze, bo dopiero wtedy przeżyłaby rozczarowanie życia.

- Clarice, przestań, proszę. - Sadie wbrew sobie wybuchnęła śmiechem.

- A, i jeszcze coś. Jakoś mi się nie widzi, żeby któremukolwiek jegomościowi zachciało się zajrzeć jej pod zadek!

Sadie ukryła twarz w dłoniach, z trudem powstrzymując się przed śmiechem.

- Ha! - wykrzyknęła Clarice triumfalnie, gdy obie w końcu ochłonęły. - Taka byłaś poważna, a teraz widzisz, że nie ma nic, co by było tak całkiem poważne. Ogierek pożyje sobie lepiej niż połowa ludzi w całym Fairfax i będzie miał tyle pukanka z klaczkami, ile mu się żywnie spodoba. Belinda wraca tam, gdzie chce być, i będzie robić to, co jej szczęście daje, a jej mamusia

podesłała mi zawczasu list z przypomnieniem, że mam do niej napisać, jak jego lordowska mość postanowi odwiedzić Wirginię, bo trzeba przygotować bal na moją cześć. Słyszysz, Sadie? Bal! Nie dalej jak wczoraj ta kobieta to i skorupki od jajka by nie podarowała takiej jak ja, a tu proszę bardzo. Nie ma co, jak tylko Darby się napatoczy, dam mu takiego buziaka, że ho, ho, bo to istny cudotwórca, prawda? Przyznasz?

Sadie poczuła, jak rumieniec wypełza na jej policzki i wbiła spojrzenie w pustkę pod sufitem, jakby owa pustka niezmiernie ją zainteresowała.

- Tak, właśnie to słowo bym wybrała, żeby go opisać - przyznała. - Cudotwórca.

- Mój Jerry powiada, że Darby ani myśli przyjmować podziękowań, bo przecież właśnie od tego są przyjaciele, mówi. Od pomagania, znaczy. I właśnie tak... Sadie? Coś się stało? Jakoś tak nagle zrobiłaś się cała... Zaraz, zaraz, znam to spojrzenie. Właśnie tak samo popatrzyła na mnie Thea, choć wiem, że wcale nie chciała tak patrzeć, po tym jak ona i Gabe... Sadie! - Clarice się zerwała i na kolanach zaczęła skakać po łóżku. - Mów natychmiast. Opowiadaj wszystko!

- Nie ma czego opowiadać - mruknęła skrepowana Sadie. - Wszystkiego się już domyśliłaś. Jak ty to robisz?

Clarice lekceważąco machnęła dłonią.

- To talent, niby co tu kryć - oświadczyła. - Niewiele ich mam, ale co jak co, od razu wyczuwam, kto z kim. Dzisiaj to było? Po tym, jak się wreszcie pozbył Hendersonowych? Tak jest, to musiało być dzisiaj, no bo jakby było wczoraj, tobym wczoraj zauważyła. No więc... Zostaliście razem i idę o zakład, że zaprosił cię do altanki. Gdzież by indziej, jak nie tam, gdzie Dany i Coop pierwszy raz... A potem też tam to on... No, mniej-sza. Muszę kazać Jerry'emu spytać Darby'ego, czy nie moglibyśmy tam się kiedy wybrać. Wiesz, nim robi się zimno. - Postukała się dłońmi w policzki. - Och, Clary, zamilknijże wreszcie i daj dziewczynie się wygadać!

- Ależ po co, skoro sama świetnie dajesz sobie radę? - spytała Sadie żartobliwie.

Nagle uświadomiła sobie, że ma prawdziwą przyjaciółkę,

pierwszy raz w życiu. Ta świadomość była niezwykle krzepiąca, zważywszy na to, że Sadie dotąd nikomu się nie zwierzała i polegała jedynie na sobie.

- Powiem tylko, że to nie stało się w altance, choć tam się zaczęło - wyznała. - A potem... przekradliśmy się do jego sypialni. Miał klucz schowany pod cegłami, więc dzięki temu... Nie mogę uwierzyć, że ci to mówię!

- Niby komu miałabyś powiedzieć, jak nie mnie? - Clarice wzruszyła ramionami. - Vivien? Co tu dużo gadać, jej pytania to i mnie by zawstydziły. Kobieta musi komuś powiedzieć, co jej leży na wątrobie, bo inaczej pęknie. W porządku z tobą? Cudownie było? No proszę, powiedz, że było cudownie.

- Czuję się dobrze, wręcz bardzo dobrze. I w istocie, było cudownie - przyznała Sadie. - Najpierw czułam się niemądrze, ale potem cudownie. Więcej nie powiem, niepotrzebnie nadstawiasz uszu. A potem znowu było niemądrze. Przynajmniej Darby'ego to wszystko bawiło.

- Dlaczego? Co niby było takie zabawne?

- Powiedziałam, że to bawiło Darby'ego, nie mnie. Ja przejmowałam się... innymi sprawami.

- Jakimi innymi? - Clarice wychyliła się ku niej.

- Prześcierałem - wyszeptała Sadie, czując, że znów się czerwieni. - Darby nie przejął się w najmniejszym stopniu. Nie interesowało go, co pomyślą ludzie, którzy przecież w mig zrozumieją, co zaszło, a przecież ja nie miałam zamiaru rozgłaszać tych nowin.

- Jakoś ciągle nie wiem, o co ci... - Clarice nagle oświeciło. - Ach, o to. No, przepraszam, ale minął taki szmat czasu, że już mi się zapomniało, jak to jest. A zresztą kto by się tam przejmował tym, co zostało na sianie, prawda? Sadie, za bardzo się gryziesz tym, co ludziom przyjdzie do głowy. Wiem, że to śmieszne, kiedy ja tak mówię, po sprawie z tą całą Henderson i w ogóle, no ale tak to jest. I czasem zwyczajnie trzeba robić to, co daje nam szczęście i mieć w nosie innych.

- Tak też mówił Darby i z pewnością rozumiem wasz punkt widzenia. Powtórzę ci jednak to, co powiedziałam jemu. Wydaje mi się, że będę musiała powoli oswajać się z odmiennym sposo-

bem rozumowania niż dotychczasowy.

- To dlatego że nie jesteś samolubna, Sadie - zauważyła Clarice. - Każdy musi być choć trochę egoistą, bo inaczej to świat go wdepcze w ziemię. A czasem to warto się cofnąć, żeby kto inny co robił za ciebie. Rób jak ja, i tyle. Jerry mówi, że dobrze mi idzie wysługiwanie się innymi, ale to dlatego, że znałam swoje miejsce, jak to było moje miejsce, i wiem, czego się spodziewają ci, którzy są teraz na tym miejscu, co to było moje, zanim trafiłam na to miejsce, co to teraz jest moje. Może i ciągle się uczę, co i jak robią ci na moim nowym miejscu, ale dobrze wiem, czego to nie powinnam robić, bo nie jestem na starym miejscu. Rozumiesz?

- Tak. O dziwo, rozumiem. - Sadie pokiwała głową. - Nie powinnam odbierać komuś obowiązków, wyręczając go w odnośzeniu tacy z imbrykiem do kuchni. To masz na myśli, prawda?

- Krótko i wężłowato ujęte. - Clarice wycełowała w nią palec. - I nie chodzi o to, że trącisz leniem albo zadzieraszą nosa, jakbyś była Bóg wie kim. Chodzi o to, że ludzie się mogą denerwować, bo im do głowy przychodzi, że robią coś nie tak, jak należy, i koniec końców, mogą wylądować na bruku bez referencji. Teraz to z ciebie nie byle kto, tylko pani z wyższych sfer. Nie babrzesz się w brudach w gabinecie brata i nie tkwisz pod dachem rodziców. Przecież masz zostać lady Nailbourne. Jak chcesz herbaty, to po nią dzwonisz. Nie dźwigasz tacy z kuchni. Trzewiki zostawiasz tam, gdzie je zzujesz. Nie musisz ich szcztokować ani nosić do garderoby, tak żeby twoja pokojówka mogła tylko stać i dłubać w nosie. A jak wygrzebujesz się z łóżka, to nie musisz poprawiać pościeli... Och, nie. Słodki Jezu, powiedz, że to nieprawda. Uparłaś się posłać po siebie łóżko, jak już było po wszystkim, tak?

- Clarice, mówisz to w taki sposób, jakby świat się kończył - odparła Sadie z urazą w głosie. - A poza tym nie można zostawić łóżka po tym, jak... Może powiedziec ci, jak mnie całował? Bo mam wrażenie, że będę mniej zażenowana.

- Nie, nie. Nie ma potrzeby. Znam się na całowaniu i na całej reszcie, a jak przychodzi co do czego, to mi wyobraźnia podpowiada. Wolę posłuchać o łóżku.

- Darby mówi, że przez resztę życia będzie czcił kolejne rocznice tego dnia - oznajmiła Sadie i uśmiechnęła się dyskretnie.

Wdała się z Darbym w utarczkę słowną, kiedy zauważył, że powinna wreszcie przestać tak się przejmować. Postawiła jednak na swoim, oświadczając że po prostu nie mogła zrobić tego ani Camy, ani pokojówkom, które natychmiast poinformowałyby ją o tym, co zobaczyły.

- Sadie? Jak w końcu przestaniesz się uśmiechać, to opowiesz mi resztę, prawda? - odezwała się Clarice.

- Och, przepraszam - zawstydziała się. - Gdy zdjęliśmy pościel, uświadomiłam sobie, że teraz musimy znaleźć bieliźniarkę. Darby na szczęście przypomniał sobie, że w jednej z nich ukrył się jako chłopiec, żeby zjeść brzoskwiniowy placek, który zwędził z kuchni. Potem musiałam mu wytłumaczyć, jak położyć świeżą pościel. To po prostu zdumiewające, że mężczyźni rządzą światem, a mają dwie lewe ręce, jeśli chodzi o domowe obowiązki. W pewnym momencie, gdy poprawialiśmy ciężką narzutę, powiedział słowo, które nie powinno pojawiać się w ustach żadnego dżentelmena, a następnie doszedł do wniosku, że cała służba zasługuje na podwyżkę.

- Tak sobie znowu myślę, że uwielbiam twojego Darby'ego - oświadczyła Clarice, która słuchała opowieści Sadie, przez cały czas podjadając ciasto. - A gdzie teraz jest brudna pościel? Tyłko mi nie mów, że ją spakowałaś i masz tu ze sobą.

- Przyznaję, nie zastanawiałam się, co z nią zrobić do czasu, gdy powlekliśmy świeżą - odparła Sadie wymijająco.

- Możesz wreszcie powiedzieć, co się stało z pościelą? - zniecierpliwiła się Clarice.

- Nie wepchnęliśmy jej do komina, jeśli o to pytasz - powiedziała Sadie. - Powinnaś wiedzieć, że to, co zrobiliśmy, nie było moim pomysłem. Darby otworzył okno i wyrzucił przez nie pościel. Kiedy uznał, że możemy bezpiecznie opuścić pokój, zanieśliśmy ją do pralni. Tam wrzuciliśmy całość do dużej balii pełnej wody i ugnietliśmy jednym z mieszadeł. Darby powiedział, że nikt nie będzie wiedział, jak tam się znalazły. Ktoś po prostu je wypierze i odłoży do bieliźniarki.

- Myślisz, że ta cała Camy to nie liczy pościeli co tydzień i się

nie domyśli?

Sadie podrapała się po głowie. Przywykła do świadomości, że na jedno łóżko przypada jeden komplet pościeli, a pranie robi się z rana, żeby na wieczór wszystko było już czyste i suche.

- Po co miałyby liczyć pościel? - zapytała ze zdumieniem.

- Bo właśnie od tego są gospodynie, głuptasku. One to ciągle coś tam liczą. Jak nie pościel, to srebra albo porcelanę. A te co lepsze, to mają oczy dookoła głowy. Cała twoja praca była psu na buty, Sadie. Camy będzie wiedziała tak czy siak. Słowa nie powie, ale co z tego? Założę się, że wiedziała też i o kluczu, i o tamtym brzoskwiniowym placku.

Sadie przez moment miała ochotę zapaść się pod ziemię ze wstydu. Potem jednak przypomniała sobie, jak uroczo skołowany był Darby, szamocząc się z pościelą i z nią przegrywając. Na tę myśl uśmiechnęła się szeroko.

- Nie mogę się doczekać, kiedy mu to powiem - oświadczyła z rozbawieniem.

- Nie, nie, nie, Sadie. - Clarice znów zaczęła podskakiwać na kolanach. - Nie mów mu tego nigdy przenigdy, bo on wie i wiedział od początku, ale zrobił, co chciałaś, choć wyszedł na głupka. Jeśli mu teraz powiesz, będzie mu przykro.

- Ale po co? - Sadie nie rozumiała, o co chodzi. - Po cóż miałby to robić?

- Bo wszystko by dla ciebie zrobił. Ma hysia na twoim punkcie. - Clarice mocno uściśnęła kompletnie skołowaną Sadie. - A teraz dobranoc, na pewno masz o czym sobie pośnić.

Sadie jednak przez prawie całą noc nie zmrużyła oka, a rano zerwała się wyjątkowo wcześnie. Ubrana, poszła coś przekąsić, a teraz siedziała zupełnie sama w salonie.

Ma hysia na twoim punkcie.

Nie, pomyślała, to nieprawda. Miał hysia tylko na punkcie niektórych części jej ciała. Jasno dał to do zrozumienia, a ponieważ ona czuła to samo w odniesieniu do niego - choć się tego wstydziała, nawet przed sobą - bez trudu mu uwierzyła.

Zegar na kominku wybił jedenastą i Sadie nagle uświadomiła sobie, że Darby nietypowo dla siebie jeszcze się nie pojawił. Czyżby również źle spał? A może nie chciał jej widzieć po tym,

co między nimi zaszło?

Nie, to nie byłoby w stylu Darby'ego. Raczej zachowałyby się jakby nigdy nic, ewentualnie wpadłby do salonu, jak zwykle pogodny, jowialny i elegancki, a następnie rzucałby aluzjami, by ją speszyć.

Nagle usłyszała hałas na korytarzu i zamarła. Gdy się odwróciła, ujrzała Marley, która w podskokach wpadła do pokoju. Za nią dostojnie kroczył książę.

- Sadie, popatrz na mnie! - wykrzyknęła Marley. - Nie musiałam siedzieć na lekcji panny Potterdam, która chciała mnie uczyć o kuli ziemskiej. - Marley opuściła głowę, robiąc podwójny podbródek, i wyrecytowała niskim głosem: - Nic a nic mnie nie obchodzi, co ma pani do powiedzenia, bo jeśli chcę, żeby dziecko ze mną poszło, to ze mną pójdzie. Jestem księciem, do licha, a to chyba jeszcze coś znaczy! - Odwróciła się rozpromieniona do jego wysokości. - Tak było, wujku Basilu?

- Ależ z niej papużka - oświadczył książę, gdy Sadie szybko zerwała się z miejsca i nisko dygnęła. - Nigdy nie widziałem sensu w trzymaniu dzieci pod kluczem, karmieniu ich kleistą owsianką i kładzeniu spać przed zachodem słońca. Chyba się ze mną zgodzisz, hm?

- Jak najbardziej, Wasza Księżęca Mość, ponad wszelką wątpliwość. - Sadie doskonale wiedziała, że nic nie zyska na wyrażaniu sprzeciwu. - I muszę zauważyć, że Wasza Księżęca Mość ma piękną papugę.

Książę odwrócił głowę i z dumą popatrzył na dużego, białego ptaka na swoim ramieniu.

- To kakadu, moja droga Sadie, a odkupiłem ją od pewnego bogacza z Syjamu. - Zmarszczył brwi. - A może oddałem za nią zegarek? Mniejsza z tym. Ma na imię Putri, co oznacza księżniczkę.

- I dlatego nazywamy ją Księżniczką - wtrąciła się Marley i całe szczęście, gdyż opowieść księcia z pewnością ciągnęłaby się przez wiele godzin. - Kiedyś będzie moja, za wiele, wiele lat, chyba że wujek Basil umrze w przyszłym tygodniu, ale nie umrze... Sadie, prawda?

- Nie, nie umrze, skarbie, w żadnym razie - zapewniła ją Sa-

die, rzucając księciu niemal groźne spojrzenie.

- Nie, ależ skąd, oczywiście, że nie - przyłączył się książę i nadał policzki. - Sam nie wiem, co mi przyszło do głowy, że w ogóle coś podobnego zasugerowałem. No chodź, skarbie, zabierzemy Księżniczkę do oranżerii, tak jak obiecałem. Niech sobie poskacze wśród zieleni i zapoluje na żuczki. Och, Darby, mój drogi, jakże się dzisiaj miewasz?

Sadie natychmiast się odprężyła. Darby wyglądał zupełnie zwyczajnie. Mogła tylko mieć nadzieję, że i ona prezentuje się podobnie.

- Basilu. - Darby się uklonił, a Sadie szybko wzięła się w garść, patrząc, jak Marley biegnie prosto w jego szeroko rozpostarte ramiona. - No proszę, mojemu szkrabowi udało się umknąć z więzienia. A gdzie się podziewa Max?

- Szczeka jak opętane dziwadło, kiedy Księżniczka jest w pobliżu - odparła Marley z powagą. - Dlatego trafił do kuchni, gdzie pałaszuje kość.

- Opętane dziwadło, powiadasz? Pałaszuje? - Darby spojrzał wymownie na Sadie. - Powiedz mi, Marley, cóż to takiego jest dziwadło? I co to znaczy, że pałaszuje?

- Zawsze wiesz, prawda? - Dziewczynka skrzywiła się wymownie. - Jak to możliwe, że zawsze wiesz?

- Zawsze wiem, że powtarzasz pewne zwroty jak papuga? - Darby mrugnął porozumiewawczo do Sadie.

- Chodźmy, Marley - wtrącił się książę. - Jeszcze moment, a oboje trafimy za karę do pokoju dziecięcego.

Marley wzięła go za rękę i oboje odeszli radośnie do oranżerii.

- Marley dostanie kakadu, jeśli książę umrze w przyszłym tygodniu - poinformowała Sadie Darby'ego, który dołączył do niej na kanapie. - Kiedy Thea i Gabe wracają do miasta?

- Obawiam się, że dopiero w przyszłym tygodniu. Wczoraj dostałem list od Gabe'a. Jak się okazuje, Thea pośliznęła się na bananie, przewróciła i zwichnęła nogę w kostce. Nim zdążysz cokolwiek powiedzieć, śpieszę z wyjaśnieniem. Otóż oboje nadzorowali rozbiórkę i odbudowę głównego holu w Cranbrook. Vivien nie może się dowiedzieć o przypadłości Thei, a ja zapo-

mniałem o sprawie, bo wczoraj interesowało mnie coś zupełnie innego.

- Wiedziałam, że coś o tym powiesz! To była aluzja!- Sadie przyłożyła rękę do ust. - Och, przepraszam. Przecież właściwie nic nie powiedziałaś, prawda?

- Wiele osób twierdzi, że rzadko kiedy cokolwiek mówię. To znaczy cokolwiek sensownego - zauważył Darby z uśmiechem. - Może uspokoiłabyś skołatane nerwy, gdybym cię pocałował. Wyglądasz tak, jakbyś była gotowa zerwać się na równe nogi, słysząc choćby moje kichnięcie.

- Wcale nie! - zaprotestowała, po czym wzruszyła ramionami. - Tak, to prawda. Przez pół nocy zastanawiałam się, jak zareaguję na ciebie dziś rano i czy w ogóle przyjdiesz.

- Nigdy nie miałem zamiaru unikać spotkania z tobą. Muszę jednak przyznać, że i ja mam za sobą niemal bezsenłą noc. Obudziłem się kilka minut po dziewiątej w swoim gabinecie. Potem musiałem coś zjeść, wykapać się i naturalnie zmienić bieliznę.

- Widzisz? Znowu aluzja! Nie wytrzymałabyś, gdybyś nie zrobił aluzji. Skończyłeś? Zaraz, zaraz... Nie spałeś przez większość nocy i zasnąłeś w gabinecie? - Przyłożyła dłoń do jego czoła. - Znowu nawiedził cię ten ból głowy? Czy już minął?

Darby pocałował ją w dłoń.

- Owszem, minął - potwierdził. - Muszę jednak przyznać, że niemal kazałem zaprzęgać, by tu przyjechać i błagać cię o twój magiczny masaż. Norton próbował odtworzyć twoje zabiegi, ale mimo moich instrukcji nie stanął na wysokości zadania. Porażka niesłuchanie go przygnębiła, jego duma niewątpliwie ucierpiała. Choć miał być ledwie tymczasowym pokojowcem i służyć mi tylko do końca mojego pobytu w Londynie, poinformował mnie, że skoro panna Marley ma pozostać w moim gospodarstwie, on rozważy możliwość służenia mi na stałe. Jak się domyślasz, nie konsultował się ze mną w tej kwestii.

- Jakiż to dziwny człowiek. - Sadie pokręciła głową. - Wyraźnie się zaprzyjaźnili podczas krótkiego przejazdu tutaj i kilku późniejszych spotkań. Pewnie dlatego że Marley zaakceptowała jego wyjaśnienia dotyczące farbowania brody na czarno. Na

pewno nie chcesz wiedzieć, dlaczego to robi?

- Miałbym się narazić na kolejny ból głowy? Nie, dziękuję. A teraz, co do pocałunku...

Sadie zamknęła oczy i poddała się pieszczocie. Czuła, że po kilku godzinach intensywnej praktyki radzi sobie znacznie lepiej, zwłaszcza że Darby dodatkowo pieścił jej pierś przez cienką bawełnę sukni.

- Och, najmocniej przepraszam! - rozległ się znajomy głos. - Już stąd zmykam, nie przeszkadzajcie sobie. Kontynuujcie, jakby mnie tu nie było.

Sadie raptownie się odsunęła, dotykając dekoltu sukni, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie osunął się zbyt nisko.

- Moja droga Vivien. - Darby wstał i uklonił się nisko, po czym zaprowadził księżną do kanapy. Gdy Vivien usiadła, ucałował jej dłoń. - Zawsze się cieszę ze spotkań z tobą, nawet tych wyjątkowo nieoczekiwanych. Jeśli szukasz Basila, wraz z Marley zabawia kakadu w oranżerii. Czy też może kakadu zabawia ich, trudno powiedzieć.

Vivien zamachała koronkową chusteczką.

- Czy go szukam? - jęknęła. - Święci pańscy, ja przed nim uciekam. Gawędziliśmy sobie przy śniadaniu, gdy mimochodem napomknęłam o naszych podróżach do Włoch, tym przeuroczym tarasie z widokiem na czerwone dachy Florencji oraz o nocy, kiedy... no, cóż... - Znow zamachała chusteczką. - Dość powiedzieć, że Harris, moja garderobiana, nie wydawała się przesadnie zachwycona, że musi mnie ubierać po raz drugi dzisiejszego poranka.

Darby pochylił się ku Sadie.

- A ty się przejmowałaś bielizną pościelową - wyszeptał jej do ucha. - Możemy sobie tylko wyobrażać, co Harris wygaduje teraz w pomieszczeniach dla służby.

Sadie przygryzła wargę, żeby powstrzymać uśmiech.

- Och, czy wspominałam wam, że Minerva, najdroższa Minerva, porzuciła mnie, by dołączyć do Dany i Coopera, aby spotkać się z rodziną Dany? - zapytała Vivien. - Została zaproszona przez jej siostrę, która jechała tam wraz z mężem, by zaskoczyć bliskich nowinami o rychłych narodzinach dziedzica Cockermo-

uth. Żadne z nich nie wróci przed przyjęciem na cześć Basila i chociaż będę tęskniła za przyjaciółką, muszę przyznać, że jej upór w kwestii fioletowych kwiatów i chorągiewek był cokolwiek nieroztropny ze względu na smutne skojarzenia z pogrzebem. Teraz będzie królował róż!

- Wasza Księżęca Mość... - odezwała się Sadie, ale księżna nie dopuściła jej do głosu.

- Nie, nie, nie. Jestem zdecydowana na róż, a poza tym mów mi Vivien, kochanie. Nie powinnam ci o tym przypominać, w końcu jesteśmy już rodziną. Tak, skarbie?

Sadie przez chwilę się wahała. Czowała, że prawdopodobnie powinna poczekać i omówić to z Darbym oraz Clarice. Skoro jednak Gabe był nieobecny, a ona wpadła na pewien pomysł, który miał związek z Marley, doszła do wniosku, że czekanie może się okazać nierozsądne.

- Nie wiem wszystkiego ani nawet zbyt wiele o strachu księcia przed nadchodzącymi urodzinami - zaczęła. - Jednak kilka minut temu Marley powiedziała coś o ptaku, z czego wywnioskowałam, że jego księżęca mość nie jest do końca pewien, czy dotrwa do swojego święta.

- Znowu rozdaje rzeczy? - westchnęła księżna. - Dwa dni temu wcisnął pokojowcowi zakupioną w Paryżu dewizkę, a wczoraj podarował kucharzowi swoje najlepsze szelki. To akurat potrafię zrozumieć, jako że kucharz jest gruby jak beczka i z pewnością ucieszył się z upominku, który zapewnił mu choć trochę ulgi od nieznośnego ucisku spodni.

- Vivien - odezwał się Darby kojącym głosem. - Skup się, proszę. Sadie właśnie mówi, że Basil nadal jest przekonany o swojej rychłej i niechybnej śmierci. Czy to możliwe, że znów przestanie wstawać z łóżka lub zaszyje się na prowincji?

- Wydaje się szczęśliwy przy Marley - zauważyła Sadie. - Co nie znaczy, że nie robi przy niej dobrej miny do złej gry. Widziałam już ludzi umierających tylko z obawy przed śmiercią. Dotyczy to w szczególności osób w podeszłym wieku.

Ugryzła się w język, ale dopiero wtedy, gdy księżna spojrzała na nią mniej życzliwie.

- Co naturalnie wcale nie oznacza, że księżę jest w podeszłym

wieku - dodała pośpiesznie Sadie. - Broń Boże, Vivien, nie to miałam na myśli. Ani trochę. Oboje jesteście w kwiecie wieku. Prawda, Darby?

- W rzeczy samej. O wieku człowieka przesądza trzeźwość jego osądów i świeżość spojrzenia - oświadczył Darby z filozoficzną zadumą.

- Nic dodać, nic ująć! - Vivien wskazała go palcem, po czym zerwała się na równe nogi i pomaszerowała do barku, niewątpliwie z zamiarem uraczenia się dżinem.

- Przecież to nie ma żadnego sensu - wyszeptała Sadie do Darby'ego. - Kto to napisał? Na pewno nie Szekspir.

- Naturalnie, że nie. Sam to wymyśliłem na poczekaniu, żeby ratować cię z opresji. Z całą pewnością nie zamierzałem sugerować, że Basil, choć rozdaje swoją własność, jest ewidentnie na tyle rogatą duszą, by garściami czerpać z romantycznych uniesień aż do samego „hepnięcia”.

- Jesteś niemożliwy. Doszłam do tego wniosku już pierwszego dnia naszej burzliwej znajomości. Mimo to przyjmij moje podziękowania.

- Podziękujesz mi później - odparł. - A może uważasz, że nie mam w planach spędzenia z tobą kilku upojnych godzin dzisiejszego wieczoru?

Nie wiedziała, co mogłaby mu na to odpowiedzieć, nie zdradzając jednocześnie swoich skrytych myśli. Na szczęście powróciła Vivien z dżinem.

- No dobrze. Na czymże to stanęliśmy? Na pewno nie na kwestii podeszłego wieku, bowiem takowej brak - oświadczyła księżna i uraczyła się trunkiem.

- Mam poczucie, Vivien, że konieczne będzie ukojenie umysłu księcia - pośpiesznie odparła Sadie. - Musimy zadbać o to, by nie zżerał go narastający lęk.

Przyszło jej do głowy, że jednocześnie uspokoją wyraźnie zatroskaną Marley.

- Rzecz w tym, że nie raz i nie dwa próbowałam go czymś zająć - wyznała księżna i poprawiła fałdy sukni. - Naprawdę się starałam.

Darby pochylił się do ucha Sadie.

- Próbowala dzień w dzień - szepnął. - A w niedziele zapewne po dwakroć. Trudno się dziwić, że biedaczka jest już wyczerpana.

- Jesteś niemo... Nie, nie powiem tego ponownie.

Sadie wstała, obeszła duży, niski stół, po czym usiadła obok księżnej.

- Vivien. - Wzięła ją za rękę. - Czy twoim zdaniem jego książęca mość naprawdę wierzy w klątwę, rzekomo ciążyącą nad mężczyznami z rodu Sinclairów?

- Moja droga Sadie, jego bracia gremialnie „hepnęli” w wigilię swych sześćdziesiątych urodzin. Cóż byś sobie pomyślała, poznawszy tę historię?

- Właśnie, Vivien, czy mogłabyś ją ponownie opowiedzieć? - zaproponował Darby. - Chyba nie będzie to dla ciebie zbyt wyczerpujące, a Sadie chętnie poznałaby szczegóły.

- Nie, snucie tej opowieści nie targa mi nerwów, ale zapewne pomyłę imiona jej bohaterów, co czasem mi się przytrafia. - Vivien oswobodziła dłonie z uścisku Sadie i zabrała się do wyliczania na palcach. - Pierwszy książę przeniósł się na łono Abrahama z szybkością zdmuchniętej świeczki tuż przed uroczystym polowaniem zorganizowanym z okazji jego sześćdziesiątych urodzin. I tak to się zaczęło, choć podówczas nikt o tym jeszcze nie wiedział, naturalnie. Jakkolwiek patrzeć, był z niego hulaka nie lada, co jest łagodnym i uprzejmym określeniem drania i rozpustnika. Potem przyszła pora na pierwszego z jego pięciu synów, których księżna produkowała w niemal corocznych odstępach. Drugim księciem został najstarszy, Boswell, który na kilka dni przed sześćdziesiątką postanowił zatańczyć z pewną uroczą i młodziutką istotką. Właśnie prowadził ją na parkiet, kiedy podobno przewrócił oczami, wydał z siebie pełen zdumienia dźwięk brzmiący jak „hep” i nim ktokolwiek się zorientował, już leżał twarzą do podłogi, bez tchu i bez ducha. Jego bracia o imionach Bennett, Ballard i Bellamy skończyli pieśń równie nagle i tak samo tuż przed sześćdziesiątymi urodzinami. Basil zaczął się poważnie niepokoić po zgonie Ballarda, ale gdy „hepnął” Bellamy, sytuacja stała się naprawdę poważna. Dość powiedzieć, że od tamtej pory mój biedny mąż już nigdy nie był

taki jak wcześniej.

Sadie nawet nie próbowała zapamiętać wszystkich imion na literę B, które wymieniła Vivien.

- Zatem klątwa, jeśli potraktować ją poważnie, została rzucona na pierwszego księcia - podsumowała.

- „Szczejnijcie, przekłęci Sinclairowie. Przeklinam wasze nasienie, plugawe a nieczne. Żaden Sinclair płci męskiej nie dożyje sześćdziesiątych urodzin i zaklinam, niech tak się stanie z mocy wszystkich piekielnych szatanów i samego Belzebuba” - wyrecytował Darby ze złowróbnym uśmiechem. - Nie tylko Marley potrafi papugować innych, powtarzając ich słowa.

Sadie spiorunowała go wzrokiem.

- Świetnie nam szło bez ciebie, mój panie - burknęła.

- Tak jest, Darby, racz się uciszyć - upomniała go księżna. - Osobiście nie wierzę w klątwy, w przeciwieństwie jednak do Basila, który na próżno udaje, że tak nie jest. A nasza Sadie ma zapewne jakiś pomysł. Masz pomysł, prawda, skarbie?

- Tak, skarbie - odparł przesłodzonym tonem Darby i oparł łokcie na kolanach, udając ogromne zainteresowanie. - Zamieniamy się w słuch.

- Chyba rzeczywiście mam, choć myślenie o nim i wyartykułowanie go to dwie całkiem odmienne sprawy - przyznała Sadie. - Poza tym wcale nie jestem pewna, czy mój plan wypali. Co więcej, gdzie znajdziemy kogoś, kto zrobi to, o czym myślę?

- Sadie Grace, czyżbyś chciała zaproponować seans spirytystyczny?

- Nie wiem, co to takiego. - Sadie zmarszczyła brwi.

- Ach, seans. - Księżna poruszyła się z ożywieniem. - Wiele lat temu uczestniczyliśmy w seansie przy okazji pobytu w Paryżu. Gospodyni zorganizowała go dla uatrakcyjnienia przyjęcia. Musieliśmy usiąść wokół stołu i wziąć się za ręce, a wszystko to przy zaledwie kilku zapalonych świecach w pokoju. Była z nami pewna zawołowana kobieta, chyba Cyganka, chociaż niekoniecznie. Kazała nam myśleć o zmarłym ojcu gospodyni i poprosiła go, by przemówił do nas z za grobu. Gospodyni nie mogła znaleźć klejnotów zmarłej matki i pragnęła wiedzieć, gdzie je schował. Basil i ja uważaliśmy, że stary drań dawno temu spie-

nieżył rzeczoną biżuterię, by spłacić hazardowe długi, ale dama w welonie zakłótyła się na krześle, zaczęła przejmująco jęczeć i nagle wydała z siebie głos, który żadną miarą nie mógł należeć do niej. I ten głos powiedział, że klejnoty są ukryte w mauzoleum, w grobowcu ukochanej żony jegomościa.

- Kto by pomyślał - mruknął Darby, a Sadie zauważyła, że z trudem powstrzymywał się od uśmiechu.

- Właśnie tak powiedział ten głos - potwierdziła księżna. - Cóż, seans dobiegł końca, a wraz z nim przyjęcie. Doszły nas jednak słuchy, że następnego dnia gospodyni... Że też nie pamiętam jej nazwiska... Nasza gospodyni w pośpiechu wyjechała na wieś. Potem już zawsze się zastanawiałam, czy znalazła klejnoty, upchnięte wraz z nieszczęsną mamą.

- Śmiem szczerze w to wątpić - oświadczył Darby. - Podejrzewam jednak, że do tego czasu zawołowana dama już znikła, razem z solidnie wypchanym trzosem. Ale wracając do tematu, czy myślałaś o spirytyzmie, Sadie? Liczysz na nawiązanie kontaktu z pierwszym księciem, by u źródła się dowiedzieć, kto rzucił klątwę?

Zakłopotana Sadie nie wiedziała, gdzie podziąć oczy.

- Nie, nie myślałam o spirytyzmie, gdyż nigdy wcześniej o nim nie słyszałam. A poza tym cóż by nam przyszło z nazwiska osoby odpowiedzialnej, skoro minęło już tyle lat? Musimy zdjąć klątwę, więc myślałam raczej o... odprawieniu stosownego rytuału.

- Ach! Chcesz, byśmy się wymalowali, przyozdobili piórkami i skakali wokół ogniska? Widziałam, jak Basil robił coś takiego w pewnej małej wiosce na Santo Domingo. Chyba chodziło o wypędzenie demonów. Ach, wszystkie te miejsca, w których byliśmy, i fenomenalne rzeczy, które robiliśmy, podczas gdy jego bracia cierpieli, zarzuceni książęcymi obowiązkami! Basil nigdy nie pragnął tytułu. Tyle przeszło nam koło nosa w zeszłym roku, przede wszystkim przez tę jego absurdalną wiarę w rychłą śmierć. Myślałam, że się otrząśnie i weźmie w garść, jeśli wyjadę do Wirginii bez niego, ale nawet to nie pomogło. Bogu dzięki za Theę, która sprowokowała go do przyjazdu z nami do domu w Mayfair, chociaż podejrzewam, że niemądre

pogróżki Gabe'a na temat ptaków też zrobiły swoje. Wiecie co? Powinniśmy być teraz w Egipcie. Nadal mam całą listę sporządzoną lata temu przez Basila. Powiedział, że będziemy jeździć na wielbłądach, ale teraz...

Vivien urwała, aby otrzeć oczy, a przy okazji głośno wydychała nos.

Sadie ponownie zajęła miejsce obok Darby'ego.

- Od razu widać, że musimy działać - oznajmiła. - Trzeba coś zrobić dla ich książęcych gości i dla Marley. W jej życiu było już wystarczająco dużo śmierci. Nie chcę, żeby to biedne dziecko żyło w strachu.

- Nikt z nas tego nie chce - odparł Darby. - Nie możemy czekać na powrót Gabe'a. Przygotowałem już dla nas plany na dzisiejsze popołudnie. Skoro jednak mamy wprowadzić w życie pomysł z rytuałem, czeka nas kilka nader interesujących godzin. Musisz wziąć pelerynę, gdyż wietrznie dzisiaj, i uprzedź pokojówkę, że pójdzie z nami.

- Nie wiem...

- Oczywiście, że nie wiesz, bo pomysł dopiero co zakiełkował w twojej głowie. Vivien? - Darby wstał. - Osusz łzy, moja droga. Tego wieczoru Sadie i ja uwolnimy jego książęcą mość od trosk. Musisz tylko dopilnować, żeby Clarice i Rigby tu byli, no i sam książę, naturalnie.

- Będą piórka? - spytała Vivien z nadzieją.

- Obawiam się, że nie.

- Szkoda. Ale tak chyba będzie bezpieczniej. Ostatnim razem Basil tańczył zbyt blisko ognia i jego piórka się zajęły. Cóż, piórek nie było zbyt wiele, to po pierwsze, a po drugie, gdy biegał, pozbywając się ich w pośpiechu, wśród obecnych dam zapanało pewne zamieszanie. Naturalnie, podówczas byliśmy znacznie młodszy i Basil chętnie demonstrował to, co miał najlepszego.

- Co mam powiedzieć Clarice? - zapytała Sadie pośpiesznie, żeby zmienić temat.

- Nic - odparł Darby. - Wolę, by zareagowała w swój niezwykle sposób, podobnie jak Rigby. A teraz zechciej oderwać Marley od księcia i każ przynieść pelerynę także dla niej. Marley odegra istotną rolę w moim planie... Prawdopodobnie nic nie

wyjdzie bez jej pomocy. Biegnij, Sadie Grace, znajdź Maksa, a ja zostanę tutaj i przekonam Vivien, by nikomu nie pisnęła ani słówka.

- Mam biec? Naprawdę jesteś niemo... Już biegnę! Biegnę!

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Darby nie sądził, by księżę mógł zamartwić się na śmierć, lecz miał inne powody do przekonywania Sadie o słuszności jej pomysłu. Uważał, że powinna się czymś zająć i nie rozmyślać nieustannie o Samie Dobsonie dążącym do zagarnięcia Marley.

Co więcej, Darby zgadzał się z Sadie, że Marley dość już wycierpiała jak na tak małe dziecko. Nieco egoistycznie pragnął też stać się centrum wszechświata Sadie i całkowicie zawładnąć jej uczuciami, tak jak ona zawładnęła jego.

- Jaśnie panie?

Darby siedział na jednej z ławek w parku i patrzył, jak Sadie, Marley oraz młoda pokojówka bawią się na trawie z rozradowanym Maksem. Gdy podniósł wzrok, ujrzał swojego pokojowca, który stał z kapeluszem w dłoni, demonstrując płomiennorudą fryzurę.

- A, Norton - mruknął Darby. - Widzę, że otrzymałeś wiadomość ode mnie.

- Tak, jaśnie panie, otrzymałem jak najbardziej - przytaknął pokojowiec. - A jaśnie pan naprawdę nie musi mnie przeproszać za użycie zzuwadła. Nic wielkiego się nie stało. Już naprawiłem szkody, używając specjalnego czernidła własnej roboty.

Darby'emu przeszło przez myśl, że zapewne ta sama substancja służy pokojowcowi do czernienia wąsów i brody. Darby na wszelki wypadek zachował obojętny wyraz twarzy.

- Skąd wiedziałeś, że właśnie dlatego cię wezwałem? - spytał.

Norton wydawał się zbity z tropu. Było oczywiste, że stanowił dla siebie centrum wszechświata i patrzył na wszystko właśnie z tej perspektywy.

- Ależ, jaśnie panie, po cóż innego miałbym być wzywany?

- W rzeczy samej, po cóż innego?! Prawdę powiedziawszy jednak, chciałbym zamienić z tobą słowo również w innej sprawie. Chodzi o przysługę, czy też, jeśli będziesz niechętny, o polece-

nie służbowe, jednakowoż poparte znaczącą łapówką. Chętnie się dowiem, czy jest coś, co skłoniłoby cię do udzielenia mi wszelkiej pomocy w sprawach związanych z panną Marley tudzież z zapewnieniem jej szczęścia.

- W sprawach związanych z panną Marley, jaśnie panie?

- Właśnie z nią, Norton. Wiem, że się zaprzyjaźniliście. Codziennie pytałeś, jak jej się tu podoba. Masz do niej słabość.

- Co prawda, to prawda, jaśnie panie - przyznał służący. - Szybko się polubiliśmy, a pani Boxer nie miała nic przeciwko temu.

- A tak, pani Boxer. - Darby westchnął. - To zupełnie inna historia. Chcę, byś wymazał z pamięci to nazwisko. Teraz nazywamy ją panną Hamilton.

Pokojowiec zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem, jaśnie panie - powiedział.

Darby sięgnął do kieszeni po sakiewkę i wygrzebał z niej pięciofuntowy banknot, po czym wręczył go Nortonowi.

- Wręcz przeciwnie, mój dobry człowieku. Doskonale rozumiesz.

- O tak, jaśnie panie - przytaknął gorliwie Norton i skłonił się trzykrotnie. - Nie pisnę ani słówka, nikomu, jaśnie panie, ani o zzuwadle, ani o nazwisku. Czy jeszcze o czymś? Mogę zapomnieć o prawie wszystkim, co jaśnie pan każe mi wymazać z pamięci.

Norton okraślił tę deklarację wymownym mrugnięciem.

- Źle mnie zrozumiałeś, Norton. Panna Hamilton i ja jesteśmy zaręczeni. Mówisz o przyszłej wicehrabinie Nailbourne.

Twarz sługi przybrała niepokojąco purpurową barwę.

- Nie chodziło mi o... - wyjąkał. - Życzę... wszystkiego najlepszego jaśnie panu i jaśnie pani też. - Sięgnął do kieszeni. - Może jaśnie pan życzy sobie tę sumę z powrotem?

- Szczerze mówiąc, mój drogi Nortonie, twój banknot pewnie czuje się samotny. Pragnąłbym zapewnić mu towarzystwo, i to całkiem zacne. Powróćmy więc do kwestii przysługi, o której napomknąłem wcześniej.

- Co tylko jaśnie pan sobie życzy. Honorowe słowo sługi dżentelmena.

- Widzisz tę dziewczynkę na trawie?

Pokojowiec się odwrócił, żeby popatrzeć w tamtą stronę.

- Panna Marley! - wykrzyknął radośnie. - Wydaje się szczęśliwa, jaśnie panie. I jaka jest ładna, cała w różu i wstążeczkach, tak jak trzeba. A czy tam obok to pani... eee... panna Hamilton? To prawdziwy cud, jaśnie panie. Panna Hamilton będzie wspaiałą wicehrabiną.

- Och, doskonale. Nie masz pojęcia, jak się martwiłem, że nie zyska twojej aprobaty.

Na twarzy pokojowca ponownie odmalowała się panika, jednak w tym samym momencie zauważyła go Marley i podbiegła z radosnym okrzykiem.

- Wujek Ralphie! To ja, Marley!

Norton odwrócił się do Darby'ego.

- Czy mogę, jaśnie panie? - spytał.

- Naturalnie... Ralphie.

Marley zatrzymała się przed pokojowcem i grzecznie dygnęła, na co Norton ją poinformował, że tak nie wypada i że to on powinien się jej uklonąć, co niezwłocznie uczynił.

- E tam - odparła beztrąsko Marley, po czym rzuciła mu się w ramiona i pocałowała go w policzek. - Wujek Ralphie! Mówiłeś, że zgolisz to paskudztwo. Sadie może to dla ciebie zrobić. Goliła mojego tatę, kiedy już sam sobie nie radził.

Sadie, która stała kilka kroków dalej, szybko kazała bratanicy pożegnać się z Nortonom i powrócić do Maksa, który czekał niecierpliwie z kijkiem w pysku. Uśmiechnęła się do Nortona, po czym rzuciła szybkie spojrzenie Darby'emu, szepcząc bezgłośnie „nie”, wzięła Marley za rękę i obie powróciły do Maksa.

- Nie wiem dlaczego, Norton, ale panna Marley niewątpliwie cię uwielbia, i to z wzajemnością - zauważył Darby. - Niestety, świat tej małej nie jest pełen słońca i tęczy, a jako jej opiekun nie mogę dopuścić do tego, by czuła się nieszczęśliwa. Jest niebywale przejęta, że inny z jej nowych przyjaciół, mianowicie książę Cranbrook, wkrótce umrze, jeśli nie zdejmie się z niego klątwy, w którą książę święcie wierzy.

Norton ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Moja ciotka Mildred tak miała, jaśnie panie - odparł. - Tyle

tylko że podówczas nie chodziło o żadną klątwę, tylko o mojego wujka Hirma, który chciał jak najszybciej wyprawić ciotunię na tamten świat. To wujek uważał, że jest przeklęty, bo przyszło mu żyć z ciotką Mildred.

- Fascynująca opowieść, Norton, ale księcia trapi nieco innego typu klątwa. Nie mamy chwili do stracenia, gdyż panna Marley musi jak najszybciej odzyskać spokój ducha. Dlatego jeszcze dzisiaj wieczorem przystąpimy do działania.

Darby dał Sadie znać, by do nich dołączyła, pozostawiwszy Marley pod opieką pokojówki. Godzinę później wtajemniczyli w plany również Marley, wyjaśniając, na czym będzie polegała jej rola, po czym Norton wyruszył wraz z dziewczynką i pokojówką z powrotem na Grosvenor Square.

- Wydaje się pełen entuzjazmu i nie brak mu pomysłów - zauważyła Sadie, gdy odchodzili. - Marley właśnie tak działa na ludzi. Od urodzenia potrafiła owijać sobie ludzi wokół małego palca.

- Będziemy musieli kijem odpędzać jej adoratorów, kiedy zadebiutuje. - Darby pokiwał głową, wyraźnie dumny z podopiecznej.

Pomyślał, że bardzo się zmienił. Szczerze mówiąc, ostatnio ledwie się rozpoznawał.

- Do tego zostało jeszcze mnóstwo czasu. - Sadie na moment spuściła głowę.

- Nie zastanawiałaś się jeszcze nad tym, że spędzisz ze mną wiele, wiele lat? - zapytał Darby domyślnie i wyciągnął rękę, sygnalizując, że muszą już iść. - Naturalnie, nie tylko ona będzie się cieszyła wzięciem, jeśli nasze córki będą choć trochę podobne do ciebie.

- Och, a jeśli nasi synowie choć trochę będą podobni do ciebie, to wyrosną na zabójczo przystojnych mężczyzn. Czy oczekiwałaś, że powiem właśnie to?

- Zabójczo przystojnych? - powtórzył. - Podoba mi się to określenie.

- Wiem. - Uśmiechnęła się. - Musisz mnie informować, kiedy oczekujesz pochlebstwa, a chętnie cię jakimś obdarzę.

Gdyby nie znajdowali się w parku, zawsze pełnym wścibskich

spacerowiczów notorycznie węszących za sensacją, na pewno by ją pocałował. Teraz jednak tylko się uśmiechnął i powrócił do tematu niesamowitego wujka Ralphiego.

- Spodziewałabyś się, że mój pokojowiec należał niegdyś do trupy teatralnej? - zapytał.

- Skąd. Możemy się tylko cieszyć, że podzielił się z nami tą informacją. Mogłam się jednak domyślić. Znów masz szczęście, Darby. Szczerze mówiąc, nie przestaje mnie ono zdumiewać.

- Nie zapytasz, dokąd się wybieramy, Sadie Grace? - odezwał się, gdy przemierzali zadbane trawnik, kierując się ku ścieżce, która prowadziła do bramy po przeciwnej stronie parku.

- Nie. Zakładam jednak, że masz uzasadniony powód, by niszczyć moje nowe trzewiki z kozłej skóry. Trzeba było poinformować mnie zawczasu, bym wzięła botki.

- Kupię ci jeszcze tuzin innych par.

- Nie bądź śmieszny. Mam tylko dwie stopy.

- Stópki jak marzenie... - westchnął z nieskrywanym zachwytem. - Choć nie tak śliczne, jak nieodłącznie związane z nimi nóżki. Nim zaprotestujesz, śpieszę podkreślić, że wiem, jak bardzo nie lubisz pochlebstw. Mam też świadomość, że komplementy wprawiają cię w zakłopotanie, dlatego poprzysiągłem sobie mówić tylko i wyłącznie prawdę, gdy z tobą rozmawiam. Dotyczy to również tego, co przed chwilą oświadczyłem, Sadie Grace. Jesteś szczęśliwą właścicielką najwspanialszych nóg pod słońcem.

- Mniemam, że nie brakuje ci doświadczenia niezbędnego do wyrażania tego typu opinii - mruknęła kąśliwie.

- Och, nadeszła pora na zmianę tematu - wymamrotał Darby.

- Oczekuje się nas w tym wąskim domu, do którego się zbliżamy.

- Czy wolno mi spytać, po cóż tam idziemy? Czy ma to cokolwiek wspólnego z rzekomą kłatwą Cranbrooków? Może myślisz też o zatrudnieniu kilku zonglerów, którzy zabawialiby nas, gdy Norton zakończy już swoje sceniczne występy?

Darby śmiał się, gdy wychodzili z parku i podążali ku wysokiemu, wąskiemu budynkowi.

- Idź za mną, Sadie Grace - powiedział w końcu, gdy znaleźli

się pod drzwiami domu, i zapukał. – Jeśli dopisze nam szczęście, nie będziesz musiała robić absolutnie nic. Wystarczy, że usiądziesz obok mnie i skupisz się na milczącym podziwianiu mojej niebywalej zaradności.

– Twoja pewność siebie jest niekiedy porażająca – zauważyła.
– I nie traktuj moich słów jak komplementów, gdyż nimi nie są.

– Cóż, jestem za to uzdolniony w innych dziedzinach, i mam wrażenie, że nie tak dawno temu potrafiłaś to docenić.

Sadie otworzyła usta, zapewne z zamiarem powiedzenia czegoś, co poszłoby mu w pięty, lecz w tym samym momencie zjawił się lokaj i otworzył drzwi.

– Wicehrabia Nailbourne i panna Hamilton na spotkanie z panem Hooperem – oznajmił Darby i wprowadził Sadie do maleńkiego holu. – Zgodnie z zapowiedzią.

– Tak jest, wasza lordowska mość – potwierdził niemłody lokaj i ukłonił się z szacunkiem. – Pan Hooper czeka na piętrze.

Darby wręczył służce kapelusz i rękawiczki, a następnie pomógł Sadie zdjąć pelerynę.

– Pokojówka panny Hamilton czeka na nas w parku – powiedział, wręczając lokajowi monetę. – Trafimy sami. Panno Hamilton, zechce pani iść przodem?

Ten typ domów zawsze fascynował Darby'ego. Pokoje rozciągały się na przestrzał i miały okna zarówno od frontu, jak i od tyłu budynku, a niemal absurdalnie wąska klatka schodowa prowadziła na samą górę domu. Cóż, wielu osobom do tego stopnia zależało na miejscu z widokiem na Hyde Park oraz na imponującym adresie, że były skłonne zamieszkać w elegancko urządzonej, kilkupiętrowej trumnie.

– Wasza lordowska mość! – usłyszeli głos, który musiał należeć do pana Jaspera Hoopera.

Gospodarz domu wyciągnął rękę i ruszył ku gościom, gdy tylko wdrapali się na piętro. Pan Hooper nie zawracał sobie głowy ukłonami ani ceremoniami powitalnymi. W dzieciństwie utrzymywał się ze zbierania węgla, który spadł z wozów, i zarabiał na tym pół pensa tygodniowo. Potem pracował przy kruszeniu brył, aż w końcu został bogatym właścicielem niejednej kopalni, a wszystko to za sprawą własnej ciężkiej pracy. Tak przynaj-

mniej twierdził Basil. Pan Hooper wszystko zawdzięczał sobie i dlatego też nie miał kompleksów ani poczucia niższości. Darby od razu go polubił.

- Dzień dobry panu. - Uścisnęli sobie dłonie. - Otrzymał pan list od księcia? Pozwoli pan, że przedstawię swoją narzeczoną, pannę Sadie Hamilton. Panno Hamilton, ma pani przed sobą króla węgla. Tak przynajmniej nazywa go książę.

- Och tam, bez przesady - zaproponował pan Hooper. - I proszę mi mówić Jas, jak wszyscy. Tylko ta moja Sally nijak już do mnie nie mówi, bo ledwie się do mnie w ogóle odzywa, taka z niej wielka pani się porobiła, jakby się jej zapomniało, że nie raz i nie dwa to ją przez kolano przełożyłem, jak narozrabiała, smarkula jedna, rozpuszczona jak dziadowski bicz przez świętej pamięci mamusię. No, ale witam i zapraszam serdecznie, proszę siadać, panienko.

Sadie popatrzyła na Darby'ego, który tylko skinął głową.

- Dziękuję - powiedziała i niepewnie dygnawszy, przycupnęła na niedużej kanapie w małym pokoju.

Pan Hooper rozsiadł się w skórzanym fotelu, który donośnie zaskrzypiał pod jego ciężarem, a Darby zajął miejsce obok Sadie.

- Książę opowiedział mi nader interesującą historię o swoich podróżach po Lancashire i spotkaniu z panem - zaczął Darby. - Jak sobie radził w kopalni? Twierdził, że byłby z niego górnik co się zowie.

- Czyżby? No to poprzestańmy na tym, bo teraz to z niego książę pełną gębą, a nie szczęśliwy lekkoduch, co to może sobie zwiedzać świat. - Jasper mrugnął wymownie. - Miły z niego człowiek. Powiedział, że chce spróbować wszystkiego, zanim wyciągnie kopyta. Jeszcze jeden dzień w kopalni i niczego by już w życiu nie zakosztował.

- Jego książęca mość szczęśliwie przetrwał wszystkie przygody i cieszy się dobrym zdrowiem.

- Tak, wiem o tym dobrze. - Jasper pokiwał głową. - Od czasu do czasu zdarza się nam wymieniać listy i dzięki temu dowiaduję się sporo o jego podróżach. Swego czasu przysłał mi ptaka, kazał wypróbować go w kopalni i sprawdzić, czy nie okaże się

lepszy od kanarka. Poczciwiec. Niedawno widziałem go na jakimś przeklętym wieczorku muzycznym. Też coś, lepsze plumkanie to się zdarza w wychodku usłyszeć. Sally kazała mi iść, tak się składa, a księżę zaprosił mnie na jakąś uroczystość, którą zaplanował, i bardzo się cieszę, bo od lat go nie widziałem. Zaproszenie stoi nad kominkiem, bo Sally powiedziała, że bym tam wszystkie zaproszenia ustawiał, bo jak tam będą, to wszyscy moi goście je zobaczą i będą obgryzać paznokcie z zazdrości, że sami tyle nie mają. Tyle że wciąż mam jedno, a państwo to moi pierwsi goście. W ogóle bywam w Londynie tylko po to, żeby odwiedzać wnuki. Sally zachwycona nie jest, ale skoro za nie płacę, to chyba wolno mi je widywać, kiedy zechcę, psia-mać, za przeproszeniem panienki.

- Córką Jasa jest lady Sara Woodley, Sadie - wyjaśnił Darby.

Z uśmiechem skinęła głową. Zamierzała siedzieć cicho, dopóki się nie połapie, o co w tym wszystkim chodzi, choć Darby był pewien, że zaczynała się już orientować, jaki jest cel tej wizyty.

- Basil napisał, że chce się pan czegoś dowiedzieć o pewnym właścicielu kopalni, którego mogę znać, a tak się składa, że znam wszystkich, i właścicieli, i handlarzy - ciągnął pan Hooper. - Dość mi podrzucić nazwisko, a ja z miejsca powiem wszystko to, co dobre i co złe na temat każdego bez wyjątku.

- Dziękuję. Czy zatem zna pan właściciela kopalni, który się nazywa Samuel Dobson?

- Czy znam Sama? Pewnie. To jeden z lepszych. Stary Dobby zawsze był w porządku. Lubię go, to sprawiedliwy, choć twardy człowiek. A cóż takiego chciałby pan wiedzieć?

- Wszystko, co się da - odparł Darby, gdyż uważał, że warto jest wiedzieć jak najwięcej o swoim wrogu.

Jasper się odchylił i podrapał za uchem.

- Niech no pomyślę - mruknął. - Przebył taką drogę jak i ja, stał się kimś tylko dzięki ciężkiej pracy. Kiedyś tak było można, teraz już nie. Od czasu do czasu spotykaliśmy się w Liverpoolu, tylko my dwaj, bo jego Alice znieubiła moją Bessie, kiedy Sally wyszła za mąż, i było po sprawie. Nie ma nic gorszego niż zazdrosna kobieta, powiadam. Biedny Sam. Jego życie się zmieniło nie do poznania.

Darby poczuł lekkie kopnięcie w kostkę. Wyglądało na to, że Sadie ma pytania. Darby uznał, że spróbuje je zadać w jej imieniu.

- Pani Dobson była nieszczęśliwa z powodu małżeństwa pańskiej córki? - zapytał.

- Raczej była nieszczęśliwa, że Bessie przez cały czas o tym piała, jak ten kogut o świcie. Ach, te baby. Mniej więcej wtedy, jakieśmy wydawali naszą Sally, córka Sama uciekła z jakimś jegomościem akuratnie, gdy jej mama chciała kupić jakiego baroneta, starszego niż ten Matuzalem z Biblii, ale akurat tym Alice ani trochę się nie przejmowała. Wściekła się nie na żarty i poprzysięgła sobie, że znajdzie Susie, sprowadzi ją do domu i zacznie od początku. Jak mnie pamięć nie myli, wynajęła nawet tropicieli.

- Ale jej nie znalazła?

- Nie, ale nie dlatego, że się nie starała. Ludzie mówią, że Sam obwiniął Alice za wszystko, za ucieczkę Susie, i jeszcze na siebie był wściekły, że się nie wtrącił. Jakoś tam sobie radził przez kilka lat, ale potem już przestały go interesować kopalnie i prawie całkiem powierzył bratankowi zarządzanie nimi. - Jasper westchnął. - Wszystko jedno mu się zrobiło, bo jedyne dziecko stracił. Alice przekręciła się ze dwa lata temu, świeć Panie nad jej duszą, a Sam to się zabrał do Bath... A może do Brighton? Tak, do Brighton, tam, gdzie stoi ten taki głupi pałac z wieżyczkami...

- Z minaretami - sprecyzował Darby.

- Mnie tam wszystko jedno, mogą być i minarety. Pojechałem na nie popatrzeć, bo tak sobie wykoncypowałem, że jak moja Bessie odeszła, to sam mógłbym ździebko zakosztować przygód i podróży jak Basil, nie przymierzając. Więc co, jak Brighton, to nie Bath. No i spotkałem tam Sama, jak się pławił w morzu, kiedy akurat i ja się pławiłem. - Pokręcił głową. - Ani to przyjemne, to pławienie, ani zdrowe, ale miło było zobaczyć Sama. Wiele to tam nie gadał, ale sobie pomyślałem, że pewnie nadal szuka swojej Susie, żeby się z nią pogodzić. Tak mu wtedy powiedziałem, że najlepiej to, jak wróci do domu i zobaczy, jak jego bratanek rujnuje kopalnie, ale odmówił, bo nic a nic go to nie

obchodziło i chciał zostać tam, gdzie był. Smutne to. Że też akurat o niego państwo mnie spytali...

- Bardzo mi przykro, panie Jas. - Przez głowę Darby'ego przeleatywały tysiące myśli. - Tak się zastanawiam, co by było, gdyby Sam odnalazł Susie teraz, po śmierci Alice.

Jasper wyciągnął z kieszeni wielką białą chustkę i hałaśliwie wydmuchał nos.

- Ani chybi rzuciłby się jej na szyję i błagał o wybaczenie, tak ja to widzę - odparł. - Moja Sally jest szczęśliwa i to mi wystarczy. Żeby tak nękać własnego dzieciaka, że uciekł? Takiego ciężaru to się trudno pozbyć, zwłaszcza jak kto ma za sobą więcej niż połowę życia.

Darby spojrzał na Sadie.

- Sadie Grace, czy masz coś do dodania? - spytał. - To twoja decyzja, wyłącznie twoja.

Skinęła głową, ocierając łzę. Darby pomyślał, że jest dobrą kobietą, o pięknej duszy i pięknym obliczu. Wiedział, co zaraz usłyszy.

- Proszę pana, ten mężczyzna, z którym uciekła Susan, nazywał się John Hamilton i był moim bratem.

- Że jak? - Jasper wychylił się ku niej. - Zaraz, zaraz. Zaraz, zaraz, zaraz. Hamilton? Tak, zgadza się. Wiejski lekarz, biedny jak mysz kościelna, teraz to sobie przypominam. A zatem panienka wie, gdzie jest Susie Sama?

- Niestety, proszę pana, Susan i John już nie żyją.

- O nie. - Jasper ponownie się odchylił w fotelu. - Przecież nie powiem tego Samowi.

- On wie. Wie również, że Susan i John mają córkę, moją bratanicę Marley. Teraz przebywa w Londynie, a wicehrabia jest jej opiekunem.

- Wystarczy, Sadie - powiedział Darby cicho.

- Raczej nie. Mój brat życzył sobie na łożu śmierci, by Marley nie miała nic wspólnego z Dobsonami. Uszanowałam jego wolę i dlatego przywiozłam Marley do wicehrabiego, zamiast postąpić zgodnie z zaleceniami zawartymi w liście, który otrzymałam od liverpoolskiego prawnika pana Dobsona. Zgodnie z treścią pisma, miałam odwieźć Marley do Liverpoolu, a tymczasem pan

twierdzi, że pan Dobson mieszka w Brighton.

- I dobrze twierdzę, bo widziałem go nie dalej jak w zeszłym roku - odparł Jasper. - Powiedział mi wtedy, że przenigdy nie wróci na północ.

- W związku z tym mam do pana pytanie, bardzo ważne pytanie. Czy muszę chronić bratanicę przed Samem Dobsonem?

Darby był niemal pewien, że zna odpowiedź, nim jeszcze Jasper przemówił. Jasper Hooper może i był nieco nieokrzesany, ale nie głupi.

- Miałby zobaczyć swoją wnuczkę, popatrzeć jej w oczy i usłyszeć, jak nazywa go dziadkiem? To bardzo smutny człowiek, ten Sam Dobson, tak, tak. Już stracił całą nadzieję, panienko. Przejmować to się panienka powinna Ellesmere'em.

- Słucham?

- Ellesmere'em, panienko - powtórzył. - Ellesmere'em Odlingiem, bratankiem Sama. Paskudny z niego jegomość, a i jego siostra nie lepsza. Edythe jej na imię, tak jest. Edythe i Ellesmere. To oni chcą odziedziczyć wszyściutko, co do okruszyny. - Jasper przeniósł spojrzenie na Darby'ego. - Pan mi wygląda na bystrego młodzieńca, a i ja raczej nie jestem w ciemną bitą. Panienka twierdzi, że list nadano w Liverpoolu, a nie w Brighton. To niech mi pan powie, co by pan zrobił, jakby się panu zdarzyło dowiedzieć tego, o czym Sam nie wie i dlatego nie może znaleźć wnuczki?

- Zabiłbym Sama Dobsona, nim dowie się o wnuczce albo ją zobaczy. Na tę odpowiedź pan czeka, prawda?

Jasper Cooper zamachnął się dłońmi wielkimi jak łopaty i trzasnął nimi mocno o kolana, po czym zerwał się na równe nogi.

- A żebyś pan wiedział! - oznajmił stanowczo. - Jakby mi się jaka okazja nadarzyła, to wtedy zaciukałbym i Sama, i jego wnuczkę, ot co! Cieszę się, że was poznałem, moi drodzy, ale pewnie właśnie wychodzicie. Jak już znajdziecie Sama, przyprowadźcie go do mnie. To miejsce mu się spodoba, tak jak i mnie. Przytulnie tu, ciasno i ciepło jak w kopalni. Tak jak teraz myślę, to pewnie nigdy nie powinniśmy byli z niej wychodzić.

- Bardzo panu dziękuję - odezwała się Sadie, gdy odprowa-

dzał ich do schodów. – Cieszę się na spotkanie z panem na przyjęciu u księcia.

– A, przyjęcie. Nową kamizelkę zamówiłem i w ogóle. Basil powiada, że koniecznie muszę kogoś poznać. A wy znacie może niejaką Minervę Townsend?

Darby poczekał, aż wyjdą i skierują się ku Grosvenor Square, nim dał upust wesołości.

– Jas i Minerva? – odezwał się. – Czy powinniśmy przestrzec Coopera, że król węgla wkrótce uderzy w konkury do jego matki?

– To zabawne i pewnie pękałabym ze śmiechu, gdyby nie cała reszta – odparła Sadie. – Najpierw jednak powiedz mi, skąd wiedziałeś, że Basil zna pana Hoopera.

– Nie wiedziałem. A ściślej rzecz biorąc, nie miałem pojęcia, że chodzi właśnie o Jasa. Wiedziałem jednak, że swojego czasu Basil bawił w kopalni, więc wczoraj wieczorem zadałem mu kilka pytań. Reszta to szczęście Traversów, jak sędzę.

– Chyba raczej wolałabym powiedzieć, że to los sprzyja Marley.

– Cokolwiek to było, podziękujmy Basilowi za jego umiłowanie przygód. Wiedziałaś, że on i Vivien kąpali się kiedyś na golasie, jak to określił Basil, w Błękitnej Grocie na Wyspie Capri, albo że któregoś nocy spał w rzymskich katakumbach, bo się założył? Naprawdę musimy sprawić, by znów poczuli zew przygody.

– I żeby to osiągnąć, korzystamy teraz ze wsparcia wujka Ralphiego oraz siedmioletniej dziewczynki? – zapytała.

Darby uśmiechnął się do niej.

– To był twój pomysł, o ile dobrze pamiętam.

– Nigdy nie twierdziłam, że to dobry pomysł.

– Jedyny, jaki mamy. – Wzruszył ramionami. – A teraz zadaj mi pytanie, które tak cię dręczy.

– Kiedy jedziemy do Brighton?

– Po Sama Dobsona, jeśli nadal żyje?

– A mamy jakiś wybór? To dziadek Marley. Musimy przynajmniej z nim porozmawiać.

– Wiem. I widzę, że twoje serce mięknie, gdy mówimy o czło-

wieku, przed którym do niedawna usiłowałam uciec, zresztą całym roztropnie. Wyruszamy o brzasku, Sadie Grace. Bładym świtem...

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Sadie nie wątpiła, że wieczorny posiłek był pyszny, i miała nadzieję, że kucharz nie poczuł się urażony, gdy jej porcje wróciły do kuchni niemal nietknięte.

Darby zauważył brak apetytu Sadie i zadbał o to, by rozmowa toczyła się bez jej udziału. Udało mu się to bez trudu, gdyż najzwyczajniej w świecie poprosił księcia o opowiedzenie zbranym, jak swojego czasu on i księżna niemal utonęli na morzu, ale ostatecznie udało się im dopłynąć uszkodzonym statkiem do pewnej wyspy, która nie znajdowała się na ich trasie.

Jego książęca mość jak zwykle był przeszcześnieśliwy, mogąc streścić wszystkim jedną ze swoich przygód.

Podczas naprawy on i Vivien zajęli się zwiedzaniem wyspy, korzystając z życzliwości jednego z miejscowych kacyków, a przy okazji spożyli coś, co zdaniem księcia było upieczonym na otwartym ogniu węzem. W tym momencie wtrąciła się Vivien, absolutnie przekonana, że raczyli się wówczas nie węzem, lecz żabą, ale poza tym wszystko się zgadzało. Ich łagodny spór ciągnął się w nieskończoność, aż w końcu zniecierpliwiona Clarice postanowiła poinformować zebranych, że przecież każde dziecko wie, jak się przyrządza żaby, a jak węże. Węże się piecze, wyjaśniła, a żaby gotuje, a jeśli ktoś jest na tyle niemądry, żeby wrzucić żabę do garnka z wrzątkiem, żaba natychmiast z niego wyskoczy, dlatego trzeba ją włożyć do zimnej wody i dopiero wtedy postawić na ogniu, bo głupia istota będzie wówczas siedziała grzecznie i po prostu da się ugotować.

Rigby ucałował dłoń Clarice.

- Moja kochana Clary - powiedział z zachwytem. - Wie tyle interesujących rzeczy.

- Ze słów Clarice płyną jednak wnioski dla nas wszystkich - odezwał się Darby, a Sadie odetchnęła z ulgą, że nie musi już słuchać dykteryjek o żabach z samobójczymi skłonnościami. -

Jeśli człowiek zostanie wrzucony w sam środek niebezpiecznej sytuacji, dajmy na to w wir wojny, zrobi wszystko, by uciec. Jeżeli jednak dzieje się to powoli, wówczas siedzimy beczynnie, aż w końcu... jest już za późno i budzimy się z ręką w nocniku. Można powiedzieć, że wpadamy wtedy jak śliwka w kompot.

- Osobiście nie przepadam za kompotem, drogi chłopcze - odezwał się książę. - Ale śliweczkę, zwłaszcza suszoną, chętnie czasem pogryzam. Trzeba tylko uważać, żeby się nie przejeść, bo umiarkowanie to podstawa, zwłaszcza w wypadku śliwek. Jeżeli ktoś nie umie zachować umiaru, lepiej niech trzyma przy sobie nocnik. Zapewne dlatego o nim wspomniałeś, co?

Sadie zdołała jakoś dotrzeć do końca posiłku. Gdy jednak damy udały się do salonu, pozostawiając dżentelmenów przy brandy i cygarach, Sadie przeprosiła i wbiegła po schodach do pokoju dziecięcego, gdzie zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie plecami, oddychając ciężko.

- Czy on tu jest? - zapytała.

- Owszem, panno Hamilton - odparła guwernantka z przyganą w głosie. - Muszę jednak podkreślić, że nie aprobuję teatrzyków i przebieranek ani też zachęcania młodych umysłów do dziwactw i bujania w obłokach.

- Sama księżna zaaprobowała dzisiejszą formę rozrywki, panno Potterdam. Prawdę powiedziawszy, nie może się doczekać tego widowiska.

- Nie dziwi mnie to - prychnęła guwernantka wyniośle. - Pastorami byli zarówno mój dziadek, jak i mój ojciec. Potrafię rozpoznać dzieło szatana, a także nader odrażający brak przyzwoitości, który zdaje się dominować w tym dziwacznym domu. Rano składam wypowiedzenie.

Sadie spiorunowała ją wzrokiem.

- Dziękuję, panno Potterdam - wycedziła. - Przynajmniej nie muszę o nie prosić. Jeśli jednak chce pani jutro opuścić tę jaskinię rozpusty z listem polecającym, zdecydowanie sugeruję, by zachowała pani swoje świątobliwe opinie dla siebie. A teraz proszę stąd wyjść, gdyż pani obecność jest tu niepożądana.

Bridget, młoda pokojówka Marley, parsknęła śmiechem, po czym pośpiesznie się zajęła składaniem koca, przerzuconego

przez oparcie krzesła.

- Gdzie oni są, Bridget? - zapytała Sadie, gdy guwernantka z dumnie uniesionym podwójnym podbródkiem oddaliła się wyniośle do swojego pokoju na strychu.

- W sypialni panny Marley, panienko Sadie, gdzie zszywają prześcieradło, które przyniosłam z bielizniarki na życzenie tego rudego. Włosy to on ma jak płomienie, ale mówi, że nie jest Szkotem. Kazał mi trzymać Pannę Nadymalską z daleka, bo on i panna Marley prowadzą próbę.

Sadie uświadomiła sobie, że Bridget ani słowem nie wspomniała o czarnej brodzie i wąsach. Może Marley w końcu przekonała Nortona, aby je zgolił.

Zerknęła na zamknięte drzwi.

- Doskonale - powiedziała. - Wobec tego ja też nie będę im przeszkadzała. Zszywają prześcieradło, powiadasz?

- Tak, panienko. Przedarli je w połowie, a potem rudy wyciągnął z torby igłę z nitką i powiedział, że uszyje kostium dla panny Marley. I wie panienka, co ja sobie myślę? Ja sobie myślę, że on chce z niej zrobić duszka. Ale uciecha, panienko, prawda?

- Och, tak, zanoszą się na uciechę nie lada - przytaknęła Sadie. - Wiesz, co robić, kiedy będą gotowi, prawda?

- O tak, panienko, wiem dobrze - potwierdziła Bridget z zapalem. - Mam ich chyłkiem wyprowadzić tylnymi schodami na ulicę, żeby mogli załomotać do drzwi.

- Tak jest... tak. Więc chyba wszystko gotowe, prawda? - Sadie jeszcze raz zerknęła na zamknięte drzwi do sypialni brataniicy. - Muszę wrócić do salonu. Dziękuję ci, Bridget.

Na dole skinęła głową do Darby'ego, sygnalizując, że wszystko gotowe. Stał za krzesłem, z jedną dłonią na wysokim oparciu i z kieliszkiem wina w drugiej. Nie ulegało wątpliwości, że Sadie miała usiąść właśnie tam.

Choć salon był przestronny, wszyscy obecni zebrali się pod centralnie usytuowanym dużym żyrandolem. Księżę i księżna zasiedli na jednej z kanap i wzięli się za ręce. Clarice w różowej sukni przycupnęła na podłodze i przytuliła policzek do kolana Rigby'ego, który siedział w fotelu.

W tej uroczej scenie brakowało tylko Maksa, ale nie można

mu było zaufać, gdyż od razu rozpoznałby Marley, podbiegł do niej i ją zdemaskował. Z tego względu spaniel został zamknięty w kuchni, gdzie zapewne delektował się resztkami.

Pod nieobecność Sadie temat rozmowy się zmienił i teraz dyskutowano o nieustannie rozrastającej się liście gości zapraszanych na przyjęcie urodzinowe. Lord Alvanley zapytał, czy może przyprowadzić swojego dobrego przyjaciela Beau Brummella, a księżna natychmiast się zgodziła, gdyż ksiązę regent już wcześniej odmówił przyjęcia zaproszenia, przekazując tę wiadomość przez jednego z sekretarzy.

- Naprawdę zaprosiłaś księcia regenta? - Ksiązę pokręcił głową. - Przecież mówiłem ci, że on nie chce mieć nic wspólnego z wigami, odkąd królowi znowu się pogorszyło na umyśle i ksiązę został regentem. Ja jestem wigiem, a przynajmniej tak twierdzi mój prawnik, a i Brummell zalicza się do wigów. Zatem Beau przychodzi, tak? Gabe wysłał mu ptaka, ale Beau jakoś się do niego nie przekonał, w przeciwieństwie do innych.

- Nie wszyscy mają chęć paradować po Mayfair z ptakiem na ramieniu - zauważył Darby, wychodząc zza krzesła. - Krążą pogłoski o jego narastających długach, więc chyba powinniśmy się cieszyć, że nie spożył ptaka w potrawce. A teraz mam niespodziankę dla Waszej Księżęcej Mości.

- Niespodziankę? - Ksiązę zaklaskał w ręce. - Wspaniale, uwielbiam niespodzianki.

Zaczynamy, powiedziała sobie Sadie w duchu i mocno zaciśnęła kciuki.

- Wiem - odparł Darby zyczliwie. - Chciałem poczekać z tym do urodzin, lecz uświadomiłem sobie, że mój drobny podarunek może się zgubić w natłoku innych, więc uznałem, że równie dobrze mogę ci go wręczyć jeszcze dzisiaj.

- Tak, tak. Doskonały pomysł, Darby. Znakomity. Co to takiego? No daj. Ależ to emocjonujące. Prawda, Vivien?

- Zgadza się, kochanie - przytaknęła księżna. - A teraz usiądź spokojnie i wysłuchaj, co Darby ma do powiedzenia.

Sadie podskoczyła na krzesło, słysząc łomotanie do drzwi. Przeszło jej przez myśl, że Norton zignorował kołatkę i postanowił walić w drzwi młotem kowalskim.

- Och, to na pewno moja niespodzianka. Zostawiłem służbie polecenie, by tę osobę przyprowadzić prosto tutaj.

Wszyscy odwrócili się ku wejściu do salonu.

Książęcy kamerdyner wkroczył do pomieszczenia, by z beznamiętnym wyrazem twarzy zaanonsować gościa.

- Wasze Książęce Moście, jaśnie państwo. - Ukłonił się. - Znaną na trzech kontynentach, ulubienicą królów i książąt, fetowaną od bezdrożnych pól Rosji do winnic Francji, jasnowidzka i uzdrowicielka, wspaniała, wyjątkowa i... hm...

- Wielce znamienita - rozległ się sceniczny szept na korytarzu.

Kamerdyner rzucił groźne spojrzenie przez ramię.

- ...i wielce znamienita Madame Royale. - Kamerdyner przewrócił oczami, nim dokończył głuchym tonem: - Oraz jej asystent Henry.

Madame? Sadie popatrzyła na Darby'ego, który tylko wzruszył ramionami.

- Ojejku, jejku, jejku, jejku! - wykrzyknął książę.

Z entuzjazmem zerwał się z miejsca, żeby powitać burzliwymi oklaskami Madame Royale, ubraną w spódnicę i owiniętą w wielobarwne chusty. Madame miała pierścienie na palcach i dzwoneczki na bosych stopach, a cienkie, kolorowe bransoletki sięgały jej niemal do łokci. Z talii zwisał pasek ze złotych monet, złote naszyjniki całkowicie zakrywały jej nagą klatkę piersiową... i ewentualne owłosienie, które mogłoby tam rosnąć.

Najbardziej jednak zdumiały Sadie włosy Madame. Były płomiennorude, a po uwolnieniu z końskiego ogona skrzyły się w loczki i rozsypały po całej głowie.

Oczy Madame zostały starannie podkreślone na niebiesko, a jej policzki i usta na czerwono. Poruszając się z gracją, wyciągnęła rękę do księcia, który natychmiast się nad nią pochylił.

Z kolei Henry ubrał się w całości na biało, a zamiast paska włożył złocistą haftowaną szarfę. Jego głowę oraz twarz zakrywał kaptur, więc widać było tylko oczy. Jedno z nich mrugnęło do Sadie. W dłoniach Henry niósł marmurowy cokolik i spoczywającą na nim szklaną kulę wielkości melona.

Sadie przyglądała się uważnie, jak książę sadza Madame na

krześle, po czym ponownie jej się kłania i wraca na swoje miejsce obok księżnej.

- Broda i wąsy zniknęły - wyszeptała do Darby'ego.

- Tak jak słyszałem - odszepnął. - Nie pomyślałem o tym wcześniej, ale przecież mężczyźni często wcielali się w role kobiet. Zastanawiam się tylko, jak Norton zdołał znaleźć to wszystko, co ma na sobie, zwłaszcza w tak krótkim czasie. Zawsze mnie ciekawiło, czym się zajmuje pod moją nieobecność.

- Tak, tak - mruknęła Sadie nieuważnie. - Spójrz jednak na Marley. Wygląda tak, jakby miała za chwilę pęknąć z dumy. Co teraz robi Nor... Madame?

- Czyta z dłoni Vivien - wyjaśnił Darby. - Podrzuciłem mu kilka informacji o obecnych tutaj, gdy się przebierałem przed dzisiejszym wieczorem, dlatego wszystko powinno pójść jak z płatka.

Księżna usiadła na miękko obitym stołku, który Rigby postawił przed Madame, i wpatrywała się uważnie we wróżbiarkę, gdy ta wodziła palcem o pomalowanym na czerwono paznokciu. Sadie pomyślała, że Darby koniecznie powinien porozmawiać ze swoim pokojowcem.

- Wasza Książęca Mość, moja piękna - mówiła Madame wysokim, śpiewnym głosem. - Prowadziłaś cudowne życie, a wiele przygód jeszcze cię czeka. Widzę zdrowie, szczęście i głęboką miłość. I wielbłądy.

- Basilu! - uradowała się księżna. - Wielbłądy! To znak, prawda? To na pewno znak!

- Ja też chcę. - Clarice uniosła rękę, jakby w nadziei, że zostanie wywołana. - Chcę posłuchać, co Madame widzi w mojej przyszłości.

- Ach. - Madame ujęła dłoń Clarice w swoje ręce i pochyliła się nad nią. - Widzę rozdroże. Nie, to most. Tak, most, który prowadzi cię z jednego życia do drugiego. Nie bój się, moja piękna. Śmiało kroczyć naprzód. Ty i twoja miłość pożyjecie tak długo, że ujrzącie dzieci waszych dzieci.

- Dziękuję, Madame. - W oczach Clarice lśniły łzy szczęścia, gdy wracała do Rigby'ego.

- Teraz chyba ty, Sadie - powiedział Darby chytrze.

- Raczej nie, dziękuję, wolę nie wiedzieć. Zastanawiam się jednak, co Madame ma do powiedzenia o jego książęcej mości. Zapewne wszyscy pragnęlibyśmy się dowiedzieć, co czeka jego książęcą mość, prawda?

- No, nie wiem, z tą całą klątwą... Może być nieprzyjemnie - wyszeptał Rigby do Clarice, głośniejszym głosem, niż należało.

Madame pstryknęła palcami, a Henry zrobił krok naprzód.

- Stolik na moją kulę - zażądała Madame. - Ale już.

Rigby posłusznie rzucił się do pomocy. Podał Clarice dwie porcelanowe figurki, jedną po drugiej, odstawił talerzyk na słodczyce, a następnie podniósł opróżniony stolik i postawił go przed Madame Royale.

Henry natychmiast umieścił na nim cokolik i kryształową kulę.

- Słowa, Henry - zażądała Madame z wyciągniętymi rękami i zamkniętymi oczami.

- By dostrzec przyszłość, trzeba znać przeszłość - obwieściła Marley niskim głosem, naśladując swoją guwernantkę. - Madame Royale widzi wszystkie tajemnice.

Sadie doszła do wniosku, że trafiła do domu wariatów.

Madame Royale opuściła brodę na pierś, po czym zakołysała głową, przechylając ją z ramienia na ramię.

- Tak - jęknęła cicho. - Tak... Słyszę cię... Rozumiem...

Gwałtownym ruchem położyła ręce na kryształowej kuli.

- Już! - krzyknęła.

- Już? Co już? - Basil zerwał się na równe nogi. - Co to znaczy już? Żądam wyjaśnienia!

- Usiądź, najdroższy, i uzbrój się w cierpliwość - poprosiła księżna. - Madame z pewnością nam powie.

Madame Royale cofnęła dłonie, Henry zaś się uklonił i wyniósł kulę na korytarz, po czym powrócił z małym srebrnym pudełeczkiem, które podsunął jasnowidzce. Ona nie przyjęła go jednak i tylko po trzykroć poruszyła nad nim ciężkimi od pierścieni dłońmi, mamrocząc coś pod nosem.

- Strasznie to przeciąga, prawda? - szepnął Darby.

Norton otworzył oczy, patrząc wymownie na niepotrzebny już stolik. Rigby natychmiast podszedł i go zabrał.

- Żył sobie na świecie ksiązę zwany Pierwszym - zaintonowała Madame, nadal poruszając dłońmi nad srebrnym pudełkiem.
- Gdy władzę nad ziemią przejął, Cyganom odejść nakazał i powrócić im zabronił, choć latami przybywali i nikt im złego słowa nie mówił. Chciwy był z niego człowiek i źle skończył, albowiem cygańska królowa klątwą go obłożyła. Wszem wobec ogłosiła, że i on, i wszyscy jego następcy płci męskiej umierać będą przed sześćdziesiątymi urodzinami. Każdemu z nich bez wyjątku ość rybia magicznym sposobem w gardle się objawi, a przekleństwo zdjęte zostanie wtedy dopiero, gdy Cyganie za prośbą zostaną do ziem księżęcych odwiedzenia.

- Stąd ten okrzyk „hep”. - Rigby domyślnie pokiwał głową.

- W życiu już nie tknę ryby - zapowiedziała Clarice z zapalem i przyłożyła dłoń do szyi.

Sadie pomyślała, że Darby miał słuszość. Ich przyjaciele reagowali bardzo przekonująco tylko dlatego, że nie byli wtajemniczeni w sekretny plan. Sadie obiecała sobie, że któregoś dnia wyjawia Clarice całą prawdę, ale na pewno nie będzie się z tym śpieszyła.

- Ależ... Madame Royale - odezwał się nerwowo ksiązę. - Cóż mam uczynić? Nie znam żadnych Cyganów. Darby? Rigby? Gdzie się znajduje Cyganów?

- Właśnie, Darby. - Sadie niewinnie zamruwała. - Gdzie znajdziemy Cyganów przed sześćdziesiątymi urodzinami księcia?

- Cierpliwości, Sadie Grace. W razie potrzeby potrafię być szalenie pomysłowy - wyszeptał i powiodł palcem po jej szyi.

- Stań przede mną, Basilu Sinclair - zażądała Madame.

- Ja? Tak, naturalnie, już idę. - Ksiązę podniósł się nieporadnie.

Madame Royale, czy też raczej Madame Norton, zamachała palcami nad srebrnym pudełkiem.

- Królowo Cyganów, zostałam wysłuchana. Księżęce ziemie czekają na twój powrót. Ja, znana na trzech kontynentach, ulubienica królów i księząt, fetowana od bezdrożnych pól Rosji do winnic Francji, jasnowidzka i uzdrowicielka, wspaniała, wyjątkowa i wielce znamienita Madame Royale, domagam się, byś zdjęła klątwę z tego pocziwca. Klątwo, precz!

Henry uniósł wieczko pudełka, sięgnął do środka i cisnął garść srebrzystego brokatu w kierunku Basila. Ze względu na niski wzrost pomocnika Madame większość wylądowała w okolicach okazałego brzucha jego książęcej mości.

Madame Royale jednak nie skończyła.

- Precz!

Henry ponownie sypnął pyłem.

- Precz! - zawołała po raz trzeci Madame.

Henry wspiął się na palce i tym razem chmura brokatu trafiła księcia prosto w twarz.

- Gotowe - obwieściła Madame i wstała, przerzucając przez ramię jedną z kolorowych chust. - Panie, panowie. Uczyniłam, co do mnie należało. Henry!

Henry zatrzasnął wieczko srebrnego pudełeczka i ruszył za Madame, ale w progu się zatrzymał, odwrócił i wesoło pomauchał towarzystwu.

- Dobry Boże. - Sadie ukryła twarz w dłoniach.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Rewelacje Jaspera Hoopera zaskoczyły Darby'ego. Właściwie nie wiedział, co chciał usłyszeć, ale na myśl, że jego podopieczna, jego siołka Marley, mogłaby paść ofiarą zmywy związanej w celu zagarnięcia jej prawa do dziedziczenia, ogarnął go zdumiewający gniew.

Wojna nie była mu obca, widywał już wielu wrogów. Nie rozumiał jednak, jak można życzyć śmierci dziecku. Niewiarygodne. Musiał porozmawiać z Samem Dobsonem, żeby poznać wszystkie fakty i okoliczności.

Naprawdę opracowany plan uspokojenia Basila się powiódł i teraz książę nie posiadał się z radości. Był zachwycony do tego stopnia, że zażądał, aby Clarice zebrała z podłogi „ten migotliwy, magiczny pył”, gdyż chciał posypać nim sobie głowę, dla pewności, że jest już całkiem wolny od przekleństwa.

Inną konsekwencją tego wieczoru było to, że po powrocie na Park Lane, Darby zadał Nortonowi kilka istotnych pytań. Z pewnością powinny one paść wcześniej, jednak Darby za bardzo się cieszył ze znalezienia tymczasowego pokojowca na czas trwania małego sezonu.

Jak się okazało, Norton już niejednokrotnie parał się aktorstwem. Był zapalonym, lecz niedocenianym człowiekiem sceny, dlatego musiał sobie dorabiać. W końcu nawet aktorzy nie mogą żyć tylko sztuką. Przy każdej sposobności spotykał się z pokrewnymi duszami w knajpce Pod Koroną i Kurkiem przy Piccadilly. Wszyscy oni „zimowali” w Londynie, utrzymując się z różnych zajęć w oczekiwaniu na okazję, by dołączyć do trupy aktorskiej i na wiosnę ponownie wyruszyć na objazdowe występy.

Tego popołudnia Norton pognął na złamanie karku do swojej ulubionej gospody, gdzie przyjaciele pomogli mu się przebrać za Madame Royale, obwieszoną sztuczną biżuterią i chustami,

a nawet podpowiedzieli mu, jak najlepiej wcielić się w rolę.

Rzecz jasna, występ wiązał się z koniecznością zgolenia brody oraz wąsów, lecz Norton poświęcił się w imię sztuki, choć z miejsca zapowiedział, że jedno i drugie zapuści z powrotem.

- Nigdy nie wiadomo, kiedy zarost może się przydać - podkreślił. - Wystarczy, że zasłonię włosy albo zgołę brodę i mogę zagrać prawie każdą rolę, jasnie panie, od damy na włościach po perskiego sułtana. Madame Royale kosztowała mnie brodę, ale to niewielka cena za możliwość występu przed księciem. Zadzroszczą mi wszyscy z gospody Pod Koroną i Kurkiem.

Po spokojnie przespanej nocy Darby wstał i ubrał się jeszcze przed świtem. Napisał krótki list do swojego przyjaciela Gabe'a, powiadamiając go o zdjęciu kłatwy, oraz drugi do Coopera, żeby podrażnić się z nim w kwestii książęcego planu odegrania roli swatki Minervy i króla węgla.

Przed szóstą rano dwukółka już czekała gotowa do drogi. Darby spodziewał się, że Sadie będzie na niego czekała przy Grosvenor Square, i się nie zawiódł. Włożyła modną, wełnianą pelerynę oraz aksamitny czepek, jedno i drugie w kolorze zielonym. Do tego miała gronostajową mufkę, zapewne pożyczoną od Clarice.

W drodze zamierzali wymieniać konie w każdej gospodzie, co kilkanaście kilometrów, żeby jak najszybciej dotrzeć do celu, dzięki czemu już po drugiej powinni ujrzeć słynny brightoński pawilon z minaretami.

Dla zabicia czasu Darby spytał o Marley, nim jeszcze opuścili Londyn.

- Marley? - Sadie powściągnęła uśmiech. - Tak się składa, że chwilowo to Henry, a przynajmniej tak się upierała wczoraj wieczorem, gdy bez większego powodzenia usiłowaliśmy ją powstrzymać przed nieustannym bieganiem w kółko po całym parku dziecięcym. Nie dość, że szalała jak opętana, to jeszcze wciąż wykrzykiwała: „Precz! Precz!”, równie głośno, co bez sensu, a winnym takiego stanu rzeczy jest Norton, naturalnie, który powymyślał te wszystkie bzdury. Jakby tego było mało, Marley obrzucała rzekomo magicznym brokatem wszystko, co

jej stanęło na drodze, od konia na biegunach po Bridget, o ile biedaczka nie zdążyła w porę uskoczyć.

- Można powiedzieć, że nasza mała Marley już postanowiła poświęcić życie pracy scenicznej? - spytał rozbawiony Darby.

- Mam szczerą nadzieję, że nie, choć spisała się na medal, nieprawdaż? Jego książęca mość chyba nie nabrał podejrzeń. Kiedy w końcu udało mi się uspokoić Marley i wrócić do salonu, trafiłam w sam środek ożywionej dyskusji na temat przyjęcia urodzinowego. Książę zażądał teraz dudziarzy, którzy mają wkroczyć przed nim do sali balowej. Ponadto zamierza iść dzisiaj z Vivien do cukierni, by pozamawiać przeróżne wymyślne słodkości oraz lodowe rzeźby kakadu Księżniczki. Zapewne nie zdziwi cię wiadomość, że turbot został usunięty z menu.

- Och, byłbym rozczarowany, gdyby tak się nie stało. - Darby sprawnie wyprzedził wóz z wielką stertą kapusty. - Gdy tylko wyjedziemy z miasta, zamierzam nieco popędzić konie, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Najchętniej przyprószyłabym nasze konie magicznym brokatem, żeby pofrunęły wraz z nami do Brighton - rozmarzyła się Sadie. - Na wszelki wypadek poprosiłam Clarice, żeby wraz z Rigbym zawsze towarzyszyła Marley podczas spacerów, a same spacery, żeby ograniczyć wyłącznie do placu przed domem. Chcę wierzyć, że Odlingowie nie mają pojęcia, gdzie jest Marley, ale przecież udało się im znaleźć nas w Dibden, prawda? Podejrzewam, że opłacają tropicieli, którzy przez cały czas depczą nam po piętach. Powinnam była powiedzieć ci o tym wcześniej, ale naprawdę sądziłam, że nic jej nie grozi pod twoją opieką w Londynie.

Darby uścisnął jej rękę.

- Jest bezpieczna, Sadie Grace - podkreślił z mocą. - I będzie jeszcze bezpieczniejsza. Gotowa? Droga wydaje się przejezdna, a moje konie rwą się do galopu.

- Jestem gotowa. Od Rigby'ego wiem, że jesteś wybitnym woźnicą, a jeśli mnie pamięć nie myli, również sam to raczyłeś podkreślić. Inna rzecz, że chyba każdy byłby lepszy niż ten okropny człowiek kierujący powozem, którym do ciebie przyjechałam. Jeden z pasażerów podróżujących na zewnątrz w pew-

nym momencie spadł i musieliśmy czekać, aż jego przyjaciel pomoże mu wstać, otrzepie go z kurzu i posadzi z powrotem. Zapłacił, więc woźnica nie miał wyjścia, musiał się zatrzymać.

- Obiecuję, że jeśli mój lokaj spadnie w trakcie jazdy, osobiście wrócę i go podniosę. Robinson? - krzyknął Darby do sługi.
- Panna Hamilton się niepokoi i chce, byś się mocno trzymał, bowiem zamierzam popędzić konie!

- Jesteś niemożliwy.

- A tak, wspominałaś. Zaczynam to traktować jak wyraz czułości. Równie dobrze mogłabyś mówić: „Pocałuj mnie, ty mój niemożliwy mężczyzno”.

Sadie przewróciła oczami, po czym uczepliła się uchwytu, gdyż Darby popędził zaprzęg.

Kiedy zatrzymali się na drugą zmianę koni, Sadie poszła się odświeżyć, a powróciwszy z pokoju dla podróżnych, zastała Darby'ego przy kieliszku wina.

- Pięknie wyglądasz, żono - oznajmił i wstał.

- Nie nazywaj mnie żoną - wyszeptała, zerkając na właściciela gospody, który właśnie przynosił lunch. - Kiedy przydzielona mi pokojówka zwróciła się do mnie: „jaśnie pani hrabino”, musiałam się rozejrzeć, żeby sprawdzić, czy nie mówi do kogoś innego. Czy to naprawdę konieczne? Mogłeś mnie uprzedzić.

- Wiem. - Podsunął jej krzesło. - Chyba nie musiałem tego robić, ale muszę dbać o reputację.

- Ty musisz dbać o reputację? To moja reputacja jest tutaj... No dobrze. - Sięgnęła po wielki nóż i zatopiła go w chrupiącym bochenku. - Rozumiem. Nie mam ze sobą pokojówki, żeby zachować pozory przyzwoitości. Powiedz mi jednak, gdzie niby trzyma się przyzwoitkę, kiedy się podróżuje dwukółką przez wieś? Czy mocuje się ją pasami z tyłu, razem z bagażem?

- Właśnie tam. Należy ją potraktować jak upolowanego jelenia. - Popatrzył z rozbawieniem na Sadie, która z zajadłością zaatakowała porcję szynki. - Czy to mięso coś ci zrobiło, Sadie Grace?

Szybko przełożył plaster z półmiska na talerz przed sobą.

- Odkąd sięgam pamięcią, zawsze kroiłam szynkę - wyznała Sadie. - Zawsze zajmowałam się mięsem i robiłam przy nim

wszystko poza samym zarznięciem świni. Rozumiem jednak, że teraz ty będziesz kroić szynkę. I zajmował się wszystkim innym. Nie jestem na tyle głupia, żeby kłamać i mówić, że pragnę wracać do życia, od którego dopiero co uciekłam. Nie podoba mi się jednak to, że nagle uważa się mnie za osobę niezdolną nawet do samodzielnego przejścia przez ulicę. Pokojówka po to, przyzwoitka po tamto. Nie wolno mi nawet włożyć własnych butów do szafki!

- Butów? - powtórzył. - A więc chodzi o coś więcej, niż początkowo sądziłem. Masz całą litanię zastrzeżeń i żalów, prawda?

- Chyba tak, i pewnie wydaję ci się niewdzięczna. Cóż, tak się czuję, ale muszę to z siebie wyrzucić. Zrozum, Darby, jestem dorosłą kobietą. Mam swój rozum, a jednak ostatnio czuję się trochę jak ledwie obserwatorka własnego życia. Wszystko dzieje się tak szybko...

- Tak, rzeczywiście - zgodził się i wymownie poruszył brwiami. - Pewne rzeczy dzieją się szybko.

Pomyślał, że wyglądała prześlicznie, kiedy się złościła.

- Jeszcze nie skończyłam - powiedziała. - Przyznam, że podobało mi się kierowanie swoimi sprawami, kiedy John był na wojnie, i niełatwo mi było usunąć się w cień po jego powrocie. Z trudem udawałam, że nie mam własnego zdania. Potem pojawiłeś się ty i wszyscy inni, a każdy z nich czuje się odpowiedzialny za mnie i za Marley. Naturalnie, mają jak najlepsze intencje i dziękuję im za to z całego serca.

- Uwielbiam was obie - zauważył Darby.

- A my uwielbiamy ich - odparła. - Ale ty? Jeśli chodzi o kierowanie moim życiem, jesteś w tym niedościgniony. „Sadie Grace, jedziemy do Londynu. Tu będziesz mieszkała, Sadie. Sadie, to będziesz nosiła. O, patrz, Sadie, przyniosłem szczeniaka dla mojej podopiecznej, nawet nie pytając, czy przypadkiem nie kicha, kiedy się bawi ze zwierzętami. Pobierzemy się, Sadie. Idź za mną, Sadie. Połóż się ze mną, Sadie”.

Umilkła nagle, jakby sobie uświadomiła, co właśnie powiedziała.

Darby wstał i obszedł stół, po czym przyklęknął obok jej krze-

sła.

- Masz rację, bardzo mi przykro - oznajmił. - Gdybym mógł cofnąć się w czasie i zacząć od początku, przysięgam, że pewne rzeczy zrobiłbym inaczej.

- Czyli jak? - zapytała, unosząc brodę.

Zabiła mu ćwieka. Przecież nie żałował, że wziął ją do łóża. Owszem, zdarzało mu się popełniać błędy, ale nie był kompletnym idiotą!

- Nie wiem - odparł szczerze. - Chyba powinienem częściej z tobą rozmawiać, pytać cię o opinię. Tak przypuszczam...

- Tak przypuszczasz? - Spojrzała na niego groźnie.

Uniósł ręce w obronnym geście.

- Racja - przyznał. - Wiem, że powinienem pytać cię o opinię. Powinienem był powiedzieć, dokąd cię zabieram, nim się pojawiliśmy na Grosvenor Square, a nie narzucać ci Vivien i innych. Wątpię jednak, byś uwierzyła choć w jedno moje słowo o nich. Powinienem był się z tobą porozumieć, nim obarczyłem cię szczenięciem, gdyż przywykłaś do samodzielnego podejmowania decyzji związanych z Marley. Żałuję, że cię lepiej nie przygotowałem przed ogłoszeniem naszych zaręczyn. To wyłącznie moja wina, że nie zdradziłem ci nazwiska Jaspera Hoopera, nim zabrałem cię do jego domu.

- I? - Najwyraźniej nie zamierzała odpuścić.

- I powinienem był przeznaczyć więcej czasu na zaloty, robić małe kroczyki, a nie sadzić gigantyczne susy. Za to jednak nie przeproszę, Sadie Grace. Może to było niewłaściwe, ale jednocześnie bardzo słuszne, sama przyznasz.

Sięgnęła po maselniczkę i posmarowała kromkę chleba na talerzu.

- Sadie Grace, to kamienna podłoga - jęknął Darby. - Jest nie tylko niewygodna dla mojego kolana, ale w dodatku piekielnie zimna. Powiedz coś.

- Chyba ci wybaczę. - Rozdarła kromkę na pół i zlizwała masło z końca palca.

- Na pewno? - Robił, co mógł, żeby się nie uśmiechnąć.

- Prawdopodobnie. Musisz jednak obiecać, że będziesz się ze mną konsultował we wszystkich kwestiach, które dotyczą albo

Marley, albo mnie. Dzięki temu następnym razem, kiedy pokojówka w wiejskiej gospodzie zwróci się do mnie: „jaśnie pani hrabino”, nie będę na nią patrzyła jak ciele na malowane wrota i pytała: „Kto taki?”.

Darby wstał, po czym się pochylił, żeby ją pocałować w czubek głowy, i wrócił na swoje miejsce.

- Czy mam twoje pozwolenie, by nazywać cię swoją żoną, kiedy dotrzemy do Brighton i znajdziemy kwatery w jednym z nowych hoteli? - spytał.

- A musisz mnie tak nazywać?

- Jeśli poczujesz się lepiej, gdy poproszę, by nasze bagaże zaniesiono na piętro, do apartamentu dla dwojga, to owszem, muszę. Chyba że wolisz, bym się przekradał korytarzem po północy, skrobał w twoje drzwi i błagał o wpuszczenie?

- Jest jeszcze trzecie wyjście. - Sadie nadziała plaster szynki na widelec. - Możesz poprosić sługę o przyniesienie książki kazań, dzięki której zaśniesz w okamgnieniu.

Darby słyszał rozbawienie w jej głosie.

- A ja sądziłem, że tak dobrze nam idzie... - westchnął teatralnie.

- Nie wątpię, że tak właśnie myślałeś. Biedny lord Nailbourne - mruknęła bez cienia współczucia.

- Sadie Grace, przepraszałem cię na klęczkach - podkreślił. - Czy to się wcale nie liczy?

- W istocie, przepraszałeś z pokorą. No dobrze, przemyślę to gruntownie, a po przybyciu do Brighton udzielię ci odpowiedzi. Mój Boże, ta szynka jest po prostu wyśmienita! - wykrzyknęła nieoczekiwanie. - Nie podejrzewałam, że przejażdżka do tego stopnia pobudzi mój apetyt. Naprawdę, skosztuj szynki.

- Czemu nie. - Darby uniósł widelec do ust. - Albo zjem szynkę, albo pójdę za gospodę i przebiję się szablą.

Sadie wybuchnęła śmiechem. Teraz, gdy już wyznała, co jej leży na sercu, ponownie czuła, że panuje nad sobą, a Darby jest jej równorzędnym partnerem. O dziwo, nie miał nic przeciwko temu, co więcej, taka sytuacja chyba nawet mu odpowiadała.

Sadie pokręciła głową.

- Jeśli pozwolisz, pragnąłbym cię o coś spytać - odezwał się

w pewnej chwili Darby. – Tamtego dnia w powozie, kiedy jechaliśmy z domu na wsi. No wiesz, kiedy Norton wyjaśnił Marley powody, dla których ma ufarbowane wąsy i brodę, lecz naturalnie rude włosy. Wczoraj wieczorem poinformował mnie, że jest najprawdziwszym wędrownym aktorem i że jedno oraz drugie niezbędne mu jest do kreowania postaci na scenie. Wiedziałaś, że to aktor? Nie wspomniałaś o tym ani słowem.

– Nie zdradziłam ci tego, gdyż sama nie wiedziałam. Wyjawił prawdę dopiero wczoraj w parku. Uraczył Marley długą i zawiłą opowieścią o swoich podróżach przez bezdroża Indii, w towarzystwie pewnego maharadży, a także o przedziwnym spotkaniu z czerwonogłowym wężem, który...

Darby uniósł widelec na znak, żeby przestała.

– Wycofuję pytanie – oznajmił. – Co więcej, bardzo żałuję, że w ogóle je zadałem.

– Nie przejmuj się, Marley mu nie uwierzyła. Uważa, że jest cudownie niemądry.

– Osobiście nie opisałbym go takim słowem, ale skoro teraz dyskutujemy, moja przyszła żono, co powiesz na to, żebyśmy wiosną zaopatrzyli Nortona i jego trupę w dobrze wyposażony wóz podróżny, a następnie wysłali ich wszystkich na wieś, by poszerzali horyzonty prostego ludu?

– Powiem: hura, mój przyszły mężu – odparła Sadie. – Nie protestowałabym również, gdyby raz na jakiś czas Norton odwiedzał Marley. Mam nadzieję, że się ze mną zgadzasz.

– Jak najbardziej. Łatwo poszło – zauważył Darby. – Chyba szybko przywyknę do tej wspólnej odpowiedzialności. No dobrze, w takim razie co z naszym noclegiem w Brighton?

– Och, mój drogi, nie każdą decyzję koniecznie należy podejmować wspólnie i w tym wypadku chyba ci ustąpię. Jeszcze szynki?

Resztę podróży do Brighton spędzili na planowaniu tego, co zrobią, gdy już odnajdą Sama Dobsona. W końcu jednak dotarli do hotelu i Darby skupił się na wydawaniu poleceń lokajowi, więc dopiero po chwili skierował wzrok na recepcjonistę, który uklonił się nisko.

- Jaśnie panie - powiedział pracownik hotelu. - Lady Nailbourne oczekuje jaśnie pana w apartamencie. Jaśnie pan zechce pójść tędy...

Pójść? Pomyślał, że nie ma ochoty iść, lecz pobiec ile sił w nogach!

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Sadie stała przy oknie z widokiem na ulicę i słynny pawilon księcia regenta.

- Miło panią widzieć, panno Hamilton - odezwał się Darby zza jej pleców.

Słyszała, jak wchodził do przestronnego salonu, ale uznała, że poczeka, aż on do niej podejdzie, a nie ona do niego. Przecież i tak wyszła mu naprzeciw, i to pod wieloma względami.

Mogła wdawać się z nim w potyczki słowne, śmiać, a nawet mu się zwierzać, ale nie czuła się przy nim całkiem swobodnie. Czasami musiała szukać tematów do rozmowy, aby uniknąć niezręcznego milczenia. Bywało, że nie miała pojęcia, czy Darby żartuje, czy też mówi całkiem poważnie.

Nie potrafiła wyjaśnić, co czuje, nawet samej sobie.

Coś między nimi pozostawało niedopowiedziane, coś, czego nie umiała zdefiniować. Coś, czego być nie powinno, jakby dzieliła ich niewidzialna bariera, którą należało zburzyć. A ponieważ Sadie zwierzyła się już Darby'emu z najgłębszych sekretów, doszła do wniosku, że teraz pora na niego, gdyż oboje powinni uczestniczyć w dziele obalania murów. Darby wydawał się szczęśliwy i zadowolony z życia, a także ze swojego miejsca na ziemi. Sadie podejrzewała, że pod tym kryje się coś więcej, ale nawet poważne kwestie obracał w żarty. A może po prostu była niemądrą kobietą, czekającą na wyznanie uczuć...

Teraz znowu gorączkowo szukała tematu, a widowiskowy pałac wydawał się dość bezpieczny.

- Nie wiedziałam, że pałac jeszcze nie jest ukończony - powiedziała. - Sądziłam, że jego wysokość odwiedza Brighton od wielu lat.

Darby dołączył do niej przy oknie.

- Odwiedza, jak najbardziej - potwierdził. - Właśnie dlatego bawimy teraz w tym wielkim, niedawno oddanym do użytku ho-

telu i dlatego również zobaczysz kilka zupełnie nowych budynków, kiedy będziemy zmierzali do rezydencji Sama Dobsona. Śmietanka towarzyska zbiera się tam, gdzie trafi księżę regent. Zaczęło się od niewielkiego budynku, ale księżę regent doszedł do wniosku, że nie odpowiada on jego wizji eleganckiej rezydencji. Z tego względu postanowił rozbudować swoją posiadłość. Prace nieustannie trwają, lecz część budowli jest już gotowa. Co sądzisz o kopule? Wysoka na dwadzieścia metrów i przeszklona, ale na szczęście obyło się bez żadnej katastrofy.

- Myślę, że pałac jest zdumiewająco lekki jak na swoje rozmiary. Wygląda niemal jak z bajki. Czy tutaj właśnie rezyduje księżę regent, kiedy przyjeżdża do Brighton?

- Nie, Sadie Grace. - Darby roześmiał się. - Kopuła wieńczy królewskie stajnie za ponad pięćdziesiąt tysięcy funtów. Bóg jeden wie, jak będzie wyglądała reszta budowli i ile pieniędzy pochłonie. Spójrz na te gotowe minarety i pomyśl, że powstanie jeszcze wiele innych.

Sadie odwróciła się do niego, zapominając o swoich wcześniejszych przemyśleniach.

- Pięćdziesiąt tysięcy funtów? - powtórzyła, oszołomiona. - Wielu naszych żołnierzy z trudem wiąże koniec z końcem, nie stać ich nawet na dach nad głową, a on tu trzyma konie?

- Co byś zrobiła z pięćdziesięcioma tysiącami funtów, Sadie Grace? - zapytał Darby. - W rzeczy samej, to dużo pieniędzy, ale z pewnością za mało, by naprawić całe zło tego świata.

- To prawda. - Sadie się zastanowiła, po czym westchnęła. - To nie takie proste, prawda?

- Tak poważnego problemu z pewnością nie da się rozwiązać mocą magicznego brokatu i kilku okrzyków „precz!”. Mógłbym poświęcić cały swój majątek, a ten gest byłby zaledwie kroplą w oceanie potrzeb dotkniętej niesprawiedliwością ludzkości.

- Masz rację, rzecz jasna. - Sadie zasłoniła okno, żeby nie patrzeć na gigantyczną kopułę, ale nic nie mogło zagłuszyć stukotu niezliczonych młotków. - Na tym świecie jest tyle zła, przy którym nasze zmartwienia wydają się nieistotne, wręcz błahe. Czuję się zupełnie bezradna i nawet nie podejrzewasz, jakie to dla mnie frustrujące.

- Myślę, że jednak mam jako takie pojęcie - odparł. - Hańbą jest, że tylu dobrych ludzi włóczy się po ulicach. Wśród nich są ludzie, których prowadziłem do bitwy i którzy z własnej woli podążyli za mną, gotowi umrzeć za króla i kraj. Książę to głupiec i chyba nie ma co oczekiwać, że kiedykolwiek postąpi inaczej niż głupiec. Ale do diaska, jak mógłbym udawać, że nie dostrzegam ludzi, którzy tak bardzo się poświęcili? Nie chcę, by to zabrzmiało śmiesznie, ale dzięki tobie widzę więcej jednym okiem, niż kiedykolwiek widziałem oboma. Czuję pokorę oraz wstyd.

- Naprawdę nie wiem, co na to odpowiedzieć - oznajmiła Sadie szczerze. - Nigdy nie chciałam, żebyś się tak czuł.

- Najwyższa pora. Rzucenie monety żebrakowi na ulicy nie wystarczy. Nigdy nie przeganiam z mojej ziemi powracających żołnierzy, bez względu na to, czy są zdolni do pracy, czy też nie. Nie wyrzucam też wdów po nich. Troska o swoich ludzi to powinność właściciela ziemskiego i wicehrabiego. Pozwoliłem sobie myśleć, że to wystarczy.

- Wielu nie zrobiło nawet tyle. - Sadie położyła dłoń na jego ramieniu.

- Czyżby? Wiesz, że mam miejsce w Izbie Lordów. Rzadko je zajmuję i nigdy nie zabieram głosu. Doszedłem do wniosku, że pora już na pierwszą przemowę. Pewnie przy okazji stracę kilku przyjaciół. Nadszedł czas, by Anglia nie ograniczała się tylko do spłacania idiotycznych długów księcia.

- Na pewno tego chcesz? Wolę nie myśleć, że cię do czegoś sprowokowałam.

- Moja droga - Darby uśmiechnął się. - Z zasady nie ulegam prowokacjom. No dobrze, z wyjątkiem tego wieczoru, gdy Gabe zagroził, że powie wszystkim, jakim jestem tchórzem, jeśli nie ukradnę należącego do dyrektora szkoły cylindra i nie umieszczę go na łbie konia sklepikarza. Musiałem wyciąć w cylindrze dwa otwory na uszy. W rezultacie obaj, ja i Gabe, zostaliśmy relegowani na resztę semestru. Zamiast jednak wrócić do domu na wsi i spotkać się ze słusznym gniewem Camy, pojechałem do Gabe'a. Byli tam Vivien i Basil, więc jedyna kara, jaka mnie spotkała, to wykład Basila na temat tego, że nie wolno dać się

przyłapać na robieniu czegoś, czego nie wolno robić. Pozwolę sobie przemilczeć przykłady, które przytoczył. Dość powiedzieć, że większość wiedzy na temat erotyki zdobyłem dzięki Basilowi i Vivien.

Rozchichotana Sadie opadła na wyjątkowo miękką kanapę.

- Nie potrafisz zachować powagi na zbyt długo, prawda? - spytała bez tchu. - Nic nie zdołasz na to poradzić.

- Chyba nie. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. - W tym samym momencie usłyszeli pukanie do drzwi. - Jak mi nie mam, przybyła gorąca woda na nasze kąpiele. Masz godzinę, Sadie, a potem wyruszamy na poszukiwania Sama Dobsona. Szczerze powiedziawszy, zaoszczędzilibyśmy mnóstwo czasu, biorąc jedną wspólną kąpiel.

- Puszczam tę sugestię mimo uszu - odparła.

Po chwili do pokoju weszło sześciu służących z wiadrami pełnymi gorącej wody. Połowa mężczyzn skierowała się do sypialni z prawej strony, a druga połowa do sypialni z lewej. Za nimi weszli pokojowiec i pokojówka w białym fartuszkach i czepku.

- Mam na imię Bettyann - przedstawiła się dziewczyna i dygnęła. - Czy jaśnie pani zechce iść za mną?

- Tak, dziękuję. - Perspektywa kąpieli i włożenia czystej odzieży wydała się Sadie szalenie atrakcyjna.

Gdy tylko służący wyszli, przelawszy wodę do wanny, Sadie zaczęła się rozbierać.

- Poradzę sobie, Bettyann - powiedziała, manipulując przy guzikach. - Gdybyś tylko zechciała sprawdzić, czy żółta suknia i niebieski żakiet nie są zbyt pogniecione. Myślę, że wystarczy je strzepnąć. Potem możesz powrócić do innych swoich obowiązków.

Pokojówka szybko zlokalizowała obie sztuki odzieży, które znajdowały się w niewielkim kuferku Sadie.

- Zniosę je na dół, do solidnego wyprasowania, jaśnie pani - oznajmiła Bettyann. - Ale przecież mam też pomóc jaśnie pani przy kąpieli.

Sadie przypomniała sobie ostrzeżenia Clarice na temat zachowania dam z wyższych sfer.

- Z pewnością poradziłabyś sobie fenomenalnie - odparła. -

Tak się jednak składa, że jego lordowska mość postanowił do mnie dołączyć i zaraz tu będzie.

Pokojówka przechyliła głowę i wysoko uniosła brwi, spoglądając na Sadie ze zdumieniem.

- Tak się składa, że... niedawno się pobraliśmy - dodała Sadie.

- Ale... Ach. Tak jest, jaśnie pani. - Bettyann zrobiła wielkie oczy. - Już wychodzę, a potem położę wyprasowane rzeczy w salonie, żeby... żeby nie przeszkadzać jaśnie panu.

Dygnęła i wypadła z pokoju. Sadie przeszło przez myśl, że pokojówka z pewnością pognąła prosto do kuchni, żeby opowiedzieć o jurnej parze arystokratów, którzy postanowili używać życia w jednym z apartamentów, więc należało się spodziewać czyszczenia zachlapanych wodą dywanów.

Zaciskając zęby, Sadie weszła do wanny i usiadła w gorącej wodzie. Następnie namydliła się szybko i opłukała. Przywykła do dwuminutowych kąpiei w małej, niewygodnej balii, które musiała brać w kuchni, jednym porządnie ogrzewanym pomieszczeniu w domu Johna.

Właśnie zawiązywała pasek szorstkiego szlafroka, gdy rozległ się szcęk otwieranych drzwi. Sadie odwróciła się błyskawicznie i na progu ujrzała Darby'ego w podobnym stroju.

- A miałem nadzieję, że zjawię się na tyle szybko, by pomóc ci w umyciu pleców - powiedział. - Cóż takiego zrobiłaś z Bettyann? Czyżbyś wyrzuciła ją przez okno?

Sadie poprawiła poły szlafroka, starannie zasłaniając dekolt.

- Jest bardzo młoda - powiedziała. - Nie chciałam przyspieszać jej edukacji.

- Ona pewniej przyspieszyłaby twoją - mruknął żartobliwie i zrobił krok w kierunku Sadie. Cofnęła się odruchowo, nie odrywając od niego wzroku. - Wyglądasz pięknie, Sadie. Jesteś świeża i kwitnąca, delikatnie zarumieniona po kąpieli, a kosmyki włosów uroczo przylegają do twojej długiej, łabędziej szyi.

Wyciągnął rękę i opuszkami palców zatoczył kilka kółek na wrażliwej skórze tuż za uchem Sadie.

- Zauważyłem, że to lubisz - powiedział cicho.

Zamknęła oczy i lekko przechyliła głowę, żeby ułatwić mu do-

stęp, po czym westchnęła, gdy się pochylił i ją pocałował.

- Naprawdę mamy na to czas? - spytała bez tchu, oszołomiona lawiną doznań.

- Na co, Sadie Grace? Cóż takiego masz na myśli, moja najdroższa i najpiękniejsza?

- Ja? To nie ja sugerowałam wspólną kąpiel.

- Ach, potraktowałaś to jako wstęp do uwiedzenia, prawda? - zażartował.

Położył ręce na ramionach Sadie i pogłaskał ją kciukami po obojczykach.

- Wszedłeś... wszedłeś bez pukania i nic nie masz pod szlafrokiem... - wyjąkała.

- Jakkolwiek patrzeć, ty jesteś podobnie ubrana... a raczej rozebrana - zauważył. - Może nazwiemy to szczęśliwym zbiegiem okoliczności? Jak się na to zapatrujesz?

Sadie ani myślała odpowiadać na bezczelne pytanie Darby'ego. Bez wahania wyciągnęła ręce, chwyciła go za poły szlafroka, który następnie zdarła jednym stanowczym ruchem, pilnując jednak, by nie pozbawić przyszłego męża całego przyodziewku. Darby stał teraz przed nią z unieruchomionymi przez szlafrok rękami i obnażonym torsem.

- I co teraz sobie myślisz, Sadie Grace? - zapytał przekornie.

- Koniec z myśleniem - poinformowała go stanowczo. - Mówieniem również.

Wspięła się na palce i złożyła na jego ustach gorący pocałunek.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Sadie poruszyła się w ramionach Darby'ego, gdy promień słońca wędrujący po łóżku w końcu dotarł do jej twarzy.

- Czy jest już ranek? - spytała, rozleniwiona snem, który ją zmorzył po wyczerpującej podróży i rozkosznych chwilach z Darbym. - Niech słońko sobie pójdzie.

- W innych okolicznościach twoje życzenie byłoby dla mnie rozkazem, ale obawiam się, że odprawienie słońca nie leży w zasięgu moich możliwości - odparł rozbawiony Darby, który z kolei nie spał ani przez moment, zbyt zajęty podziwianiem urody ukochanej. - To nie poranek, Sadie Grace, lecz późne popołudnie. Musimy wyruszyć na poszukiwania Sama Dobsona. Chyba nie zapomniałaś?

- Wielkie nieba! - Raptownie usiadła na łóżku. - Dlaczego pozwoliłaś mi spać?

- Byłaś zmęczona. - Wstał i sięgnął po szlafrok. - Pojawiliśmy się w Brighton zbyt późno na poranną wizytę i zbyt wcześnie na wieczorne spotkanie. A poza tym najchętniej trzymałbym cię w ramionach zawsze i wszędzie. - Zawiązał pasek. - Tak, naprawdę chciałbym tulić cię i całować bez końca, od rana do wieczora, każdego dnia.

- Jesteś niemożliwy... Zresztą już to wiesz. Musimy się ubrać... - westchnęła. - Moje włosy zapewne wyglądają okropnie, trzeba będzie coś z nimi zrobić...

- Prezentują się absolutnie prześlicznie. - Ucałował ją w policzek, po czym ruszył do swojego pokoju. - Nadal jest zbyt wcześnie, by zapukać do drzwi Dobsona, więc zamówię lekką przekąskę i za dziesięć minut spotkamy się w salonie. - Odwrócił się do drzwi, a Sadie momentalnie wyskoczyła z łóżka i włożyła szlafrok. - Dlaczego za mną idziesz?

- Muszę się rozruszać - odparła. - I ubrać, jak się zapewne zdążyłaś zorientować. Poza tym chętnie napiję się herbaty. Po-

trzebuję czegoś, co mnie rozbudzi.

- Bez obaw, Sadie Grace, wkrótce o to zadbam.

Przewróciła oczami.

- Darby, nie mamy czasu na ponowne...

- Na Boga, kobieto, myślisz tylko o jednym? - Westchnął z udawanym oszołomieniem. - Stworzyłem potwora.

Wzdrygnął się z komiczną przesadą i uśmiechnął, wchodząc do salonu. Teraz przynajmniej Sadie była zupełnie rozbudzona, bo zdążył ją zirytować.

Wiedział, że powinien jej wyjawić całą prawdę o sobie, zwłaszcza że zapewne i tak się czegoś domyślała. Jak jej się to udawało? Cóż, ostatnio sama skrywała ważną tajemnicę, więc zapewne potrafiła rozpoznać charakterystyczne oznaki braku całkowitej szczerości.

Darby wezwał służbę i zamówił herbatę, a następnie skupił się na wiązaniu fularu, który ułożył na kształt kaskady.

- Wydawało mi się, że słyszę pukanie - oświadczyła Sadie kilka minut później i weszła do salonu, zamykając za sobą drzwi do sypialni.

- I owszem, możemy już nacieszyć się herbatą, Sadie Grace. - Wskazał jej kanapę przy niskim, okrągłym stoliku, na którym służba przed chwilą zostawiła przekąski. - Tylko mi nie mów, że posłałaś łóżko, aby nie zawstydząć nieszczęsnej Bettyann.

- Przyznaję, że to było trudne wyzwanie, ale udało mi się powstrzymać ten naturalny odruch - odparła. - Pamiętaj, że odkąd sięgam pamięcią, zawsze sprzątałam po sobie, gdyż nie było nikogo, kto mógłby mnie wyręczyć. Dlatego muszę stopniowo przyzwyczajać się do niechlujstwa. Jak rozumiem, tobie to przyszło w sposób jak najbardziej naturalny? - odgryzła się, siadając obok niego. - Nalałeś już herbaty? Dziękuję.

- Uff, znowu mi się dostało - odparł cierpiętniczym tonem. - A co do herbaty, bardzo proszę. Cała przyjemność po mojej stronie. Sadie Grace, mógłbym ci coś powiedzieć?

Dostrzegł w jej oczach zaciekawienie, gdy patrzyła na niego znad eleganckiej filiżanki.

- Chyba tak - odparła.

- Chciałbym coś wyznać. Chodzi o sprawę, którą zapewne po-

winiem był poruszyć już dawno temu...

Sadie uniosła dłoń i przykryła nią rękę Darby'ego. Dopiero wtedy dotarło do niego, że nieświadomie pocierał skroń.

- Pomogę - szepnęła.

Nim zdążył odpowiedzieć, że nie ma takiej konieczności, stanęła za jego plecami i rozwiązała opaskę.

- Tylko przeszkadza - wyjaśniła, a niepotrzebna już opaska opadła na kolana Darby'ego. - Patrz przed siebie. Czasami łatwiej jest mówić, kiedy nie widzi się rozmówcy.

- Nie jestem jedyną niemożliwą osobą w tym pomieszczeniu, Sadie Grace... - westchnął ciężko, ale dał za wygraną i posłusznie znieruchomiał. - Już się domyśliłaś?

- Tego, że u podłoża twoich bólów głowy nie leży rana? - spytała. - Tak, wpadłam na to. Miewasz je od bardzo dawna, prawda?

Darby zrozumiał, że jeśli teraz nie zdobędzie się na szczerość, być może już nigdy nie odnajdzie w sobie odwagi.

- Od dziesiątego lub jedenastego roku życia - potwierdził. - Wtedy zacząłem sobie przypominać... Dopiero po latach udało mi się poskładać wszystkie elementy układanki. Koszmary, bóle głowy...

Przesunęła dłonie na jego ramiona i zaczęła je masować, z początku delikatnie, potem nieco mocniej.

- Nigdy nie wspomniałeś o tym ani Gabe'owi, ani nikomu innemu, zgadza się? Nikt nic nie wie. Czy na pewno jesteś gotowy mi powiedzieć? - zapytała ostrożnie.

- Wszyscy domyślali się prawdy o moim... nieszczęśliwym dzieciństwie. Ale nie, nigdy im nie mówiłem, a oni nie naciskali. Ty też nie naciskasz, Sadie Grace, i jestem ci za to wdzięczny.

- Ja tobie również, za to, że mnie wysłuchałeś. Uleczyłeś mnie.

- Więc wybaczyłaś Johnowi?

- Nie, jeszcze nie - przyznała. - Ale wybaczyłam sobie, a to chyba było najtrudniejsze. Reszta przyjdzie z czasem.

- Wybacz sobie, a potem będzie z górki. Obyś miała rację! - Odetchnął. - Tak na marginesie, masz wyjątkowy, niemal magiczny dar. Nie przerywaj, proszę.

- Nie przerwę, Darby, ale musisz wreszcie zacząć mówić. Wiem, że to najtrudniejsze. Czego tak bardzo pragnąłeś nie pamiętać?

Ból głowy nadal próbował go dopaść, ale tracił moc. Darby wyobraził sobie, że robi się coraz silniejszy, potężniejszy, walczy z bólem i nie daje za wygraną.

- Miałem siedem lat - zaczął. - Byłem mniej więcej w wieku Marley, kiedy rozpadł się mój świat. Żałuję, że kogoś nie kopnąłem - a może to zrobiłem, ale nie pamiętam. Trudno powiedzieć.

- Z twoich słów wynikało, że zamieszkałeś w domu na wsi, kiedy miałeś siedem lat - przypomniała mu Sadie. - Czy Camy i jej mąż wiedzieli, dlaczego cię tam sprowadzono? Od pierwszego dnia było dla mnie jasne, że darzą cię głębokim uczuciem. Nie mogli ci jakoś pomóc?

- Chcieli, ale znali tylko jeden powód mojego stanu, podany im przez mojego ówczesnego opiekuna, wuja, który nigdy mnie nie odwiedzał i zmarł tuż po tym, jak osiągnąłem pełnoletniość. Chyba powinnaś wiedzieć coś jeszcze. Przestałem mówić. Nie wypowiadałem nawet pojedynczych słów, dopóki nie skończyłem dziesięciu lat. Niespełna rok później posłano mnie do szkoły.

Palce Sadie znieruchomiały na jego skroniach.

- Jak to przestałeś mówić? - powtórzyła, oszołomiona. - Przez trzy lata nie powiedziałaś ani słowa?

- Od tamtego czasu to nadrobiłem, i to z nawiązką, jak twierdzą niektórzy. - Uśmiechnął się. - Ale owszem, milczałem jak zaklęty. Mówiło się o umieszczeniu mnie w jakiejś placówce, lecz doktor Whiting, miejscowy lekarz, którego wzywała do mnie Camy, twierdził, że wszystko ze mną w porządku i że zacznę mówić, gdy będę miał coś do powiedzenia. Jak się nad tym dobrze zastanowić, bardzo przypominał Johna.

- Przepraszam, Darby, że znowu ci przerwę - wtrąciła Sadie - po prostu muszę natychmiast podziękować Bogu za Camy. To dobrze, że tak cię chroni.

- Niczym smoczyca. A ty zdałaś test, którym cię zaskoczyła pewnego popołudnia. Powinienem był się wtedy domyślić,

prawda?

- Czego domyślić? - zdumiała się Sadie.

- Niczego - zbył ją. - Tak jak mówiłem, moje wspomnienia tamtego dnia powracają partiami, fragment po fragmencie, a trwa to latami. Oszczędzę ci szczegółów, po prostu zacznę od początku.

- Chodzi ci o bóle głowy - domyśliła się Sadie.

- To poważny kłopot. Pojawiają się w najmniej stosownych momentach, może jako wyrzut sumienia. No dobrze, miejmy to już z głowy.

Wyprostował się i nie założywszy opaski, odwrócił się do Sadie. Właściwie zapomniał, że powinien zasłonić oko, ale jakie to miało znaczenie, skoro odsłaniał przed nią duszę?

- Spędzaliśmy lato w naszej posiadłości - zaczął. - Bardzo mnie to cieszyło, gdyż dzięki temu widywałem się z rodzicami raz dziennie na dziesięć minut. W tym czasie mogłem się ukłonić, wyrecytować coś, czego się nauczyłem tego dnia, i dostać od matki całusa w czoło. Potem wracałem do swojego pokoju. Matka była bardzo piękna i pachniała kwiatami, przynajmniej tak mi się wydaje, a jej śmiech przypominał dzwoneczki. Rodzice nie zabierali mnie ze sobą do Londynu na sezon i widywałem ich tylko przez tych kilka letnich tygodni, a potem na Gwiazdkę, chyba że byli zaproszeni gdzie indziej. Tamte dni, gdy wzywano mnie do głównego salonu na występ i pocałunek, na zawsze wryły się w moją pamięć - podkreślił Darby.

- Moi rodzice byli dość egzotyczni - ciągnął po chwili. - Trochę jak para ptaków Basila. Rozpierała mnie duma, że mam takiego ojca i taką matkę, nawet kiedy ojciec się upierał, że każdej niedzieli koniecznie musimy przesiadywać godzinami w kaplicy. Wierzył, że przez cały tydzień człowiek może robić, co mu się żywnie podoba, pod warunkiem że w niedzielę wyzna przed Bogiem, jak bardzo tego żałuje. Nawet nie podejrzewasz, jak nie cierpiałem tych odrażających maszkaronów. Wszystko skończyło się pewnego dnia, kiedy mój guwerner, pan Trembley, kazał mi iść do łóżka i się zdrzemnąć, choć wcale tego nie potrzebowałem. Kiedy zatem piastunka spała, głośno chrapiąc, w fotelu obok mojego łóżka, wymknąłem się z pokoju i zbiegłem scho-

dami dla służby, żeby pobawić się w ogrodzie.

Sadie uśmiechnęła się do niego i oparła policzek o jego pierś.

- Ścigałem motyla, kiedy usłyszałem głos matki - kontynuował. - Brzmiał dziwnie. Krzyczała, więc pobiegłem sprawdzić, co się dzieje. Wkrótce ją znalazłem i... przez dłuższą chwilę tylko się wpatrywałem. Myliłem się - nie krzyczała ze strachu ani nie wzywała pomocy. Przeciwnie, wydawała się bardzo szczęśliwa. Ja jednak tego nie rozumiałem, więc zacząłem wrzeszczeć: „Przestań! Zejdź z mamy, bo cię zabiję!”, a potem skoczyłem panu Trembleyowi na plecy, waląc go pięściami po głowie.

- Och, Darby... - jęknęła Sadie. - O mój Boże.

Postanowił opowiedzieć resztę najszybciej, jak to możliwe.

- Wrzeszczałem, Trembley ryczał, abym się uciszył, a matka krzyczała z przerażenia i usiłowała obciągnąć suknię - wyliczał Darby. - Zapanował kompletny chaos, wręcz piekło na ziemi, ale rodem z kiepskiej farsy. W końcu pojawił się mój ojciec. Właśnie wrócił z polowania na kuropatwy czy inne ptactwo i szedł przez ogród. Miał przy sobie strzelby myśliwskie, przełamane, przerzucone przez ramię, niemniej nabite. Zobaczył mnie i kazał mi wracać do domu, ale odmówiłem. Mama zasłaniała się mną jak tarczą, z czego zresztą zdałem sobie sprawę znacznie później, dopiero po latach. Powiedziałem ojcu, że pan Trembley krzywdził mamę, więc rzuciłem się jej na pomoc, ale ojciec tylko się zaśmiał i znów kazał mi wracać. Powiedział, że sam zajmie się mamą. Potem złożył jedną ze strzelb i wycelował ją w Trembleya.

- Byłeś wtedy dzieckiem - szepnęła Sadie. - Nie możesz się obwiniać za to, że posłuchałeś ojca.

- Wręcz przeciwnie, Sadie. Sądziłem, że ojciec zastrzeli Trembleya za to, co zrobił mojej matce, i bardzo mnie to cieszyło. Ponieważ jednak chciałem popatrzeć, zamiast wrócić do domu, ukryłem się za jednym z cisów. Siedmiolatki pałają żądzą krwi. Nawet śrut jest skuteczny z bliskiej odległości, wymierzony w odpowiednie miejsce. Trembley padł pierwszy. Matka wrzeszczała, błagając o litość, ale nic nie mogło jej uratować. Drugi wystrzał był najgłośniejszym dźwiękiem, jaki kiedykolwiek słyszałem, dopóki nie wyjechałem na wojnę. Kilka godzin później,

gdy kamerdyner znalazł mnie na kamiennej podłodze w kaplicy, wciąż próbowałem wyjaśnić maszkaronom, że tata bardzo żałuje, i prosiłem je, aby wszystko naprawiły.

- Och, Darby...

- Kamerdyner poinformował mnie, że jako nowy wicehrabia mam ruszyć zadek z podłogi, bo pora iść. Najwyraźniej zachorowałem w zimnej kaplicy, bo obudziłem się dopiero tydzień później. Powiedziano mi wtedy, że rodzice zmarli na tę samą gorączkę, która dopadła i mnie. Nie zaprzeczałem, chociaż nawet jako dziecko nie wątpiłem, że ojciec zabił się po tym, co uczynił. Wkrótce wysłano mnie do domu na wsi. Teraz wiem, a przynajmniej wydaje mi się, że wiem, co się ze mną działo. Wierzyłem, że gdybym wówczas milczał, rodzice nadal by żyli. Dlatego przestałem mówić i wspominać tamto zdarzenie. Tak to wyglądało.

- A potem przyszły bóle głowy - zauważyła Sadie.

- Tak, potem przyszły bóle głowy - powtórzył. - Widzisz, właściwie miałem rację. Gdybym zachowywał się grzecznie i pozostał w pokoju dziecięcym, nie rzuciłbym się na guwernera i tak dalej, a moje życie wyglądałoby zupełnie inaczej. W gruncie rzeczy uratowali mnie koledzy, zwłaszcza Gabe. W szkole ulokowano mnie z nim w jednym pokoju. Gabe zawsze wciągał mnie we wszystkie psoty, które obmyślał pospołu z Rigbym, a było ich krocie. Poza tym pozostawałem pod wpływem Vivien i Basila, niemądrych lekkoduchów. Życie było po to, żeby się nim cieszyć, zatem się cieszyłem. Dlaczego miałem obciążać wszystkich prawdą, kiedy już ją sobie przypomniałem? Szczerze mówiąc, Sadie Grace, widzisz przed sobą w zasadzie szczęśliwego człowieka. Szczęśliwego człowieka i szczęściarza w jednym, jak mawiam.

- Chyba że akurat boli cię głowa - zauważyła cicho. - Serce mi się kraje, gdy myślę o tym małym chłopcu, którym byłeś, ale jestem z ciebie dumna. Przyjaciele cię kochają, podobnie jak ich książęce moście, Camy i jej mąż. A skoro mowa o miłości... Chciałabym dodać siebie do tej listy. Kocham cię, Darby. Pewnie kochałam cię już wtedy, gdy pragnęłam natrzeć ci uszu.

Patrzył na nią długo, bez słowa, aż nagle zdał sobie sprawę,

że niewyraźnie widzi, gdyż nie ma opaski, i szybko zasłonił rannione oko dłonią.

Sadie chwyciła go za rękę i ją opuściła.

- Tę część ciebie również kocham - zadeklarowała. - I co? Nic nie odpowiesz?

Czekała w napięciu.

- Czyżbyś chciała usłyszeć coś w szczególności? - spytał z humorem.

Odrzuciła głowę i wybuchnęła śmiechem, a Darby pomyślał, że jego Sadie Grace jest niezwykłą kobietą. Potrafiła sprawić, że słońce wychodziło zza chmur i rozjaśniało wszystkie ponure zakątki.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

- Kocham cię. Ile już razy to powiedziałem?

Sadie rozejrzała się po pogrążonym w półmroku wnętrzu do-
rożki, udając, że liczy na palcach.

- Myślę, że trzydzieści dwa - odparła.

Darby pochylił się i ucałował ją w policzek.

- Zatem spróbuję zrobić z tego równe trzy tuziny, nim wróci-
my do hotelu - zadeklarował. - Czy już rozważyłaś, co powiesz
Samowi Dobsonowi?

- Gratuluję, Darby. Przez większość dnia z powodzeniem uda-
wało ci się oderwać moje myśli od tej sprawy. Jak sądzisz, co
powinnam mu powiedzieć? Jakaś część mnie nadal się obawia,
że Dobson zażąda przekazania mu Marley.

- Och, najwyraźniej zapominasz, że u twego boku stoi wysoki
i krzepki wicehrabia - powiedział Darby. - Cieszę się, że zrobię
na tobie wrażenie swoją siłą perswazji.

- Chodzi o twoją siłę jako taką, czy też o niepokojącą umiejęt-
ność przekonywania ludzi, by myśleli tak jak ty? - zapytała. -
A zanim poprosisz o przykład, pozwól, że ci coś przypomnę.
Otóż nasz najdroższy Basil wierzy teraz, że się uratował od nie-
istniejącej klątwy, a Vivien już kupuje nowe stroje do swojej
garderoby, z myślą o tym, by pasowały do wielbłądów. Komplet-
nie zapomniała, że Madame Royale nie była prawdziwą jasno-
widzką. Przyznaję, że to mnie zdumiewa.

- Ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć, lub w to, w co muszą
- zauważył. - Teraz ja chcę wierzyć, że Sam Dobson jest zmę-
czonym staruszką, któremu złamiemy serce, ale powiemy
też, że jego Susan dalej żyje w Marley. Czy jesteś przygotowana
na to, co nie będzie zbyt miłą pogawędką, zwłaszcza gdy go po-
informujemy, że naszym zdaniem jego życie jest w poważnym
niebezpieczeństwie?

- Nadal próbuję przekonać samą siebie, że nie jedziemy na

pogrzeb – odparła. – Choć minęły lata, pan Dobson dopiero teraz się dowie o śmierci Susan. Biedaczysko.

– Może trzeba było zabrać Marley? – Zmarszczył brwi. – To by złagodziło cios. Tak czy inaczej, chyba jesteśmy na miejscu.

Sadie wyjrzała z powozu i zobaczyła rząd eleganckich szeregowych domów.

– Jakie piękne! – zachwyciła się. – Który to?

Darby podał jej numer.

– W pobliżu jest dom mojego ojca czy też raczej mój dom – zauważył. – Jak się dowiedziałem, ojciec i księżę regent nie byli bliskimi przyjaciółmi, ale dogadywali się na tyle dobrze, że ojciec postanowił sprawić sobie dom w tej okolicy. Nigdy go nie widziałem, w końcu przez pięć lat byłem na wojnie. Budynek od lat jest wynajmowany, ale mogę w przyszłym roku rozwiązać umowę, jeśli chcesz, żebyśmy sprowadzili Marley nad morze.

Sadie ze zdumieniem pokręciła głową.

– Gdyby jakiś inny mężczyzna powiedział to, co ty przed chwilą, uznałabym go za nadętego samochwałę – oświadczyła. – Darby, nie ma nic złego w tym, że jesteś wicehrabią. Tytuł wiąże się z urodzeniem. To nie twoja wina, że twoi przodkowie... byli przeraźliwie bogaci. Ważne jest to, co robisz z majątkiem.

– Rozumiem, że w ten przydługi sposób wyrażasz zgodę na przywiezienie tu Marley w przyszłym roku. Dziękuję. Mam doskonałego zarządcę majątku, a właściwie trzech. Naprawdę jestem zadowolony z ich pracy, niemniej przyznaję ci rację. Muszę wreszcie przestać unikać tego, kim jestem. Byłem szczęśliwy jako uczeń i student, dobrze radziłem sobie w wojsku, ale od ponad roku właściwie nic nie robię. Wydaje mi się, że moglibyśmy zacząć od wyprawy do Nailbourne. Kocham cię, Sadie Grace. Powtórzę to jeszcze trzy razy przed zachodem słońca. A teraz zapukajmy do drzwi pana Dobsona i doprowadźmy sprawę do końca najszybciej i najlepiej, jak się da.

Zeskoczył na chodnik i po zapłaceniu dorożkarzowi kazał mu zaczekać.

Sadie wysiadła z pomocą Darby'ego, po czym weszli po trzech marmurowych schodkach i stanęli przed białymi drzwiami.

- Sadie, patrz - mruknął Darby.

Natychmiast zauważyła szeroką, czarną wstążkę, owiniętą wokół kołatki.

- Och, nie - jęknęła. - Myślisz, że on...

- Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć.

Załomotał kołatką i niespełna minutę później na progu stanęła rumiana kobieta, wycierając przyprószone mąką ręce o obszerny biały fartuch.

- Wicehrabia Nailbourne z żoną na spotkanie z panem Dobsonem - oznajmił Darby.

- Pan Dobson nie przyjmuje - powiedziała z liverpoolskim akcentem. - W żałobie jest.

- Szalenie nam przykro, dobra kobieto. - Darby bezceremonialnie wszedł do wąskiego holu, a Sadie podążyła tuż za nim. - Czy wolno mi spytać o tożsamość denata?

Kobieta, zapewne pokojówka lub kucharka, zmrużyła oczy, jakby usiłowała zrozumieć obcokrajowca.

- A! - wykrzyknęła w końcu. - Że niby kto umarł, tak? To nie mógł powiedzieć po ludzku? Ano, panna Susan, ale nie dziś i nie wczoraj. Biedaczysko się dopiero co dowiedział i tak będzie ze dwa tygodnie, jak z łóżka nie wstaje. Tak jak ja to widzę, to lada dzień umrze, bo mu serce pęknie. Nikt już tu nie pracuje, tylko ja i jedna taka pokojówka, wałkoń i obibok, coby w domu cicho było. A teraz to jaśnie państwo już sobie idźta, co?

- Agatho? Słyszałem kołatkę. Z kim rozmawiasz?

Sadie i Darby podnieśli wzrok i na podeście długich, stromych schodów ujrzeli mężczyznę, który stał z rękami na poręczy.

- Witam - zawołał radośnie Darby. - A niech mnie, czyżbyśmy przyszli parę minut za wcześnie? Lord i lady Nailbourne, do usług, na umówione spotkanie z panem Dobsonem. To na pewno nie pan, więc proszę go powiadomić.

- Stryj Samuel nikogo nie przyjmuje.

- Au contraire, mój pocziwcze. - Darby sięgnął do kieszeni. - Mam tutaj zaproszenie od niego, jeśli nieroztropnie powątpiewa pan w moje słowa. Jako wicehrabia nie przywykłem, by ktoś

kwestionował to, co mówię. Pan Dobson gorąco zapragnął poznać moją uroczą małżonkę oraz mnie po tym, jak napisałem mu o jego wnuczce.

Sadie wstrzymała oddech. Darby bez trudu potrafił zrobić głupca z człowieka, który nie przypadł mu do gustu. Nie przypuszczała, że tak szybko wyjawi informację o istnieniu Marley, i to jeszcze diabli wiedzą komu, choć dałaby głowę, że ma przed sobą Ellesmere'a Odlinga. Nieznajomy był wysoki, chudy jak patyk i ubrany w fatalnie skrojoną odzież. Na jego prawym ramieniu Sadie zauważyła czarną opaskę żałobną. Bardziej przypominał przedsiębiorcę pogrzebowego niż kogoś, kto kieruje imperium węglowym.

- Co robisz? - wyszeptała, starając się nie poruszać ustami.

- Nie przepadam za tym osobnikiem - odparł Darby równie dyskretnie.

- Tak, zorientowałam się. Ale co robisz?

- Poza tym, że cierpię, bo szyja mnie boli od zadzierania głowy? Idę na górę, a ty pójdziesz za mną.

- Nie powinnam iść pierwsza, żebyś mógł mnie złapać, jeśli spadnę? - zapytała.

- W istocie, Panno Mądralińska. Ponieważ jednak wątpię, byś była skłonna chwycić tego jegomościa za tę żalną chustkę, której nie sposób nazwać fularem, i zaciągnąć go do salonu Dobsona, najlepiej będzie, jeśli pójdziesz za mną i będziesz trzymała się z tyłu.

- To chyba rozsądne - jak na ciebie - mruknęła, po czym uniosła suknię i uśmiechając się do speszzonej Agathy, podążyła za Darbym.

Zgodnie z zapowiedzią Darby zbliżył się do Odlinga, wyciągnął rękę i natychmiast zacisnął palce na jego fularze.

- Twoja siostra też tu jest, Ellesmere? - warknął groźnie. - Masz na imię Ellesmere, dobrze mówię? Okropnie. Wybaczyłeś już rodzicom?

- Proszę mnie puścić! - pisnął Odling.

- Raczej nie. Zawołaj ją. Widzę, że schody sięgają strychu, więc z pewnością cię usłyszy. Śmiało, krzyknij na nią. „Och, Edythe, proszę, dołącz do mnie w salonie, najdroższa sio-

strzyczko!”. No, już.

- Zabije nas pan?

- Jeszcze nie wiem. - Darby się odwrócił i spojrzał na Sadie. - Zabijemy ich? Zależy to wyłącznie od ciebie, moja droga.

- Chyba... powinniśmy iść do salonu, kiedy już zawoła pannę Odling. - Zabrzmiało to okropnie niezręcznie, zwłaszcza na tle wypowiedzi Darby’ego, który radził sobie po prostu wspaniale.

- Tam się zastanowimy, czy należy ich zabić.

- Moja szkoła - pochwalił ją.

- Edythe! - Odling odkaszlnął, gdyż jego głos zabrzmiał skrzekliwie i niewyraźnie. - Edythe! - spróbował ponownie. - Mamy gości! Przyjdź tu! Błagam!

- Błagam? - powtórzyła Sadie, gdy szli do małego saloniku, gdzie Ellesmere usiadł pierwszy, gdyż Darby mocno pchnął go na krzesło. - Czy nie zaczynasz się zastanawiać, kto tutaj rządzi?

- Też zwróciłaś na to uwagę? - spytał Darby. - Wątpię, by obecny tu Ellesmere miał większe prawo głosu niż ryba. Sadie, gdy tylko zjawi się jego siostra, ruszaj na poszukiwania Sama Dobsona. Kucharka uważa, że ten nieszczęsny człowiek umiera.

- Może tak jest? - zasugerowała Sadie.

- Kto wie. A może ktoś mu pomógł stanąć u nieba bram. Nasz drogi Ellesmere stanowczo za bardzo się denerwuje.

- Wielki, groźny pirat z opaską na oku i cieniem zarostu właśnie wpadł w jego progi i niemal go udusił. Pewnie, że się denerwuje! - Roześmiała się. - Spójrz na niego. Ani drgnie, choć stoimy tuż przy nim i zastanawiamy się głośno, czy zakończyć jego nędzny żywot.

- Zatem zgadzamy się, że czeka na posiłki - podsumował Darby. - Zasłonię cię i czymś go zajmę, a ty stań przy drzwiach. Gdy tylko zjawi się jego siostra, natychmiast idź po schodach na górę. Dobson znajduje się zapewne piętro wyżej. Dasz sobie radę, Sadie Grace.

- Wiem - odparła z rozdrażnieniem.

- Teraz! - syknął, gdy dał się słyszeć stukot obcasów.

Sadie szybko ustawiła się przy ścianie obok drzwi i po chwili do pokoju niemal wtoczyła się ubrana w czerń opasła kobieta

z siwym kokiem.

- Udało się, Ellesmere! - krzyknęła radośnie i zamachała w powietrzu cienkim plikiem dokumentów. - W końcu je podpisał. - Dopiero wtedy zauważyła Darby'ego. - A pan to kto i co robi w moim domu? - warknęła złowrogo.

- W pani domu? Odniosłem wrażenie, że właścicielem domu jest pan Samuel Dobson. - Darby podszedł do kominka i oparł się o półkę. - Przyszedłem się z nim zobaczyć na jego zaproszenie.

- To niemożliwe. Ellesmere, nie siedź tak! Wyrzuć stąd tego przeklętego intruza!

- Panno Odling, proszę nie patrzeć na brata, tylko na mnie - upomniał ją Darby aksamitnym głosem. - Zaraz wszystko pani wyjaśnię.

Sadie zdążyła już wymknąć się z pokoju i właśnie wchodziła po schodach. Tuż za nią szła Agatha.

- Nie zrobię mu krzywdy, Agatho - zapewniła ją Sadie. - Chcę tylko zamienić z nim parę słów.

- O wnusi, tak? Sam to powiedział. To prawda?

-Tak, to prawda. Gdzie on jest?

- Po schodach i w lewo. Od razu mi się pomyślało, że coś tu śmierdzi, jak tylko oni się tu zjawili i wszystkich wygnali. Zostawili tylko mnie i jeszcze taką jedną pokojówkę, wałkonia i obiboka. I nie dziwota, bo bez kucharki nie idzie jeść, nie? A ja to robię dla pana Sama już będzie ze czterdzieści lat, i tu z nim przyjechałam. Jemu to mało serce nie pękło, jak się o Susan dowiedział.

- Kiedy się zjawili? - zapytała zadyszana Sadie, gdy dotarła na szczyt schodów.

- Będzie ze dwa tygodnie, może więcej. Pan Sam mówi, że im nie wierzy, ale po mojemu wierzy. Ale papierów żadnych to nie podpisze, co to, to nie.

Sadie zamarła z dłonią na klamce. Przypomniała sobie, jak Edythe z triumfalną miną wymachiwała dokumentami.

- Jakich papierów? - zapytała Agathę.

- A mnie tam niech jaśnie pani nie pyta, bo ja wiem tyle tylko, że pan Sam ich nie podpisze. Tak mi powiedział. Powiedział:

„Aggie, ale papierów nie podpiszę”. A potem zaczął coś tam gadać o sępach, co to niby nad nim wiszą, choć jeszcze do grobu nie trafił, ale niewiele z tego pojęłam.

- A teraz choruje. Jak czuł się pan Sam, nim powiedziano mu o śmierci córki?

Kucharka przyglądała fartuch okrywający jej obfity biust.

- Czuł się tak dobrze, że ganiał za mną, póki mu nie pozwoliłam, iżby mnie dogonił - odparła z zadowoleniem. - Mówiłam, że będzie czterdzieści lat, jak jestem przy nim. Przyjechaliśmy tu, jak ta jego jędrza żoneczka wykitowała i nikomu nic do nas, jak powiada pan Sam.

- Pan Sam ma słuszość. Może powinnaś wejść pierwsza?

Sadie podążyła za kucharką do dość dużego, lecz zatęchłego pokoju. Gdzieś w kącie musiał stać przepełniony nocnik, a silny odór potu świadczył o tym, że pan Dobson nie mył się od wielu dni. Zastony były zaciągnięte, na gustownym kominku ledwie tlił się ogień, a na stoliku przy łóżku paliła się jedna świeczka.

- Wielkie nieba, Agatho. - Sadie powachlowała się dłonią. - Odsuń te zastony i otwórz wszystkie okna. Pan Samuel Dobson? - Podeszła do łóżka. - Nazywam się Sadie Hamilton i jestem siostrą Johna Hamiltona. Czy pan mnie słyszy?

Obeszła łóżko i na stoliku ze świecą zauważyła szklanekę, łyżkę i małą brązową buteleczkę. Sadie była pewna, że wie, co ona zawiera, jeszcze nim ją podniosła, odkorkowała i przystawiła do nosa. Laudanum. Niestety, świetnie знаła ten zapach i skutki zażywania medykamentu.

- Proszę pana? - Położyła rękę na ramieniu pana Dobsona, który jęknął cicho, gdy nim potrząsnęła.

- Ejże, a co to jaśnie pani wyrabia? - oburzyła się kucharka. - Nie potrzeba budzić śpiącego.

- On nie śpi, Agatho, tylko jest odurzony laudanum. Ci ludzie podali mu opium, żeby siedział cicho. Gdy dochodził do siebie, podsuwali mu dokumenty do podpisania, a gdy nie chciał, durnyli go z powrotem. Teraz podpisał papiery i stał się niepotrzebny. To potwory! Postaw krzesło przy oknie i pomóż mi go podnieść. Musi tam usiąść. I... idź po kawę! Z pewnością masz w domu kawę. Kiedy posadzimy pana Dobsona przy oknie, po-

wiedz pokojówce, wałkoniowi i obibokowi, że jeśli nie chce stracić pracy, ma natychmiast przynieść dzbanek kawy, a potem wracaj tutaj. Agatho, nie stój tak. Pomagaj!

Gdy dziadek Marley siedział już bezwładnie na krześle, a Agatha pobiegła do kuchni, Sadie wróciła do łóżka i złapała łyżkę.

Przede wszystkim musiała obudzić Dobsona. W tym celu wylała mu na głowę wodę z dzbanka, który dostrzegła na toalecie w kącie. Pan Dobson zakrztusił się i rozkaszał, a wtedy Sadie chwyciła go za siwe włosy i wpackowała mu do ust łyżkę, tak głęboko, że natychmiast zwymiotował.

- Już jestem, jaśnie pani! - zawołała Agatha bez tchu. - Święci pańscy, ale bałagan. Proszę pana? Panie Samie, jak tam pan?

- Myślę, że z tego wyjdzie - oznajmiła Sadie. - Kiedy jednak będziesz podawała mu kawę, rób to powoli i przez cały czas staraj się z nim rozmawiać. Powiedz mu o Marley. Ma siedem lat i wygląda kubek w kubek jak swoja mama. Zapamiętasz? Ja muszę biec na dół.

- Ma się rozumieć, jaśnie pani - odparła Agatha przez łzy. - Nic z tego nie pojmuję, ale dziękuję jaśnie pani. Z całego serca dziękuję.

Sadie szybko podejmowała decyzje i mogła tylko mieć nadzieję, że nie popełniła jakiegoś błędu w trakcie otrzeźwiania pana Dobsona. Na dodatek pozostawiła Darby'ego sam na sam z przedsiębiorcą pogrzebowym i wiedźmą. W drodze do schodów złapała mosiężny lichtarz, tak na wszelki wypadek.

Jej obawy okazały się nieuzasadnione.

Kiedy weszła do salonu, Darby właśnie wrzucał do ognia kolejne dokumenty, którymi wcześniej wymachiwała Edythe Odling.

- Gdzie oni są? - spytała Sadie, rozglądając się w poszukiwaniu rodzeństwa z piekła rodem.

Darby odwrócił się od kominka w chwili, gdy płomienie pochłaniały ostatnią kartkę.

- Miałem ich tu zatrzymać? - zapytał. - Nie sądziłem, że pragnęłaś wygarbować im skórę. Mogę kazać im wrócić, jeśli chcesz spuścić im manto. Więc jak?

- Co takiego? - Sadie popatrzyła na swoją rękę i na lichtarz,

który pośpiesznie odstawiła na najbliższy stół. – Nie zrobiłam na tobie wrażenia? Przybyłam, by cię bronić. Zamierzałam rzucić się w wir walki, gdyż jako dżentelmen z pewnością nie uderzyłbyś kobiety.

– Za to ty rąbnęłabyś ją bez wahania – zauważył. – By mnie bronić. Zapało mi dech w piersiach. Nie wiem, co powiedzieć.

– Zawsze wiesz, co powiedzieć – burknęła Sadie i usiadła. Nagle poczuła, że zupełnie opadła z sił. – Pan Dobson dojdzie do siebie. Gdzie Odlingowie?

– Pakują się. Można powiedzieć, że zbierają manatki. Wyjadą za niespełna godzinę. Zaproponowałem im naszą dorożkę – chyba nie masz nic przeciwko temu? – Darby wręczył jej kieliszek wina. – Nie wiem dlaczego, ale wyglądasz tak, jakbyś miała ochotę na coś mocniejszego.

– Tak łatwo się poddali? – Zmarszczyła brwi. – Jak to możliwe? Przecież właśnie dostali to, czego chcieli. Pan Dobson podpisał dokumenty. Słyszałam, jak Edythe Odling się tym przechwala.

– Akt sprzedaży domu, którego nabywcą był Ellesmere, jakże niefortunnie uległ przypadkowemu zniszczeniu. A co do Odlingów, kiedy już wyszczególniłem im, jak różnorodne i rozliczne mogą być sądowe konsekwencje ich czynów, z miejsca postanowili ulec sile mojej perswazji. Szczerze powiedziawszy, ucieszyło mnie to, gdyż bicie Ellesmere'a przypominałoby kopanie małego pieska, a w dodatku nie byłem pewien, czy udałoby mi się poskromić rozwścieczoną Edythe.

– Tyle wystarczyło, by dali za wygraną?

– Przecież ustaliliśmy, że mam wielką siłę perswazji.

– Coś w tym jest. – Sadie pokiwała głową. – Och, zaraz! Pewnie myśleli, że zamordowali swoją kure znośną złote jaja. Nie bali się ciebie, tylko kata. Naturalnie, to w żaden sposób nie umniejsza twoich dokonań – zapewniła go pośpiesznie. – Żałuję, że akurat ratowałam życie panu Dobsonowi i nie mogłam podziwiać cię w akcji.

Darby wytrzeszczył oczy ze zdumienia, a przecież jeszcze nie powiedziała mu o laudanum, wylanej wodzie, a w szczególności o łyżce. Sadie nie zdołała ukryć uśmiechu, po czym się roze-

śmiała, a na koniec wybuchnęła płaczem.

Kiedy już porozmawiali ze względnie przytomnym Samem Dobsonem i wrócili do hotelu, leżąc w łóżku zgodnie uznali, że ten dzień naprawdę obfitował w zdarzenia bardziej pamiętne niż incydent z Roscoe Thatcherem i jego hufnalem oraz niż inspekcja Marrakesza przeprowadzona przez Belinę Henderson.

EPILOG

Tak oto nadszedł wielki dzień, dzień radości i święta, dzień, którego szczęśliwy koniec miał oznaczać, że Vivien w końcu dośiadzie wielbłąda i wybierze się na wymarzoną przejażdżkę. Jakby tego było mało, nie kto inny, tylko książę we własnej osobie zadeklarował, że w ten wyjątkowy dzień ogłosi zaręczyny Darby'ego i Sadie – o ile nie „hepnie”. Zawsze istniała ta ewentualność, choć nikt o niej nie mówił. Basil zaszedł dalej niż jego bracia, ale jeszcze nie było po sprawie.

Gabe i Thea wrócili do miasta poprzedniego wieczoru. Thea nadal lekko kulała ze względu na zwichniętą kostkę. Vivien chciała otoczyć biedaczkę szczególną opieką, co zresztą przewidział Gabe, ale jego ukochana nie potrzebowała troski. Przez kilka godzin z samozaparciem siedziała na krześle pośrodku sali balowej, opierając obolałą stopę na miękkim podnóżku i wydając polecenia służbie zajętej wnoszeniem kwiatów i przystrajaniem marmurowych kolumn różowym tiulem.

Thea miała zadatki na wspaniałą księżną, ale jak zdradziła w rozmowie z Sadie, wcale nie było jej śpieszno do przejmowania tego tytułu.

Minerva przybyła do rezydencji księcia w doskonałym humorze i asyście dwóch pokojówek dźwigających kufer oraz pudła na kapelusze. Oświadczyła wszem wobec, że nie ma pojęcia, co powinna włożyć na wieczór, i zażądała od zebranych opinii w kwestii trzech sukni, które ze sobą przywiozła. Wcześniej dowiedziała się, że niejaki pan Jasper Hooper ogromnie pragnie ją poznać, w związku z czym musiała wyglądać jak najlepiej. Przed spotkaniem denerwowała się do tego stopnia, że tylko dwukrotnie ofuknęła Vivien za wybór różowych ozdób i rezygnację z fioletów. Do tego w pewnym momencie uświadomiła sobie, że gdyby dekoracje były fioletowe, praktycznie zniknęłyby na ich tle, gdyż dwie z trzech jej sukni miały właśnie ten ko-

lor. Trzecia suknia była czarna, „na wszelki wypadek”. Minerva żywiła jednak głęboką nadzieję, że nie będzie musiała z niej korzystać.

Sadie i Clarice zajęły się przyjmowaniem dostaw żywności oraz lodu, a także instruowaniem specjalnie wynajętej służby. Przy okazji musiały cierpliwie wysłuchać próby dudziarzy, którzy przez dobrą godzinę dęli wytrwale w instrumenty, wypełniając pustą salę balową dźwiękami donośnej muzyki.

- Mój Jerry mi powiedział, że w księdze zakładów, co to ją wystawiają w jednym z klubów, jest już kilka o tym, czy księżę przeżyje, czy nie - oznajmiła Clarice. - Po prawdzie, to księcia nikt tam nie wymienił z nazwiska, ale i tak wiadomo, bo zamiast księżę Cranbrook wpisują „księżę C...”. Bardziej bym się przejmowała, gdyby Madame Royale nie mówiła z takim przekonaniem o przyszłości.

- Tak, była po prostu niesamowita - wymamrotała Sadie.

W tym samym momencie rozległ się gong, więc obie wstały i ruszyły do salonu piętro niżej.

Darby właśnie wdrapywał się po kręconych schodach prowadzących z holu przy wejściu, gdy Sadie i Clarice schodziły z drugiego piętra.

- Moje panie. - Ukłonił się im obu. - Pięknie wyglądacie tego wieczoru. Jestem olśniony.

Sadie pomyślała, że i on wygląda olśniewająco.

- Darby? - powiedziała niepewnie. - Masz papugę na ramieniu.

- Zauważyłaś? Dzisiaj wszyscy będziemy nosili papugi, w hołdzie Basilowi. To urocze stworzenie to Harry-Harriet.

- Dziwnie się nazywa. Pewnie chcesz, żebym zapytała dlaczego.

- Mówiono mi, że nikt nie jest pewien, do jakiej płci zaliczyć Harry'ego-Harriet, bo „utrzymuje przyjazne stosunki ze wszystkimi jak leci”, koniec cytatu. Od siebie dodam, że zarówno wtedy, gdy stoi, jak wtedy, gdy siedzi.

Clarice zamrugnęła, ani w ząb nie pojmując, co wygaduje Darby. Z kolei Sadie przygryzła wargę, żeby nie roześmiać się w głos.

- Nadal nie opowiedziałeś mi całej tej historii - zauważyła. - Ale to nieodpowiedni moment.

Clarice odeszła w poszukiwaniu Rigby'ego, który zapewne kręcił się gdzieś w pobliżu, Sadie zaś wzięła Darby'ego pod rękę i poprowadziła go do sali muzycznej.

- Nie zdawałam sobie sprawy, jak absorbujące jest odgrywanie roli gospodyni przyjęcia. - Westchnęła ciężko.

- Myślałaś, że jako wicehrabina nie będziesz miała nic do roboty, poza beztróskim kręceniem paluszkami.

- Właśnie tak - przyznała. - Pewnie pomogłoby, gdyby Vivien tak mocno nie wierzyła w przybycie wrózek, które wszystkim się zajmą i rozwiążą każdy problem. Na szczęście Thea, Clarice i ja dałyśmy sobie radę. To naprawdę spore osiągnięcie, biorąc pod uwagę, że żadna z nas nie ma doświadczenia w przygotowywaniu przyjęć. Dodam od siebie, że lodowe papugi już topią się na potęgę, niemniej nie zamierzam zaprzętać sobie głowy tym faktem. Chcę tylko, by zegar wreszcie wybił północ i żeby nie doszło do żadnej prawdziwej katastrofy.

- Cóż twoim zdaniem jest prawdziwą katastrofą?

- Nie każ mi tego mówić.

- „Hepnięcie”?

Sadie skrzywiła się wymownie.

- Owszem, właśnie to - potwierdziła. - Nie mówiłam nikomu, ale Marley zabawiała dziś dżentelmenów udawaniem asystenta Madame Royale, Henry'ego. Książę pojawi się na przyjęciu tylko dlatego, że Vivien zagroziła mu odejściem.

- Biedaczysko. - Darby westchnął. - Wciąż zapominam, że Marley jest jak papuga. Przejmuje się teraz?

- Chyba w ogóle do niej nie dociera, co zrobiła. Jest w pokoju dziecięcym i wraz z dziadkiem raczy się podwieczorkiem, na który zaprosiła lalkę Lucy i swojego Maksa. Pan Dobson spędza z nią każdą wolną chwilę, gdyż jutro wraz z Jasperem Hooperem jedzie do domu, żeby sprawdzić, ile szkód trzeba naprawić po Odlingach. Obaj panowie są bardzo mili i cieszą się z rychłego powrotu do swoich przedsiębiorstw. Pan Dobson obiecał przyjechać do Nailbourne na Gwiazdkę. Wie, że może odwiedzać Marley, kiedy tylko zechce, i że zawsze znajdzie się dla

niego miejsce przy naszym stole.

- Jeśli mną będziesz zarządzała tak sprawnie, jak wszystkim innym, to z kolei ja nie będę miał nic do roboty poza kręceniem palcami.

- Wcale nie chcę tobą zarządzać - odparła. - Zwłaszcza że teraz będziesz aktywniej doglądał swoich włości. A właśnie, coś mi się przypomniało. Minerva kazała ci przekazać, że Coop uczy się uprawiać rzepeę, więc możesz zgłosić się do niego po poradę.

- Doprawdy - burknął Darby bez entuzjazmu.

- Ponieważ jednak Vivien natychmiast wybuchnęła śmiechem, to mógł być tylko specyficzny żart.

- W istocie, wyjątkowo specyficzny - zgodził się Darby. - Pragnę zauważyć, że jesteśmy w sali muzycznej już od pięciu minut, a ja jeszcze nie zdążyłem cię pocałować, choć nie dlatego, że nie chcę. Po prostu musiałybyś wreszcie na moment zamilknąć. Pozwól mi to zrobić, po to tutaj za tobą przyszedłem.

- Ciekawe. No cóż... - Sadie przyjrzała się papudze na jego ramieniu. - Jeśli Harry-Harriet nie ma nic przeciwko temu... Pocałuj mnie, niemożliwy człowieku.

- Pierwszorzędne zaproszenie. Najpierw jednak usiądź tutaj. - Zaprowadził ją do połączonego krzesła.

Ukląkł, gdy usiadła, a wtedy dotarło do niej, co się zaraz wydarzy.

- Och, Darby...

- Óóóó - uciszył ją natychmiast. - Ćwiczyłem tę przemowę, ale niestety nie mogę się poszczycić tak dobrą pamięcią jak Marley Panno Hamilton. Sadie Grace. Moje uczucie do ciebie nie zna granic. Będzie dla mnie zaszczytem i przywilejem, jeśli zechcesz za mnie wyjść. Obiecuję, że będę cię kochał, wielbił i cierpliwie znosił przez resztę życia.

- A tak dobrze ci szło - Sadie westchnęła teatralnie. - Tak, wasza lordowska mość, uczynisz mi zaszczyt, biorąc mnie za żonę. - Uśmiechnęła się do niego. - Ktoś musi być zawsze gotów śmiać się z głupstw, które wyczyniasz.

Ucałował jej palce, a następnie sięgnął do kieszeni i wyjął małe, obite aksamitem pudełeczko.

- Oto pierścionek zaręczynowy Nailbourne'ów - wyjaśnił. - Nosiły go wszystkie żony w naszej rodzinie, nie wyłączając mojej matki. Pomyślałem, że może spróbujemy dać mu kolejną szansę, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Och, Darby, naprawdę cię kocham. Pocałuj mnie wreszcie, niemożliwy człowieku!

- Chciałbym wznieść toast - obwieścił Gabe, wstając z krzesła. - Za stryja Basila, kochanego przez wszystkich i tolerowanego przez większość. Niech żyje długo i szczęśliwie!

- Niech żyje! Niech żyje!

- Czy to nie urocze? - Vivien starannie otarła oczy chusteczką. - Zawsze mówisz takie miłe rzeczy.

- Wydaje mi się, że księżna nie zamierza przestać popijać aż do północy - wyszeptał Darby do Sadie. - Basil stara się trzymać fason, ale wygląda tak, jakby oczekiwał, że lada moment niebo zawali mu się na głowę.

- Wiem. Robi dobrą minę do złej gry przez wzgląd na Marley. To naprawdę miło z jego strony, że ją dziś zaprosił, a nawet posadził po swojej prawicy. Tylko spójrz na naszą Marley, niemal tańczy na krześle, ale obiecała mi, że będzie bardzo grzeczna, bo dziadek Dobson powiedział jej, że ma dla niej prezent w kieszeni. Dostanie go tylko pod warunkiem, że przy stole okaże się damą. Pan Dobson pokazał mi ten upominek. To medalion Susan, który nosił przy sobie, odkąd uciekła z Johnem.

Gdy zegar na kominku wybił ósmą, Vivien uniosła kieliszek.

- Za ósmą! - krzyknęła.

- Za ósmą! - powtórzyła Minerva i również uniosła kieliszek.

Niemal wszyscy poszli w ich ślady.

- Jeśli będą pić w tym tempie, do północy obie damy wylądują pod stołem, pijane jak bele - wyszeptał Darby, a Sadie udała, że bierze łyk ratafii.

- Od dziesiątej rano wznoszą toasty za każdą mijającą godzinę - zauważyła. - Gdyby ta przesłodzona nalewka nie smakowała tak parszywie, chętnie bym się przyłączyła.

Służba szybko podała kolejne danie, tym razem mięsne.

- Przyjęcie jest cudowne, Sadie - odezwała się Dany, wychyla-

jąc się z za Darby'ego. – A ten pierścionek to arcydzieło. Co za kamienie! Ile złota! Czy jest ciężki?

Sadie popatrzyła na rękę.

– Nie, nie bardzo. – Pokręciła głową. – Ale moje dłonie nie należą do najdrobniejszych.

– Tak właśnie myślałam – oświadczyła Dany. – Moja siostra z trudem unosi rękę z biżuterią, a twój pierścionek wygląda tak, jakby stworzono go na twoją miarę.

– Sadie została stworzona na moją miarę. – Darby uniósł dłoń Sadie i ucałował jej palce. – Pierścionek to tylko miły zbieg okoliczności.

– Jesteś naprawdę uroczy. – Dany położyła mu rękę na ramieniu. – Bardzo złagodniałeś. Czy to nie cudowne? Gabe ma swoją Theę, ja mam Coopera, Clarice zdecydowanie ma Rigby'ego, a teraz wy macie siebie. Nawet panna Austen nie wymyśliłaby tak szczęśliwego... O mój Boże!

Wszyscy popatrzyli na szczyt stołu, gdzie Basil rzeził, zaciskając obie dłonie na gardle.

Minerva pierwsza odzyskała głos.

– Wielkie nieba, on... „hepie”! – wrzasnęła.

Sadie rzuciła serwetkę na talerz i wraz z krzesłem odsunęła się od stołu. Musiała pomóc Basilowi, ale nie miała pojęcia jak.

W tym momencie do akcji wkroczyła Marley.

Mając w pamięci wszystko to, co widywała w gabinecie ojca, błyskawicznie się zorientowała, co należy zrobić. Szybko zeskokczyła z krzesła, przysunęła je do księcia, wskoczyła na siedziisko, zwinęła drobną dłoń w pięść i zaczęła tłuc Basila w plecy, krzycząc przy tym: „Precz!”.

Z ust księcia wyleciał okazałej wielkości kęs wołowiny i wylądował na stole.

Uświadomiwszy sobie, że kryzys minął, Sadie z ulgą osunęła się na krzesło.

– Czemuś takiego nie napisałaby nawet panna Austen. – Darby wstał i uniósł kieliszek. – Wzniesmy toast, panie i panowie! Za Marley Hamilton, bohaterkę, za księcia i za nas wszystkich! Wypijmy nie za szczęśliwe zakończenia, lecz za szczęśliwe początki!

- I za wielbłądy! - dodała cokolwiek nietrzeźwa księżna.
- A czemuż by nie, do diaska? Za wielbłądy! - zgodził się Darby, po czym pochylił głowę i pocałował swoją przyszłą żonę.

[1] J. Austen, *Emma*, Prószyński i S-ka, Warszawa 1996, s. 87.

Tytuł oryginału: A Reckless Promise
Pierwsze wydanie: Harlequin Mills & Boon Ltd, 2016
Redaktor serii: Dominik Osuch
Opracowanie redakcyjne: Dominik Osuch
Korekta: Lilianna Mieszczńska

© 2016 by Kathryn Seidick
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2017

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części dzieła w jakiegokolwiek formie.
Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.
Harlequin i Harlequin Powieść Historyczna są zastrzeżonymi znakami należącymi do Harlequin Enterprises Limited i zostały użyte na jego licencji.
HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.
Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B, lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN 978-83-276-3203-6

Konwersja do formatu MOBI:
Legimi Sp. z o.o.

Spis treści

Strona tytułowa
Prolog
Rozdział pierwszy
Rozdział drugi
Rozdział trzeci
Rozdział czwarty
Rozdział piąty
Rozdział szósty
Rozdział siódmy
Rozdział ósmy
Rozdział dziewiąty
Rozdział dziesiąty
Rozdział jedenasty
Rozdział dwunasty
Rozdział trzynasty
Rozdział czternasty
Rozdział piętnasty
Rozdział szesnasty
Rozdział siedemnasty
Rozdział osiemnasty
Rozdział dziewiętnasty
Rozdział dwudziesty
Epilog
Przypisy
Strona redakcyjna